

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/30

1950



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

R. WRAGA — Sojusz dwóch rewolucji • S. WEIL — Uwagi o całkowitym zniesieniu stronnictw • W. SUKIENNICKI — W połowie drogi • J. BURNHAM — Walka o świat (c. d.) ♦ J. CZAPSKI — Z notatnika amerykańskiego ♦ OFICyna POETÓW I MALARZY ♦ KRONIKA KULTURALNA ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE: O niektórych sprawach krajowych • Rubel narzędziem agresji ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI; Bereza Kartuska ♦ KLUB TRZECIEGO MIEJSCA ♦ KSIĄŻKI ♦ BIBLIOGRAFIA

SPIS RZECZY

Ryszard Wraga:	<i>Sojusz dwóch rewolucji</i>	5
Simone Weil:	<i>Uwagi o całkowitym zniesieniu stronnictw</i>	15
Wiktor Sukiennicki:	<i>W połowie drogi</i>	31
James Burnham:	<i>Walka o świat (c. d.). Autoryzowany przekład Józefa Ur- syna</i>	57

Józef Czapski:	<i>Z notatnika amerykańskiego (4-ry rysunki)</i>	78
----------------	--	----

OFICyna POETÓW I MALARZY

Czesław Bednarczyk:	<i>*</i>	82
Zygmunt Turkiewicz:	<i>Akt</i>	83
Czesław Bednarczyk:	<i>Notatka z Londynu</i>	84
Zygmunt Turkiewicz:	<i>Akt</i>	85
Czesław Bednarczyk:	<i>Pijany dom</i>	86

KRONIKA KULTURALNA

Wiktor Weintraub:	<i>George Orwell</i>	87
Karol Rogaliński:	<i>Zamówienie społeczne i sprawy pokrewne</i>	92
—	<i>Polonica francuskie</i>	97

ARCHIWUM POLITYCZNE

Z. - W.:	<i>O niektórych sprawach krajo- wych</i>	99
R. Wraga:	<i>Rubel narzędziem agresji</i>	109

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

E. Wreciona:	<i>Bereza Kartuzka z innej strony</i>	115
--------------	---	-----

KLUB TRZECIEGO MIEJSCA

Michał Sambor:	<i>Zgadzam się z majorem Polejką</i>	127
Juliusz Mieroszewski:	<i>Krytyka chłopskiego rozumu</i> ..	139

KSIĄŻKI

Józef Ursyn:	<i>Spacer po domach wydawni- czych francuskich</i>	141
J. Zawadzki:	<i>Wierzyński o Chopinie</i>	147
W.:	<i>«Stalintern»</i>	152
—	<i>Nowości francuskie i angielskie</i>	153

BIBLIOGRAFIA

Jan Kowalik:	<i>Polonica niemieckie od 1. IX. 1939 do 31. XII. 1948 (c. d.)</i>	155
—	<i>Oświadczenie Redaktora</i>	159
—	<i>Oświadczenie Amb. K. Mora- wskiego</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Avril - Kwiecień** **1950**

INSTYTUT



LITERACKI

Zawiadamy naszych czytelników, iż londyńskim korespondentem „Kultury” został p. Juliusz MIEROSZEWSKI. — Adres p. Mieroszewskiego: 21, Fentiman Road, London SW 8, tel. REL 4133.

Redakcja KULTURY posiada jeszcze na składzie kilka-
naście egzemplarzy Nru 16/17, zawierającego powieść
Arthura KOESTLERA pt.:

Ciemność w południe

Numer ten można nabyć w Redakcji pisma

(1, Av. Corneille, Maisons Laffitte, S. et O.)
lub zamawiać w przedstawicielstwach.

Cena 1 egz. 200 frs plus 20 frs na koszty przesyłki.

Redakcja KULTURY zawiadamia, że posiada jeszcze na
składzie kilka kompletów pisma za rok 1949. Roczniki te
można nabywać w Redakcji, bądź zamawiać
w przedstawicielstwach.

Cena kompletu za r. 1949: we Francji — 1.600 frs; w W.
Brytanii i na terenie bloku sterlingowego — £. 2;
w U.S.A. i Kanadzie — 10 dolarów, łącznie z przesyłką
poleconą i opakowaniem.

Numer poświęcony Wydziałowi Stanowemu na dolną część New Yorku Kongresu Polonii Amerykańskiej

IMPRIME EN FRANCE.

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

PIERWSZE TŁUMACZENIE NORWIDA PO FRANCUSKU

POETE RETROUVE

Młody periodyk poetycki francuskiej awangardy literackiej ESCALES, w Collection "Chemin des hommes" ogłasza subskrypcję na poezje Cypriana K. NORWIDA w tłumaczeniu Bruno Durochera, Józefa Czapskiego i Jean Marcale'a, które ukażą się pt.: POEMES (première édition en langue française) w ograniczonej ilości egzemplarzy, a mianowicie:

50 egz. na papierze Pul Fil du Marais oznaczonych numerami od I do L w cenie	500 frs. za egz.
50 egz. na papierze Japon, oznaczonych numerami od I do 50, w cenie	300 frs. za egz.
300 egz. nienumerowanych w cenie	200 frs. za egz.
99 egz. poza sprzedażą (S. P.).	

Pieniądze należy przekazywać na konto C.C.P. Paris 2447-06 de Jacques Bertrand, 3, rue St. Louis en l'Isle, Paris IV^e, lub do Redakcji KULTURY.

Sojusz dwóch rewolucji

1-go października 1949 r. ogłoszony został "Program ogólny Ludowej Politycznej Rady Konsultacyjnej Chin" — coś w rodzaju projektu konstytucji, a zarazem zarysu programu politycznego Chińskiej Republiki Ludowej. 14-go lutego rb. podpisany został na Kremlu "Traktat przyjaźni, unii, i wzajemnej pomocy pomiędzy ZSSR a Chińską Republiką Ludową" oraz towarzyszące mu jawne i, zapewne również, tajne protokoły i aneksy. Przedtem — bo 5-go lutego rb. — Sztab Generalny Chińskiej Armii Wyzwoleńczej ogłosił komunikat o uwolnieniu w ciągu trzech lat walki z Kuomintangiem ogółem 8.474.000 km. kw. powierzchni i 460.530.000 mieszkańców.

Opinia międzynarodowa, przyzwyczajona od paru lat do gwałtownych postępów komunistycznej ofensywy w Chinach przyjęła fakt oficjalnego powstania Chińskiej Republiki Ludowej i jej politycznego i strategicznego związku ze Związkiem Sowieckim jako coś co stać się musiało i co wskutek tego nie wymaga ani zbyt wnikliwych komentarzy, ani też rozważań nad konsekwencjami. Jedynie uznanie nowej republiki przez rząd J.K.M. Wielkiej Brytanii wywołało pewne ożywienie i wymianę zdań, które jednakże nie wyszły poza ramy publicystycznej demagogii i frazeologii.

Na ogół większość komentarzy politycznych na tematy chińskie ograniczyła się do stwierdzenia, że Związek Sowiecki jako państwo jest obecnie poważnie wzmocniony, aczkolwiek optymiści, których zawsze jest tym więcej im czasy są trudniejsze — nie omieszkali dodawać, że to umocnienie jest pozorne, gdyż w gruncie rzeczy konieczność "wchłaniania Chin przez państwo sowieckie" poważnie państwo to osłabi, a w każdym razie na dłuższy okres czasu zaabsorbuje. Jak świat antysowiecki ma wykorzystać ten okres podczas którego "Sowiety będą zaabsorbowane" owym "trawieniem" Chin — tego już rzeczeni optymiści przezornie nie mówili. Nie tylko jednak spontaniczni optymiści, lecz i odpowiedzialni politycy, którym z tytułu i urzędu nie wolno zabawiać się w optymizm czy pesymizm, pokładali nie mniejsze nadzieje w sporach terytorialnych po-

między Moskwą a Pekinem, a nawet przewidywali, że Mao-Tse-Tung jest kandydatem na nowego, już na olbrzymią skalę zakrojonego Tito, lecz co światu przyjdzie z tego, gdy ów Tito zwalczy Stalina i sam zasiądzie na jego rewolucyjnym tronie — nad tym również ani ci optymiści, ani nawet wspomniani politycy, nie chcieli się zastanawiać. Zaiste, "nie wielką ilością mądrości" świat dzisiejszy jest rządzony.

Tymczasem to co się stało można bez obawy o przesadę nazwać jednym z najdonioślejszych wydarzeń w historii świata ostatnich paru stuleci. Ukonstytuowanie się Chin w dzisiejszej formie, ich związek z ZSSR i przyjęcie przez nich ogłoszonego programu, zmienia w zasadzie układ sił politycznych i strategicznych świata.

Spróbujmy sformułować na sprawę chińską taki pogląd, jaki — wydaje się — z jednej strony odpowiada wadze historycznej zagadnienia, a z drugiej — odpowiada podstawowym pojęciom postępu, wolności i praw człowieka. Z tego stanowiska rzecz biorąc musimy stwierdzić, że bez względu na to jakie ewolucje przeszła rewolucja w Rosji, do jakiego doszło na tym terenie ustroju tyranii, niewoli, nędzy i wyzysku, to sama rewolucja 1917-go roku, obalająca carat i miażdżąca imperialistyczną państwowość rosyjską, była i pozostała zjawiskiem postępowym, pozytywnym i koniecznym. Zniszczyła ona zandarma Europy XIX wieku i otworzyła nie tylko przed narodami ujarzmionymi Europy lecz przed całą Europą, przed całym światem, szerokie horyzonty i wielkie możliwości.

Jeżeli rewolucja ta przeistoczyła się wkrótce w proces będący zaprzeczeniem wszelkiej rewolucji, postępu, socjalizmu i demokracji, to wina spoczywa nie tylko na społeczeństwie rosyjskim, które nie umiało czy nie miało sił obronić zdobyczy rewolucji, lecz wina ta w równej, jeżeli nie większej jeszcze mierze, spoczywa na całym świecie otaczającym Rosję, bez względu na to, czy świat ten był czarny czy biały, brunatny, różowy czy nawet czerwony. Polityka tego świata w stosunku do bolszewizmu była polityką najdoskonalszego sojusznika, który pozwolił Moskwie odbudować zrujnowane państwo-więzienie narodów, który dopomógł do uzbrojenia tego państwa po zęby, który współdziałał w tej polityce izolacji narodów Związku Sowieckiego, która to izolacja z kolei dając państwu olbrzymią siłę, sprowadziła jego obywatela do roli najniebezpieczliwszego, zezwierzęconego niewolnika. "Jeden naród sowiecki walczy tylko ze Stalinem — wszystkie inne są jego sojusznikami!" — powiedział mi kiedyś w uniesieniu pewien uczony sowiecki, gdy rozejrzał się po Europie i zobaczył na czym właściwie polega osławiona "walka z bolszewizmem". A najgorszym ze wszystkiego była ta lekkomyślna nieopatrzność, z jaką mimo wszystko, co w Rosji zaczęło się dziać, pozostawiono bolszewikom w rękę sztandar rewolucji, socjalizmu i komunizmu, jako idei uniwersalnej. Żaden nieudolny czy zbrodniczy wykonawca nie jest w

stanie zabić samej idei. Zaś świadomość tego, że u bolszewików "socjalizm nie wychodzi", nie zabiła i zabić nie mogła tęsknoty ludzkości do rewolucji, socjalizmu czy komunizmu. Obawa przed rewolucjami spontanicznymi doprowadziła do tego, że pozwolono bolszewikom na skonstruowanie potężnej "bazy rewolucji", rewolucji stokroć groźniejszej, bo postulowanej, schematyzowanej, wyplanowanej w każdym punkcie, bezdusznej, zabijającej człowieka, zabijającej wolność.

Obawa i tępienie każdej rewolucji spontanicznej sprawiły, że bolszewicy jeszcze bardziej obawiający się i nienawidzący takich rewolucji, stawali się formalnie ich opiekunami i oparciem, by wyrwijac piędź po piędź ziemię spod stóp kapitalizmu, sami z kolei móc je wziąć pod siebie, zdusić, zdławić, wkluczyć w system totalny, nie znoszący żadnych odchyłeń, żadnego indywidualizmu, żadnej odrębności.

Rewolucja w Chinach była od samego początku — od 1911 r. — rewolucją spontaniczną, rewolucją postępową i słuszną. Tragedią tej rewolucji było to, że miała ona przed sobą znacznie trudniejsze zadania niż ruch rewolucyjny w Rosji. W Rosji rewolucja miała za zadanie jedynie zniszczenie własnego polityczno-biurokratycznego ustroju, tej "piramidy niewoli", która powstała dzięki osobliwościom dziejowym Rosji i która w małym tylko stopniu trzymała się przy pomocy sił obcych. Ustrój chiński był sam w sobie rachityczny, skorumpowany do szpiku kości, lecz trzymał się dzięki podparciu go przez kapitał obcy, który honorując suwerenność polityczną państwa, czerpał z terenu chińskiego zyski nie mniejsze niż ze zwykłego państwa kolonialnego. Sytuacja do złudzenia przypominała sytuację w Rosji w XII i XIV wieku. Rolę Mongołów przyjął na siebie kapitał obcy, rolę rosyjskich książąt, wasali — biurokracja chińska, a przede wszystkim nieprawdopodobnie żarłoczny i nienasycony chiński system fiskalny i bankowy. Lecz biurokracja chińska nie miała w sobie ani ambicji, ani siły, ani jurności książąt moskiewskich. Nie sięgnęła po władzę, nie pomyślała o wyzwoleniu i regeneracji państwa.

Zadowolili się całkowicie rolą lichwiarskich pośredników i pachciarzy. Masy ludu, sprowadzane do coraz większej nędzy, do takiej nędzy o jakiej chyba tylko dzisiejszy obywatel sowiecki ma pojęcie, zaczęły podnosić głowę. Idea rewolucji rozdzieliła się na dnie życia, a jedynie teorie powstają w mózgach dobrze odżywionych. Rewolucja chińska, w odróżnieniu od rewolucji europejskich, przez długie lata pozostawała bez teorii, w sferze emocji i spontanicznych zrywów i buntów. Któż w Europie interesował się dziejami chińskich Razinych czy Pugaczowych, ktoś znał ich nazwiska?

Teoria chińskiej rewolucji powstawała empirycznie, w samym terenie, w atmosferze oporu i buntu. Jest pod tym względem ogromne jej podobieństwo do stalinizmu, który jest również empiryczną teorią władzy oligarchii i "budowy socjalizmu w

jednym państwie". Różnice są jednak kolosalne. Stalinizm jest teorią władzy mniejszości, teorią tyranii. Teoria rewolucji chińskiej jest na razie teorią władzy olbrzymiej większości. Stalinizm jest tworem zawodowych rosyjskich rewolucjonistów, jak najsluszniej oceniających carat jako jarzmo i niewolę, lecz jak najluźniej związanych z tymi masami pracującymi, o przyszłość których walczyli. Teoria rewolucji chińskiej powstała i formułowala się w samym środowisku rewolucyjnym wśród samych mas pracujących, przede wszystkim mas chłopskich. Stalinizm jest przepojony uniwersalizmem, maksymalizmem i abstrakcją. Teoria chińska jest realna, prosta, pozbawiona na razie ambicji uniwersalnych, mająca cele konkretne, nie odwołująca się do marksizmu czy nawet leninizmu. Marksizm czy stalinizm nie jest dla niej źródłem natchnienia ideowego, jest jedynie realnym oparciem, jako doktryna rewolucji zwycięskiej, jako baza przede wszystkim polityczna. Mao-Tse-Tung był zupełnie szczerzy, gdy pisał w swej niezmiernie ciekawej pracy "O dyktaturze ludowej demokracji": "Gdyby nie istniał Związek Sowiecki, gdyby nie osiągnięto zwycięstwa w rezultacie antyfaszystowskiej drugiej wojny światowej, gdyby — co jest specjalnie ważne dla nas — japoński imperializm nie był rozgromiony, gdyby w Europie nie powstały kraje nowej demokracji, gdyby nie było wciąż wzmagającej się walki mas ludowych w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Francji, Niemczech, Italii, Japonii i innych krajach kapitalistycznych przeciwko rządzącym klikom reakcyjnym — to nacisk międzynarodowych sił reakcyjnych byłby, rozumie się, znacznie silniejszy, niż obecnie. Czyż w takim wypadku moglibyśmy odnieść zwycięstwo? Rozumie się, że nie. Tak samo nie moglibyśmy umocnić tego zwycięstwa w wypadku jego osiągnięcia". Widzimy więc, że Związek Sowiecki dla rewolucjonistów chińskich nie jest jedynym, nadrzędnym, bezwarunkowym czynnikiem ich zwycięstwa, jest zaledwie jednym z wielu czynników.

Jeżeli mówimy o podobieństwach i różnicach w samych teoriach, to nie od rzeczy będzie powiedzieć słów parę o podobieństwie obu wodzów: Stalina i Mao-Tse-Tunga. Obaj wyszli z prowincji nasyconych buntem i odwagą rewolucyjną: z Gruzji i Hananu. Obaj mają za sobą długą drogę walki rewolucyjnej a zarazem walki o władzę wewnątrz samych partii rewolucyjnych. Obaj mają jednakowo utylitarny stosunek do marksizmu, który traktują jako narzędzie, a nie jako sztywną doktrynę nadrzędną. Obaj mają niezwykle zdolności strategiczne i taktyczne, znakomity umiar, cierpliwość, poczucie czasu i przestrożenie, spokój i elastyczność w stosunku do ludzi i zagadnień. Obaj są empirykami, a przede wszystkim obaj są ludźmi wielkiej skoncentrowanej woli w dążeniu do jednego, zasadniczego celu. Ale tu kończą się podobieństwa i zaczynają różnice. Najważniejsza polega na zasięgu horyzontów, długodystansowości celu. Stalin jest beznarodowym, uniwersalnym rewolucjonistą,

na zimno i obojętnie traktującym każdy naród, od własnego poczynawszy. Jego celem jest rewolucja w skali światowej, dokonywana nie tylko w części anarchicznej, ale i konstrukcyjnej, ściśle według schematu i wzoru przez niego samego wypracowanego. Jakże naiwne są wszelkie nadzieje czy próby zaspokojenia ambicji Stalina przez pozostawienie mu swobody na jakimś ograniczonym, chociażby najrozleglejszym obszarze, jakiegось podziału świata, zatrzymania go w nieustannym marszu zdobywczym! Mao-Tse-Tung jest Chińczykiem, więcej jeszcze — jest chłopem chińskim. Jego celem jest stworzenie demokratycznego państwa chińskiego, zbudowanego na zasadach swobodnego socjalizmu chłopsko-państwowego. Teoria jego — mimo nieprzeciętnej wiedzy samego Mao-Tse-Tunga — jest prosta i skromna, nie ze względu na ubóstwo myśli, lecz ze względu na jasność i prostotę celu. W Mao-Tse-Tungu nie ma — na razie przynajmniej — ambicji innych jak uwolnienie Chin od ucisku kapitalizmu i jego agentów, jak zabezpieczenie młodej republiki przed regeneracją kapitalizmu, jak dopomożenie do otoczenia Chin pierścieniem równie jak Chiny wyzwolonych narodów. Mao-Tse-Tungowi obcy jest — na razie przynajmniej — nieograniczony imperializm rewolucyjny Stalina.

A więc optymiści mieli rację dopatrywać się w Mao-Tse-Tungu kandydata na "Tito"? Nie! — bo maotsetungizm w części doktrynalnej nie jest jak titoizm ślepym powtórzeniem stalinizmu. Nie! — bo maotsetungizm właśnie w jego swoistej treści i formie potrzebny jest stalinizmowi w równym stopniu jak stalinowski Związek Sowiecki, jak cała polityka stalinizmu potrzebna jest Mao-Tse-Tungowi i rewolucyjnym Chinom.

Tym węzłem wiążącym na długi okres czasu Mao-Tse-Tunga ze Stalinem jest fakt, że ostateczny cel Mao-Tse-Tunga — wyrugowanie kapitalizmu z Chin i sąsiednich terenów azjatyckich — jest jednym z podstawowych celów pośrednich Stalina. Z drugiej strony — cel pośredni Stalina — całkowite zniszczenie kapitalizmu w skali światowej bez dania mu możliwości zregenerowania się — jest najpewniejszą rękojmią dla Mao-Tse-Tunga, że jego własny cel utrzymania rewolucji w Chinach, zostanie osiągnięty.

Trzeba stwierdzić, że wszyscy trzej twórcy bolszewizmu: Lenin, Trocki i Stalin z punktu znakomicie ocenili wartość rewolucji w Chinach dla poszerzenia i ostatecznego zwycięstwa rewolucji październikowej. Różnice w poglądach były czysto taktyczne i od pierwszych dni swego istnienia Komintern otrzymywał zlecenia ustawienia zagadnienia chińskiego na czoło skomplikowanego problemu rewolucji w państwach kolonialnych i półkolonialnych.

Tragedią słusznej i sprawiedliwej rewolucji w Chinach jest fakt, że doszła ona do zwycięstwa wtedy, gdy poprzednia rewolucja — Rosyjska — zamieniła się w system dyktatury totalnej. System ten zachował nie tylko sztandar rewolucyjny w swoich

rękach, ale dysponuje tą realną siłą, która musi w rozumieniu mas pracujących dopomóc do zdławienia kapitalizmu i przebudowy świata. Związek dwu rewolucji: zamrożonej, niosącej niewolę i wyzysk, a spontanicznej i postępowej, jest związkiem potwornym w swej treści, lecz jest niezbędnym i korzystnym dla obu stron. Nie trzeba dodawać, jak dalece komplikuje on politykę temu światu antystalinowskiemu, który w walce z bolszewizmem nie widzi tylko obrony interesów umiarkowanego kapitalizmu, lecz widzi jedyną drogę do wyprowadzenia ludzkości z ciemnego zaułka w jakim się znalazła.

I widzimy, że zaplątany w swych własnych sprzecznościach świat zachodni nie umiał znaleźć linii postępowania w stosunku do rewolucji w Chinach, a później w stosunku do Chińskiej Republiki Ludowej. Jedynym przebieyskiem zdrowej myśli politycznej było uznanie Republiki Ludowej przez rząd brytyjski^{*)}.

Doceniając znaczenie naprzód rewolucji chińskiej, a później powstania Chińskiej Republiki Ludowej, Kreml zastosował taktykę zupełnie inną niż to przypuszczali politycy i obserwatorzy na Zachodzie. Rewolucja w Chinach potraktowana była jako równorzędna w stosunku do rosyjskiej rewolucji październikowej. Traktat unii i przyjaźni z 14-go lutego był przez obie strony szczerze pojęty jako traktat par excellence bilateralny, na równych prawach obu stron. Nadzieje na "trawienie" Chin przez Związek Sowiecki zawiodły całkowicie: Moskwa nie ma zamiaru — na razie przynajmniej — wchłonięcia Chin do Związku Sowieckiego, wprost przeciwnie — rezygnuje na rzecz

^{*)} Utożsamianie przez niektórych polityków tego uznania z aktami uznania rządów satelickich w Europie środkowo-wschodniej jest nieporozumieniem. Rządy satelickie są zwyczajnymi sowieckimi agenturami i nie reprezentują w najmniejszym stopniu układu sił politycznych i społecznych. Nawet narodowi rewolucjoniści i komuniści w tych państwach, stanowiący zresztą znikomą mniejszość, nie są reprezentowani przez Bierutów, Zapotockich czy Grozów. Akt uznania tych rządów ze strony Zachodu był aktem uznania obcej okupacji, był zbrodnią wobec wszystkich zasad wolności narodów i człowieka wobec zasad demokracji. Rewolucja w Chinach była rewolucją narodową. Pomoc Związku Sowieckiego odegrała rolę wtórną, a jeżeli chodzi o stronę materialną — prawie żadną. (Np. sprzęt sowiecki dostarczony komunistom chińskim nie pozostaje w żadnym stosunku do sprzętu amerykańskiego udzielonego Czang-Kai-Szekowi). Zachód miałby tylko wtedy prawo interwencji w sprawy wewnętrzne Chin, gdyby był przedtem podjął bezpośrednio wojnę z Sowietami. Gdyby w Polsce wybuchła prawdziwa polska rewolucja chłopska, socjalistyczna czy komunistyczna byłoby zbrodnią z czyjejkolwiek strony szukanie oparcia w politycznej i wojennej sile obcej. Rewolucja jest jedną z najbezwzględniejszych form narodowego plebiscytu. Pomagając Czang-Kai-Szekowi w okresie, gdy stało się jasne, że ma on przeciwko sobie ogromną większość narodu chińskiego, Stany Zjednoczone powtórzyły smutną historię "interwencji imperialistycznej" w Rosji z lat 1918 - 1920. Podobnie jak tamta, tak i ta interwencja oddała ogromną usługę bolszewikom.

Chin nawet z tego, po co wyciągała rękę, gdy Chiny były "półkolonią kapitalizmu".

Ogłoszony "program ogólny" nakreśla odmienny od schematu sowieckiego projekt organizacji państwa. Ma być to państwo pod względem administracyjnym federalne o dość szerokiej autonomii poszczególnych prowincji, pod względem ustrojowym — demokratyczne, przede wszystkim chłopskie, a pod względem politycznym wielce zmilitaryzowane. Sprawom wojskowym "projekt ogólny" poświęca wiele miejsca. Zmilitaryzowanie Chin ma mieć cel potrójny: 1) utrzymanie siły militarnej dla zabezpieczenia Chin od zewnątrz, przy czym chodzi w tym wypadku wyraźnie również o pomoc ruchom rewolucyjnym w krajach przylegających do Chin (przede wszystkim Vietnam, Indonezja, Sjam i Burma), 2) opanowanie wewnętrznych ruchów kontrrewolucyjnych, 3) użycie sił zmobilizowanych do odbudowy gospodarczej kraju. W tym ostatnim wypadku młody rząd chiński, zdając sobie sprawę z niemożności oparcia całego ogromu odbudowy na pracy wolnej, stosuje mobilizację wojskową jako pewną formę pracy przymusowej, nawiasem mówiąc, nieskończenie liberalniejszej, aniżeli ta, która jest stosowana w ZSSR.

Podział i ustrój administracyjny Chin jest w dużym stopniu podyktowany względami strategiczno-wojskowymi. Podczas, gdy cała Republika Chińska ma być bazą rewolucji dla pozostałych narodów azjatyckich, poszczególne jej człony mają odrębne zadania "strażników" i "poszerzycieli" rewolucji w stosunku do najbliższych sąsiadów.

Zarówno sam "projekt ogólny" jak też i dotychczasowa praktyka nie wykazują zupełnie, by Rosja Sowiecka jako państwo była zaangażowana w konstrukcji Państwa Chińskiego. Republika Chińska, podobnie jak i rewolucja w Chinach ma być budowana rękami chińskimi. Widzimy więc zasadniczą różnicę pomiędzy stosunkiem Rosji Sowieckiej do Chin a do państw satelickich w Europie, na których terenie bolszewicy, przy użyciu całego swego potencjału państwowego, prowadzą politykę interwencyjną we wszystkich dziedzinach życia państwowego i narodowego. Bolszewicy nie kontynuują w stosunku do Chin dawnej polityki carskiej. Kontynuują oni tę politykę w stosunku do Europy środkowo-wschodniej w stosunku do Bliskiego i Środkowego Wschodu. Lecz w stosunku do Chin polityka ta jest zupełnie inna. Jest ona znacznie bardziej dalekosiężna i niebezpieczna dla pozostałego świata.

Bolszewicy wbrew mniemaniom i ocenom niektórych polityków i obserwatorów, bynajmniej nie mają zamiaru ani wchłaniać ani "przetrawiać" zdobyczy komunizmu w Azji, zwłaszcza zdobyczy takich, jakimi są Chiny, nasycone potencjalną rewolucyjnością. Inaczej zapewne przedstawiałaby się rzecz w wypadku, gdyby komunizm opanował Japonię. Tam, własny kapitalizm z jednej strony posiada jeszcze duże możliwości regeneracyjne, a z drugiej — wytworzył poważną ilościowo i jakościowo klasę ro-

botniczą, w której mogłyby się obudzić ambicje rewolucyjne panazjatyckie i powstać wizje budowy takiego socjalizmu czy demokracji ludowej, które mogłyby być groźne zarówno dla stalinizmu jak i dla Związku Sowieckiego. Chiny pod tym względem nie są groźne, ani dla doktryny, ani dla państwa stalinowskiego.

Obserwatorzy problemu sowieckiego nie dostrzegali pewnej zasadniczej zmiany jaka zaszła ostatnio w stosunku organizacyjnym oligarchii bolszewickiej ze Stalinem na czele do Związku Sowieckiego jako do państwa. W ciągu ostatnich paru lat propaganda bolszewicka uważa za swe naczelne zadanie takie ustawienie samego Stalina i jego doktryny, by logiczne i naturalne było wymaganie uznania go jako nadrzędnego czynnika rewolucji nie tylko w stosunku do państw bloku sowieckiego, lecz i w stosunku do całego świata. Propaganda sowiecka podkreśla niezmiennie, że teoria i praktyka stalinowska są i mają być nie tylko przykładem i wzorem dla komunistów całego świata, lecz mają obowiązywać bezwzględnie. Propaganda w tym kierunku osiągnęła maksymalne natężenie podczas uroczystości stalinowskich w grudniu roku ubiegłego. Stworzono rodzaj nadbudówki nadpaństwowej, rodzaj komunistycznego Watykanu, dla którego Związek Sowiecki jest tylko głównym narzędziem polityczno-strategicznym, lecz, podobnie jak w swoim czasie Państwo Kościelne dla Rzymu, nie jest w żadnym wypadku ani ostatecznym celem ambicji rewolucyjnych, ani też nie absorbuje wszystkich zainteresowań politycznych i strategicznych. Z chwilą powstania Republiki Chińskiej, Kreml sowiecki jako ta nadbudówka ponadpaństwowa otrzymał do dyspozycji drugie narzędzie polityczno-strategiczne, może słabszej wartości materialnej, lecz równoważące tę słabość ogromną siłą żarliwości i dynamiki młodej, niewyżytej rewolucji. Kreml zupełnie świadomie nie połączył ze sobą obu tak różnych jakościowo narzędzi rewolucji w jeden zwarty blok totalny, słusznie oceniając, że proces symbiozy nieskończenie osłabiłby wartości obu "baz rewolucji". To założenie jest podstawą traktatu sowiecko-chińskiego, jako traktatu wiążącego dwa równorzędne i organizacyjnie suwerenne państwa. Stalin jako premier Związku Sowieckiego jest równy Mao-Tse-Tungowi jako szefowi państwa chińskiego. Nadrzędność Stalina nad obu państwami (i nad Mao-Tse-Tungiem) leży w innej płaszczyźnie, nie politycznej, lecz uniwersalnie rewolucyjnej. (Nie należałoby się dziwić, gdyby w którymś momencie Stalin zrezygnował ze swoich funkcji państwowych, rezerwując sobie wyłącznie stanowisko Czerwonego Papieża).

Oba państwa — narzędzia rewolucji — w rękach Naczelnego Wodza Rewolucji mają zgoła odrębne zadania polityczne i strategiczne.

Rosja Sowiecka ma za zadanie jak najszybsze stotalizowanie bloku satelickiego, jak najszybszą i najskuteczniejszą dywersję

i zatomizowanie Europy Zachodniej, pogłębienie międzynarodowych sprzeczności i konfliktów (przede wszystkim pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią). Główne metody działania to dywersja i demagogia polityczna i gospodarcza, to "zimna wojna". Główne narzędzia pomocnicze obok partii komunistycznych — to agentury, kierowane wyraźnie przez państwo sowieckie, już nie jako agentury rewolucyjne, lecz jako zwykłe politycznie wywrotowe i dywersyjne agentury państwowe.

Chińska Republika Ludowa ma za zadanie podtrzymywanie "ognia rewolucyjnego" w Azji i oddziaływanie swą żarliwością rewolucyjną na narody kolonialne i półkolonialne zarówno w Azji jak też i w innych częściach świata. Główne metody działania to nieustanna ofensywa, dywersyjna i bezpośrednia agresja wojenna, przy jednoczesnej budowie socjalistyczno-demokratycznej federacji chińskiej jako pokazowego wzoru azjatyckiego państwa demokracji ludowej. Główne narzędzia pomocnicze to, obok spontanicznego ruchu rewolucyjno-komunistycznego, Chińska Wyzwoleńcza Armia Ludowa.

Kreml, jako czynnik nadrzędny dla obu państw, wiąże je ze sobą jednością celu strategicznego. Tym celem jest zniszczenie "otoczenia kapitalistycznego", przede wszystkim zaś Stanów Zjednoczonych — wroga Nr 1. Można wnioskować, że zmiana układu strategicznego Związku Sowieckiego w stosunku do "kapitalistycznego otoczenia", jaka powstała w związku z ukonstytuowaniem się Chińskiej Republiki Ludowej, wpłynie zasadniczo na zmianę postawy Moskwy wobec Zachodu, zwiększy jej agresywność, a nawet może podsunąć decyzje, jeszcze rok temu nie do pomyślenia. Inaczej mówiąc: nie można dzisiaj twierdzić z absolutną pewnością, że Kreml s a m nie zdecydował się na sprowokowanie, względnie bezpośrednie rozpoczęcie działań wojennych w stosunku do Zachodu.

Cały wywód powyższy można byłoby streścić w następującej syntezie: zdobywszy do swej dyspozycji obok Związku Sowieckiego drugie narzędzie ofensywy rewolucyjnej w postaci Chińskiej Republiki Ludowej, Kreml przeszedł zdecydowanie do agresji w stosunku do "otoczenia kapitalistycznego". Dysponowanie Chinami jako narzędziem rewolucji nie osłabia Związku Sowieckiego jako narzędzia równorzędnego. Wprost przeciwnie. Rozwiązuje mu ręce i pozwala na skoncentrowanie wysiłków dywersyjnych w stosunku do Europy, Wielkiej Brytanii i bezpośrednio Stanów Zjednoczonych. Pozwala Kremlowi na takie manewrowanie wszystkimi środkami dyspozycyjnymi, by ostatecznie wpędzić Stany Zjednoczone w izolację. Z punktu widzenia strategii sowieckiej byłby to zarazem początek ostatecznego końca świata kapitalistycznego.

Powyższe rozważania są celowo uproszczone. Waga i ogrom tematu wykraczają poza rozmiary nie tylko artykułu, lecz nawet książki. Lecz nawet w tak pobieżnie nakreślonym szkicu kryje się również i pozytywna strona zagadnienia: gdzie i jak

należy szukać wyjścia z sytuacji, która — nie ma co owijać w bawełnę — wygląda bardziej niż groźnie.

Te pozytywne rozwiązania musiałyby się oprzeć na następujących założeniach:

1) nie wolno utożsamiać walki z bolszewizmem z walką z rewolucją postępową i należy dołożyć wszelkich usiłowań, by nie pozwolić Kremlowi na dyskutowanie zdobyczy rewolucyj spon-tanicznych na rzecz umocnienia siły bolszewizmu i Związku So-wieckiego jako państwa;

2) nie wolno traktować bloku sowieckiego jako całości inte-gralnej, lecz należy jak najprędzej przystąpić do wypracowa-nia taktyki i metod rozbijających ten Związek jako całość;

3) należy w planowaniu i realizacji tej akcji oprzeć się na narodach ujarzmionych przez bolszewizm, i to nie tylko na narodach peryferyjnych, lecz wszystkich narodach — z rosyj-skim włącznie;

4) na stosowaną przez Kreml w stosunku do "otoczenia" nie-ustanną i coraz silniejszą agresję i interwencję, "otoczenie" to musi odpowiedzieć nie mniej silną agresją i interwencją pre-wencyjną, hasła do których muszą być oparte nie na interesach kastowych, lecz na zasadach wolności i praw człowieka i naro-dów, na zasadach postępu i prawdziwej demokracji.

Ryszard WRAGA.

Uwagi o całkowitym zniesieniu stronnictw

Poniższe Uwagi nie były przeznaczone do druku, podobnie jak większość niedawno wydanych rękopisów Simone Weil. Autorka, młody profesor literatury i filozofii, znana zrazu w środowiskach skrajnej lewicy, do których należała, dała się stopniowo poznać coraz to szerszej publiczności dzięki współ-pracy z „Critique Sociale”, „Nouveaux Cahiers”, „Libres Pro-pos”, i „Feuilles Libres”. Zmarła w r. 1943, w wieku lat trzy-dziestu czterech w Anglii gdzie przyłączyła się do ruchu „Fran-ce libre”. Wyjątki z jej notatnika, wydane w druku pod tytu-łem *La Pesanteur et la Grace* (wydawnictwo Plon'a) oraz stu-dium nazwane przez autorkę *Wstępem do deklaracji obowiąz-ków* względem istoty ludzkiej, a wydane świeżo u Gallimard'a pod tytułem *Enracinement* wywarły wśród doborowych i co-raz liczniejszych czytelników ogromne wrażenie. Pozostałe po zmarłej autorce rękopisy roztrząsają najważniejsze zagadnie-nia naszych czasów. Poniższe Uwagi zasługują na szczególne wyróżnienie. Praca ta napisana była na użytek środowiska, któ-re stawiało sobie za cel odnowę Francji.

Drukując z upoważnienia rodziny Simone Weil wspomniany artykuł, nie wątpimy, że czytelnik polski znajdzie w jego nie-ubłaganej, analitycznej krytyce wiele stwierdzeń, które mogą się odnosić nie tylko do francuskiego życia politycznego. Arty-kuł ten ukazał się po raz pierwszy w Nrze 26-yim miesięcznika paryskiego „La table ronde”.

Redakcja.

Wyraz: stronnictwo jest tu użyty w tym znaczeniu, jakiego nabrał na kontynencie europejskim*). W krajach anglosaskich to samo słowo określa w istocie treść całkiem różną. Wywodzi

*) Studium niniejsze nosi ślady niewykończenia literackiego. Język jego jest twardy, zdania urywane, słownictwo chwilami niewyszukane, wciąż się powtarzające. W przekładzie starano się wiernie zachować ten swoiste surowy a przecież zniewalający charakter oryginału. (Przyp. tłumacza).

się ona z tradycji angielskiej i nie da się przenieść gdzie indziej. Dostatecznie wykazuje to doświadczenie półtora wieku. W partiach angielskich jest czynnik gry, sportu, które są do pomysłowania tylko w instytucjach pochodzenia arystokratycznego; instytucje, których początki były plebejuszowskie, są przesycone powagą.

Francuskie koncepcje polityczne z r. 1789 uwzględniały pomysł partii co najwyżej jako zło do uniknięcia. Powstał jednak klub Jakobinów. Początkowo był tylko miejscem swobodnej dyskusji. Przeobraziła go wcale nie jakaś siła "fatalna": jedynie nacisk wojny i gilotyny zrobił z niego partię totalitarną.

W okresie Terroru walkami frakcji rządziła myśl, którą Tomski trafnie zawarł w słowach: "Jedno stronnictwo przy władzy, a wszystkie inne w więzieniu". Tak więc na kontynencie europejskim totalizm jest grzechem pierworodnym partii.

Wprowadzenie stronnictw w życie publiczne w Europie jest częściowo dziedzictwem Terroru, a częściowo następstwem przykładu angielskiego. To, że partie istnieją, nie jest w żadnej mierze racją, aby je zachować. Tylko dobro może być racją zachowania czegoś. Zło wynikające z istnienia stronnictw rzuca się w oczy. Jest zagadnieniem do rozważenia, czy nie ma w partiach dobra, które by przeważało nad złem i czyniło ich istnienie pożądane.

Śluszniej jednak jest zadać pytanie: czy jest w nich choć ułamek dobra? Czy nie są złem w stanie czystym lub niemal czystym?

Jeżeli są złem, pewne jest, że w założeniu i w wykonaniu mogą sprawiać tylko zło. Jest to wyznanie wiary. "Nie może dobre drzewo owoców złych przynosić, ani drzewo złe owoców dobrych przynosić".

Trzeba jednak przedtem ustalić co jest probierzem zła.

Probierzem tym może być tylko prawda, sprawiedliwość i, w drugim rzędzie, użyteczność publiczna.

Demokracja, władza większości, nie są dobrem. Są tylko środkiem służącym dobru, trafnie czy nietrafnie uznanym za skuteczny. Gdyby zamknięcie Żydów w obozach koncentracyjnych i uśmiercanie ich z pomocą wyrafinowanych tortur było zarządzane nie przez Hitlera, lecz przez Republikę Weimarską, i to mocą postanowień jak najbardziej parlamentarnych i legalnych, — tortury te nie byłyby przez to ani o jotę więcej uprawnione niż są dzisiaj. Nie można zaś wcale uznać, że rzecz taka była nie do pomyślenia.

Uprawnione jest tylko to co jest słuszne. Ani zbrodnie, ani kłamstwo nie są nią nigdy.

Nasz ideał republikański wywodzi się całkowicie z pojęcia woli zbiorowej, jakie zawdzięczamy Rousseau. Zrozumienie jednak tego pojęcia zagubiło się niemal natychmiast, bowiem pojęcie to jest złożone i wymaga skupionej uwagi.

Poza paru rozdziałami, mało jest książek równie pięknych,

mocnych, przenikliwych i jasnych, jak *Umowa Społeczna*. Powiada się, że mało jest książek, które by wywarły podobny wpływ, lecz w istocie wszystko działało się i dzieje jakby *Umowy* nigdy nie przeczytano.

Rousseau wyszedł z dwóch oczywistości. Po pierwsze, że rozsądek rozpoznaje i wybiera sprawiedliwość i pocziwają użyteczność, wszelka zbrodnia zaś wywodzi się z namietności. Po wtóre, że ludzie równi są sobie pod względem rozsądku, ale namietności ich są zwykle różne. Na zasadzie czego, jeśli by każdy z nich rozważył na osobności jakieś zagadnienie wszystkich dotyczące i wypowiedział swój sąd o nim, po czym zdania te byłyby porównane, okazałoby się, że są one zbieżne w tym co trafne i rozsądne, a rozbieżne w tym co niesprawiedliwe i oparte na błędzie.

Tylko na zasadzie rozumowania tego rodzaju przyjmuje się, że *consensus* zbiorowy wskazuje prawdę.

Prawda jest jedna. Sprawiedliwość jest jedna. Błędy, niesprawiedliwości są nieskończenie różne. Tak przeto ludzie schodzą się w sprawiedliwym i w prawdziwym, a przez kłamstwo i zbrodnię rozchodzą się nieskończenie. Że zaś jedność stanowi się materialną, można się spodziewać, iż znajdzie się sposób na to, by prawda i sprawiedliwość zyskały na tym padole więcej mocy materialnej niż zbrodnia i błąd.

Trzeba mechanizmu odpowiedniego. Jeśli demokracja daje ten mechanizm, jest dobra. W przeciwnym razie — nie.

Prawdziwe jest również twierdzenie Rousseau, że niesłuszna wola całego narodu niczym nie jest lepsza od niesłusznej woli jednostki.

Rousseau sądził jedynie, że wola którą podziela całe społeczeństwo jest najczęściej faktycznie zgodna ze sprawiedliwością, a to przez wzajemne unieszkodliwienie i wyrównanie poszczególnych namietności. Z tej jedynie przyczyny przekładał wolę narodu ponad wolę jednostki.

Na tej to zasadzie masa wodna, choć złożona z rozedrganych i wciąż się zderzających drobni, jest w stanie idealnej równowagi i bezruchu. Odbija obraz dokładnie i bez skazy, określa wiernie powierzchnię poziomą, wskazuje bezbłędnie gęstość ciał zanurzonych.

Skoro jednostki namietne, przez swą namietność skłonne do zbrodni i kłamstwa, składają się wszystkie jednakowo na zbiorowość prawdziwą i sprawiedliwą, w takim razie słuszne jest, by społeczeństwo miało prawa zwierzchnie. Konstytucja demokratyczna jest dobra, gdy przede wszystkim utrzymuje w społeczeństwie ów stan równowagi, oraz gdy, w drugim rzędzie, zapewnia wykonanie woli ludu.

Myślenie roku 1789 nie polega w istocie na założeniu, że dana rzecz jest słuszna ponieważ naród jej chce, lecz na przyjęciu, iż w pewnych warunkach wola zbiorowości, łatwiej niż

jakakolwiek inna wola, ma dane, by być zgodna ze sprawiedliwością.

By móc stosować pojęcie woli ogólnej trzeba uczynić zadość wielu nieodzownym warunkom.

Piewszy, to że gdy naród uprzytamnia sobie swą wolę i wypowiada ją, nie może w żaden sposób być w nim zbiorowej namiętności.

Jest oczywiste, że rozumowanie to upada, jeśli naród jest owładnięty taką namiętnością, Rousseau dobrze o tym wiedział. Zbiorowa namiętność pcha do zbrodni i kłamstwa nieporównanie silniej niż jakakolwiek namiętność indywidualna. Bodźce ujemne nie unieszkodliwiają się już, lecz wynoszą wzajemnie do tysięcznej potęgi. Ich przemożnemu ciśnieniu oprzeć się mogą tylko święci autentyczni.

Woda poruszona silnym i gwałtownym prądem nie odbija już obrazu przedmiotów, nie zachowuje powierzchni poziomej, nie określa gęstości ciał. Mało ważne jest, czy sprawił to jeden prąd tylko, czy też kłębi się i wiruje pięć czy sześć prądów: w obu przypadkach jest skłócona.

Kraj, opanowany przez jedną namiętność zbiorową, jest jednomyślny w zbrodni. Rozdarty między dwie, cztery lub więcej namiętności, rozpada się na liczne bandy zbrodniarzy. O ile osad namiętności indywidualnych daje się wchłonąć w masie, o tyle rozbieżne namiętności zbiorowe nie mogą się neutralizować; jest ich za mało, siła każdej z nich jest zbyt wielka, by mogły się wzajemnie unieszkodliwić. W walce jeszcze się rozjątrają. Zderzają się z istic piekielnym łoskotem, głuszac zupełnie głos sprawiedliwości i prawdy, i tak rzadko kiedy dosłyszalny.

Gdy kraj jest owładnięty zbiorową namiętnością, byle która wola indywidualna może stać się bliższa sprawiedliwości i rozsądku niż wola zbiorowa — a raczej to co wówczas stanowi jej karykaturę.

Drugi warunek polega na tym, by lud mógł wyrażać swą wolę co do problemów życia publicznego, a nie był dopuszczany tylko do wyboru osób. A tym mniej — wyboru nieodpowiedzialnych zbiorowości. Gdyż z wyborem takim wola całości nie ma wspólnego.

Jeśli w 1789 wola całości istotnie znalazła niejakie odbicie — choć system reprezentacyjny zastosowano tylko z braku wyobrażenia czegoś lepszego — to dlatego, że nie ograniczono się do samych wyborów. Wszystkie żywotne siły w kraju jak długi i szeroki — a kraj aż kipiał życiem — podjęły wysiłek przekazania swych myśli na łamach arkuszy żądań. Wybrani przedstawiciele dali się przeważnie poznać w tym wspólnym wysiłku myślowym; zachowali jego gorące tchnienie; odczuwali kraj — uważny na ich słowa i baczny by wiernie przekazali jego pragnienia. Przez jakiś czas — nader krótki — byli naprawdę zwykłym organem wypowiedzania myśli powszechnej.

Podobne zjawisko nie powtórzyło się już nigdy.

Samo określenie tych dwóch warunków wykazuje, że nie znaleźliśmy nigdy czegoś, choć trochę podobnego do demokracji. W ustroju, który określamy jej nazwą, lud nie ma nigdy ani warunków ani sposobności wyrażenia zdania o jakimkolwiek problemie życia publicznego; i wszystko to, co wymyka się interesom osobistym, wydane jest na łup namiętności zbiorowych, systematycznie i oficjalnie podniecanych.

Samo użycie słów: demokracja i republika wymaga roztrząśnienia z szczególną uwagą dwóch zagadnień, a mianowicie:

— Jak dać ludziom, składającym się na społeczeństwo francuskie, możliwość wyrażenia co jakiś czas sądu o doniosłych problemach życia publicznego?

— Jak zapobiec, gdy społeczeństwo jest o ten sąd pytane, powstaniu zbiorowej namiętności w jakiejkolwiek postaci?

Jeśli się nie rozważy tych dwóch punktów, nie warto jest mówić o legalizmie republikańskim.

Zagadnienia te nie są łatwe do rozwiązania. Wszelako bliższe rozpatrzenie ich wykazuje jasno, że każdy z możliwych sposobów musiałby mieć za punkt wyjścia zniesienie stronnictw.



Aby ocenić stronnictwo przykładając do niego probierz prawdy, sprawiedliwości i dobra publicznego, wypada zacząć od ustalenia istotnych jego cech charakterystycznych.

Można ich wymienić trzy:

Partia stanowi maszynę do wytwarzania zbiorowej namiętności.

Partia jest organizacją stworzoną w sposób umożliwiający wywieranie masowego nacisku na myśli poszczególnych jej członków.

Celem najważniejszym, a jak wykazuje wyczerpująca analiza — i celem jedynym każdej partii jest jej własny rozrost i to bez żadnych ograniczeń.

Wszystkie te trzy znamiona stanowią, iż każda partia jest z samego założenia i z racji swych dążeń — totalitarna. Jeśli nie jest nią w praktyce, to tylko dlatego, że inne, otaczające ją stronnictwa są w tym samym stopniu totalitarne.

Dla każdego, kto zetknął się z życiem partyjnym, wszystkie te trzy cechy są oczywiste.

Trzecia z nich stanowi szczególny przykład fenomenu, jaki powstaje wszędzie tam, gdzie zbiorowość opanowuje jednostki myślące. Polega on na odwróceniu stosunku między celem i środkiem. Wszędzie bez wyjątku, wszelkie rzeczy ogólnie uznane jako cele, są z swej natury, z definicji, z istoty i w sposób najbardziej oczywisty — tylko środkami. Można by tu przytoczyć dowolną ilość przykładów z każdej dziedziny. Pieniądze, władza, państwo, wielkość narodu, wytwórczość gospodarcza, dyplomy uniwersyteckie, i wiele innych.

Tylko dobro jest celem. Wszystko to, co wchodzi w zakres faktów, jest z rządu środków. Jednakże myśl zbiorowa nie jest zdolna wynieść się ponad poziom faktów. Jest to myśl zwierzęca. Pojęcie dobra zna tylko o tyle, że błędnie poczytuje ten lub ów środek za dobro bezwzględne.

To samo dotyczy stronnictw. W zasadzie stronnictwo jest organem służącym określonej koncepcji dobra publicznego.

Odnosi się to nawet do partii, które są związane z interesami danej warstwy społecznej, bowiem zawsze istnieje jakaś koncepcja dobra publicznego, przedstawiająca interesy tej warstwy jako zbieżne z dobrem publicznym. Lecz koncepcja taka jest niezmiernie ogólnikowa. Jest tak bez wyjątku, i niemal zawsze w tym samym stopniu. Zarówno partie najmniej trwałe, jak i najlepiej zorganizowane, są jednakże pod względem nieuchwytności doktryny. Nikt, nawet najwnikliwiej badający sprawy polityczne, nie jest zdolny ściśle i jasno wyłożyć doktryny jakiegokolwiek stronnictwa — nie wyłączając własnego.

Ludzie nie przyznają się do tego nawet wobec samych siebie. Gdyby to sobie wyznali, byłiby skłonni naiwnie widzieć w tym oznakę własnej nieudolności, zamiast uznać że określenie: "doktryna partii" nie może nigdy, z samej natury rzeczy, mieć jakiegokolwiek znaczenia.

Nawet ten, kto całe życie strawił na opisywaniu i badaniu problemów idei, ma rzadko kiedy jakąś doktrynę. Zbiorowość nie ma jej nigdy. Doktryna nie jest towarem zbiorowości.

Istotnie można mówić o doktrynie chrześcijańskiej, doktrynie hinduskiej, pitagorejskiej itd. To jednak, co się zawiera w takim określeniu, nie jest ani indywidualnym, ani zbiorowym, jest rzeczą będącą nieskończenie wyżej jednego i drugiego. Jest po prostu i zwyczajnie — prawdą.

Cele stronnictwa są rzeczą nieuchwytną i nierealną. Gdyby były rzeczą realną, wymagałyby nadzwyczajnego wysiłku uwagi, gdyż pojęcie dobra publicznego nie jest dla wyobrażenia łatwe. Natomiast istnienie partii jest uchwytnie, oczywiste, stwierdzenie go nie wymaga żadnego wysiłku. Nieuniknione jest przeto, że w praktyce partia staje się celem samym w sobie.

Jest w tym bałwochwalstwo, bowiem tylko Bóg jest zasadnie celem samym w sobie.

To przeniesienie pojęć jest nader łatwe. Stawia się aksjomat, że na to, by partia mogła realnie wprowadzić w życie swój program mający na celu dobro publiczne, musi posiadać rozległą władzę.

Jednakże żaden określony stopień władzy nigdy nie może być prawdziwie uznany za dostatecznie wysoki, a już szczególnie — po jej zdobyciu. Stronnictwo znajduje się wtedy, wskutek braku myśli, w stanie ustawicznej niemocy, którą zawsze przypisuje niedostateczności danej mu władzy. Nawet gdyby stało się panem absolutnym kraju, natrafiłoby na znaczne zahamowania, wynikające z konieczności międzynarodowych.

Toteż istotne dążności stronnictw są totalitarne nie tylko w odniesieniu do własnego narodu, lecz w odniesieniu do całej kuli ziemskiej. I właśnie dlatego, że koncepcja dobra publicznego jest w każdej partii fikcją, rzeczą pustą, nierealną, — koncepcja ta zmusza do sięgania po władzę totalną. Wszelka rzeczywistość sama przez się mieści w sobie ograniczenie. Nie da się ograniczyć tylko to, co wcale nie istnieje.

Stąd też jest powinowactwo i przymierze między totalitaryzmem i kłamstwem.

Wielu ludzi co prawda nie myśli nigdy o władzy totalnej; podobna myśl by ich przeraziła. Myśl o władzy totalnej przyprowadza o zawrót głowy i trzeba swoistej wielkości, by ją udźwignąć. Ludzie ci, skoro przejmują się losami jakiejś partii, poprzestają na pragnieniu jej rozwoju — bez żadnych granic jednak. Cieszą się, gdy od zeszłego roku zapisało się do niej trzech nowych członków, gdy zbiórka przyniosła o sto franków więcej. Lecz pragną, by tak było bez końca — w tym samym kierunku. W żadnym przypadku nie potrafiliby dojść do przekonania, że ich partia może kiedykolwiek mieć zbyt wielu członków, zbyt wielu wyborców, zbyt wiele funduszy.

Temperament rewolucyjny wie, że do ogarnięcia całości. Temperament drobnomieszczański wie, że ścieśnienia się w ramach wyobrażenia postępu powolnego, ciągłego i nieograniczonego. Lecz w obu przypadkach wzrost materialnej siły stronnictwa staje się jedynym probierzem, wedle którego dobro i zło dają się określić w każdej sytuacji. Dokładnie tak, jakby partia była zwierzęciem tucznym, a wszechświat istniał tylko po to, by je najlepiej utuczyć.

Nie można służyć i Bogu i mamonie. Jeśli się ma dla dobra inny probierz niż sam probierz dobra, ztraca się pojęcie dobra.

Skoro za probierz dobra przyjęty jest rozrost partii, nieodzownym następstwem jest nacisk zbiorowy partii na myśl ludzką. I rzeczywiście, nacisk ten jest wywierany. Panoszy się jawnie. Manifestuje się go bez obsłonek. Budziłby w nas odrzę, gdyby nie nawyk, przez który tak bardzo stwardnieliśmy.

Jawnie i oficjalnie, stronnictwa są zorganizowane tak, by móc w duszach zabijać zmysł prawdy i sprawiedliwości.

Nacisk zbiorowy na masy ludzkie wykonywany jest w drodze propagandy. Nietajonym zadaniem propagandy jest nakłaniać, a nie oświecać. Hitler trafnie dostrzegł, że propaganda zmierza zawsze do ujarzmienia umysłów. Wszystkie stronnictwa robią propagandę. Gdyby które jej nie robiło, zniknęłoby przez to samo, że inne ją robią. Wszystkie stronnictwa przyznają, że robią propagandę. Żadne z nich nie posunęłoby się w kłamstwie aż do wmawiania, że kształci ludzi, że urabia sąd społeczeństwa.

Partie mówią co prawda o kształceniu, ale dotyczy to tych, którzy się do nich zgłosili, sympatyków, młodych i nowych członków. Lecz twierdzenie takie jest kłamstwem. Chodzi o tresurę

dla utorowania wpływu, jeszcze silniej zniewalającego myśli członków.

Wyobraźmy sobie członka jakiejś partii — deputowanego lub kandydata do Parlamentu, bądź zwykłego szeregowca partii, — który by publicznie złożył przyrzeczenie tej treści: "Ilekroć będę rozważał jakiś problem polityczny czy społeczny, zobowiązuję się całą uwagę poświęcić rozpoznaniu dobra publicznego i sprawiedliwości nie bacząc wcale na moją przynależność do stronnictwa".

Słowa takie byłyby bardzo źle przyjęte. Koledzy z partii, a nawet niejedni inni oskarżyliby go o zdradę. Najmniej zażarci powiedzieliby: "Po cóż w takim razie wstąpił do partii?" — przyznając tym naiwnie, że przez przystąpienie do stronnictwa rezygnuje się z wyłącznego poszukiwania sprawiedliwości i dobra publicznego. Człowiek taki byłby wykluczony z partii, a co najmniej odsunięty od jakichkolwiek stanowisk; z pewnością nie byłby wybrany.

Lecz co więcej, nie wydaje się możliwe, by ktokolwiek mógł się tak odezwać. Istotnie, o ile się nie myłę, słowa podobne nigdy wyrzeczone nie były. Jeśli zaś przemowa taka była kiedy wypowiedziana, to chyba tylko przez kogoś, kto chciał rządzić w oparciu o inne stronnictwa, a nie swoje własne. W takim razie słowa brzmiały jak sprzeniewierzenie się honorowi.

Poczytuje się natomiast za całkiem naturalne, rozsądne i honorowe, gdy ktoś oświadcza: "Jako konserwatysta...", lub "Jako socjalista uważam, że..."

Co prawda, nie dotyczy to samych partii. Nikt nie zaczerwieni się mówiąc: "Jako Francuz uważam, że...", "Jako katolik uważam, że..."

Dziewczęta, które podawały się za wyznawczynie degaullizmu — jako francuskiej odmiany hitleryzmu — dodawały: "Prawda jest względna, nawet w geometrii". Dotykały tym sedna rzeczy.

Jeśli prawda nie istnieje, ma się prawo myśleć w ten czy inny sposób, zależnie od tego, czy się poczytuje siebie za takiego czy innego. Podobnie jak się ma włosy czarne, bądź brązowe, rude, jasne — ponieważ jest się takim, tak również wytwarza się takie lub inne myśli. Myśl jest tedy, podobnie jak włosy, wytworem fizycznego procesu wydzielania.

Jeśli jednak uznaje się, że jest tylko jedna prawda, wolno myśleć tylko to, co jest prawdziwe. Sądzi się wtedy to lub owo nie dlatego, że się poczytuje siebie za Francuza, katolika, socjalistę, ale dlatego, ponieważ nieodparte światło oczywistości zobowiązuje do myślenia tak, a nie inaczej.

Jeśli nie ma oczywistości, jeśli jest wątpliwość, jest jasne, że w stanie wiadomości jakimi się rozporządza sprawa jest wątpliwa. Jeżeli jest małe prawdopodobieństwo po jednej stronie, jest oczywiste, że jest słabe prawdopodobieństwo; i tak dalej. W każdym przypadku jednak światło wewnętrzne daje zawsze

każdemu, kto się ku niemu zwróci, odpowiedź jasną. Treść odpowiedzi jest bardziej lub mniej stanowcza, nie jest to jednak ważne. Może ona zawsze być poddana rewizji; lecz korektywa taka może powstać tylko w stanie większego światła wewnętrznego.

Członek partii, stanowczo zdecydowany dochować we wszystkich myślach wierności wyłącznie dla światła wewnętrznego i tylko jego — nie może tego postanowienia wyjawiać stronnictwu. I jest wówczas względem niego w stanie kłamstwa.

Podobną postawę można przyjąć tylko dlatego, że aby owocnie brać udział w życiu publicznym jest się zniewolonym należeć do jakiejś partii. Lecz w takim razie przymus ten stanowi zło; trzeba z nim skończyć i znieść partię.

Kto nie powziął postanowienia, że tylko światłu wewnętrznemu dochowa wierności, wprowadza kłamstwo do samej głębi duszy. I jest pokarany stanem wewnętrznej ciemności.

Na próżno szukałby ratunku rozdzielając wewnętrzną wolność od zewnętrznej dyscypliny. Musi okłamywać opinię publiczną, wobec której każdy kandydat, każdy wybrany ma szczególną powinność uszanowania prawdy.

Czy przystępując do powiedzenia w imieniu partii rzeczy, które sam uważam za niezgodne z prawdą i sprawiedliwością, uprzedzę o tym słuchaczy? Jeśli bym tego nie uczynił, skłamię.

Z trzech postaci kłamstwa: względem stronnictwa, względem ogółu i względem samego siebie, ta pierwsza jest stanowczo najmniej szkodliwa. Jednakże, skoro przynależność do partii stale i zawsze zmusza do kłamstwa, istnienie ich jest bezwzględnie i bezwarunkowym złem.

W zapowiedziach zgromadzeń często można było wyczytać: Pan X przedstawi dane zagadnienie z punktu widzenia komunisty, pan Y z punktu widzenia socjalisty, pan Z z punktu widzenia radykała.

Jakim to sposobem nieszczęśnicy ci dochodzili do tego, by poznać swe "punkty widzenia"? Kogóż-to mogli się poradzić? Jakiej wyroczeni? Zbiorowość nie ma swego własnego języka, ani swego pióra. Narządy służące wyrażeniu myśli są indywidualne. Zbiorowość socjalistyczna nie mieści się w żadnej jednostce. Ani zbiorowość radykalna. Zbiorowość komunistyczna mieści się w Stalinie, ale on jest daleko: nie można go wywołać do telefonu przed wystąpieniem na zgromadzeniu.

Nie! Panowie X, Y, Z radzili się tylko samych siebie. Jako ludzie uczciwi jednak, wprowadzali się w specjalny stan umysłu, stan podobny do tego, do jakiego nieraz już doprowadzała ich atmosfera zebranych komunistycznych, socjalistycznych czy radykalnych.

Kto w takim nastroju popuści wodze swym reakcjom, ten oczywiście spłodzi przemowę, zgodną z "punktem widzenia" partii komunistycznej, socjalistycznej czy radykalnej.

Pod warunkiem, rzecz prosta, że wzbroni sobie stanowczo każ-

dej próby rozpoznania sprawiedliwości i prawdy. Gdyby bowiem podjął ten wysiłek, mogłoby mu się przydarzyć, że — o zgrozo — wyraziłby "punkt widzenia osobisty".

Bo za naszych czasów dążność do sprawiedliwości i prawdy jest traktowana jako odpowiadająca osobistemu punktowi widzenia.

Gdy Poncjusz Płat zapytał Chrystusa: "Czymże jest prawda?" Chrystus mu nie odpowiedział. Ale już wcześniej rzekł: "...i na tom przyszedł na świat, abym świadectwo dał prawdzie".

Jest tylko jedna odpowiedź. Prawdą są myśli, które się rodzą w umyśle istoty myślącej, całkowicie, jedynie i wyłącznie żadnej prawdy.

Kłamstwo, błąd — słowa jednoznaczne — są myślami tych, którzy prawdy nie pragną, a nadto tych, którzy pragną prawdy i czegoś prócz niej. Na przykład: pragną prawdy, a oprócz niej zgodności z taką czy inną myślą ustaloną.

Lecz jak pożądać prawdy nic o niej nie wiedząc? W tym właśnie kryje się największa tajemnica. Słowa wyrażające doskonałość: Bóg, prawda, sprawiedliwość, — wymawiane w głębi siebie z pragnieniem, a nie łączone z żadnym wyobrażeniem, mają moc uniesienia duszy i zalania jej światłem.

Kto łaknie prawdy, dozna jej światła jeśli oczyścił się z wszelkich pojęć wcześniejszych i nie usiłuje z góry odgadnąć treści objawienia. Oto cały mechanizm skupionej uwagi.

Nie jest możliwe zbadanie arcykomplikowanych problemów życia publicznego, mając uwagę zwróconą na wykrycie prawdy, sprawiedliwości i dobra publicznego, i jednocześnie na to, by zachować postawę jaka przystoi członkowi danego zrzeszenia. Ludzka uwaga nie jest w stanie podołać dwom troskom jednocześnie. W istocie, kto przekłada jedną, wyrzeka się drugiej.

Temu jednak, kto wyrzeka się sprawiedliwości i prawdy, nie grożą żadne cierpienia. Przeciwnie, system partyjny przewiduje najdotkliwsze kary za brak uległości względem stronnictwa. I to kary godzące niemal we wszystko: w karierę, w uczucia, w przyjaźń, w dobre imię, w dziedzinę zewnętrzną honoru, a nieraz nawet w życie rodzinne. W partii komunistycznej metoda ta doprowadzona jest do doskonałości.

Istnienie kar pacy rozpoznanie nawet w tym, kto w głębi siebie stawia opór. Bo gdy chce przeciwstawić się naciskowi partii, sama chęć tego przeciwstawienia jest już czynnikiem obcym prawdzie, i trzeba się mieć przed nim na baczności. Lecz również — przed tą bacznością, i tak dalej jeszcze. Prawdziwe skupienie jest stanem tak trudnym i wymaga tak znacznego natężenia, że wszelka rozterka wewnętrzna wystarcza, aby mu przeszkodzić. Z czego wynika, że winniśmy koniecznie, ile tylko się da, chronić daną nam zdolność rozpoznawczą przed zamiętaniem nadziei i lęków osobistych.

Jeśli ktoś robi bardzo złożone obliczenia z świadomością, że ile razy wyprowadzi liczbę parzystą spotka go chłosta, położe-

nie jego jest nader trudne. Coś cielesnego w duszy skłoni go, by "pomóc" rachunkom i móc za każdym razem uzyskać liczbę nieparzystą. Jeśli będzie się temu opierał, wyprowadzi liczbę parzystą nawet wtedy, kiedy tego nie potrzeba. I tak, wzięty w dwa ognie, nie wykaże już swobodnej uwagi. Jeśli rachunki są złożone i wymagają wytężonego skupienia, niechybnie będzie się wciąż mylił. Na nic nie zda mu się wysoka inteligencja, odwaga i docieklivość.

Cóż ma robić? Po prostu, jeśli może się wyrwać z rąk tych, którzy mu grożą batem, niech ucieka. Jeśli może uniknąć doścania się w ich ręce, niech tego unika.

Tak właśnie jest ze stronnictwami.

Tam gdzie są, prędzej czy później dochodzi do tego, że niepodobieństwem jest wydajnie uczestniczyć w życiu publicznym bez wstąpienia do któregoś z nich i uzależnienia się całkowitego. Każdy, kto zajmuje się sprawami publicznymi, chce zajmować się nimi w sposób wydajny. Tak więc ludzie wrażliwi na dobro publiczne bądź przestają mu poświęcać uwagę i odwracają się ku innym sprawom, bądź poddają się walcom partii. A i w tym wypadku nawiedzają ich troski, wyłączające troskę o dobro publiczne.

Stronnictwa są wspaniałą maszyną, mocą której na całej przestrzeni państwa ani jeden umysł nie zdobywa się na wysiłek uwagi dla rozpoznania, w zakresie spraw publicznych, dobra, sprawiedliwości i prawdy.

Rezultatem tego jest, że poza rzadkim zbiegiem okoliczności, wszelkie postanowienia są wydawane i wykonywane naprzekór dobru publicznemu, sprawiedliwości i prawdzie.

Sam diabeł nie mógłby sobie wyobrazić czegoś bardziej pomysłowego, gdyby mu poruczono zorganizowanie życia publicznego.

Jeżeli rzeczywistość nie była aż tak bardzo ponura, to tylko dlatego, że partie nie pożarły jeszcze wszystkiego. Ale czy na prawdę rzeczywistość nie była tak ponura? Czy jednak nie była ona ponura na miarę obrazu, tu nakreślonego? Czyż nie wykazały tego wydarzenia?

Trzeba przyznać, że mechanizm duchowego i umysłowego uciemięczenia, jakim są partie, został do historii wprowadzony przez Kościół katolicki, w okresie walki z herezją.

Nawrócony, który wstępuje do Kościoła, czy też wierny który bije się z myślami i jednak decyduje się w nim pozostać, znajdują w dogmacie coś z prawdy i z dobra. Lecz przekraczając próg Kościoła wyznają tym samym, że *anathema sit* nie ma do nich zastosowania: to znaczy, że przyjmują w całości wszystkie przepisy "wiary ścisłej". Przepisów tych nie zbadali. Nawet przy wysokiej inteligencji i kulturze nie starczyłoby życia na takie studium, ile że trzeba by poznać okoliczności historyczne każdego skazującego wyroku.

Jak przystać na twierdzenia, których się nie zna? Wystarczy

podporządkować się bezwarunkowo autorytetowi, który jest u ich źródła.

I oto dlatego właśnie św. Tomasz opiera swoje twierdzenia jedynie na powadze Kościoła, a odrzuca wszelkie inne argumenty. Gdyż, powiada, wystarczy to tym, którzy autorytet ów uznają, żadne zaś argumenty nie zdołałyby przekonać takich, którzy go odrzucają.

W ten sposób światło wewnętrzne objawienia, owa zdolność rozpoznania, dana z niebios duszy ludzkiej w odpowiedzi na pragnienie prawdy, jest odtrącone, sprowadzone do zadań poślednich jak robienie rachunków, odsunięte od wszelkich dociekań nad duchowym przeznaczeniem człowieka. Pobudką myśli nie jest już pragnienie prawdy bezwarunkowe i nieograniczone, lecz poszukiwanie zgodności z nauką ustaloną z góry.

To, że ustanowiony przez Chrystusa Kościół zdołał w ten sposób w dużym stopniu zdusić ducha prawdy (a jeśli mimo Inkwizycji nie dokonał tego do reszty, to tylko dzięki temu, że duch ów znalazł bezpieczne schronienie w misticzności) ma doprawdy wymowę ironii tragicznej. Nieraz to podkreślano. Mniej jednak zwrócono uwagi na inny fakt, równie tragiczny w swojej ironii. Mianowicie, że bunt podniesiony przeciw uciskowi myśli pod rządami inkwizycji, wziął taki obrót, iż sam z kolei podjął dalej dzieło duszenia myśli.

Reformacja i humanizm Renesansu, oba powstałe z tego buntu, hojnie przyczyniły się do zrodzenia, po trzech wiekach dojrzewania, ducha roku 1789. Z dalszym upływem czasu powstała stąd nasza demokracja, oparta na grze stronnictw, z które każde jest jakby małym kościołem — świeckim a zbrojnym w groźbę ekskomuniki. Wpływ stronnictw zaraził chorobą całe życie umysłowe naszych czasów.

Człowiek, który wstępuje do partii, dopatrywał się zapewne w jej działaniu i propagandzie, rzeczy które mu się wydały słuszne i dobre. Lecz nigdy nie zbadał postawy zajętej przez ową partię względem wszystkich zagadnień życia publicznego. Zapisując się do partii, godzi się na postawę, której wcale nie zna. W ten sposób podporządkowuje swą myśl autorytetowi partii. Kiedy stopniowo pozna tę postawę, przyjmie ją bez rozważenia.

Jest to ściśle ta sama sytuacja, w jakiej znajduje się ten, kto przystępuje do katolicyzmu ortodoksyjnego w ujęciu św. Tomasza.

Gdyby ktoś, zwracając się o legitymację członkowską partii, oświadczył: "Jestem zgodny z stronnictwem w tych a w tych punktach; nie zbadałem jeszcze waszego stanowiska w innych punktach i zastrzegam sobie prawo zachowania własnego zdania o nich dopóki nie zapoznam się z waszym stanowiskiem" — zapewne usłyszałby odpowiedź, że może się zgłosić kiedy indziej...

Lecz w istocie, poza rzadkimi wyjątkami, każdy kto wstępuje

do stronnictwa, przyjmuje uległe postawę myślową, której będzie potem dawał wyraz mówiąc: "Jako monarchista, jako socjalista, uważam, że..." Jakże to wygodne! Jest bowiem równoznaczne z niemysleniem, a nic nie jest tak wygodne, jak niemyslenie.

Co się tyczy trzeciej cechy stronnictw, mianowicie, że są one maszynieriami do wywoływania zbiorowej namiętności, jest ona zbyt oczywista, by trzeba jej dowodzić. Namiętność zbiorowa jest jedyną energią, jaką stronnictwa rozporządzają dla prowadzenia propagandy na zewnątrz i dla wywierania nacisku na duszę każdego z członków.

Nikt temu nie przeczy, że duch partyjny zaślepia, że czyni głuchym na sprawiedliwość, że nawet uczciwych doprowadza do najokrutniejszej zawziętości względem ludzi niewinnych. Nikt temu nie przeczy, a jednak nawet nie myśli się o zniesieniu organizacji, które takiego ducha wytwarzają.

A przecież narkotyki są wzbronione.

Są co prawda narkomani. Lecz byłoby ich jeszcze więcej, gdyby państwo zorganizowało sprzedaż opium i kokainy w sklepach tytoniowych, i rozplakatowało ich reklamę dla zachęcenia nabywców.

Konkludując trzeba stwierdzić, że instytucja stronnictw zdaje się niewątpliwie stanowić zło niemal bez żadnej przymieszki. Stronnictwa są złe z samej zasady, a w praktyce owoce ich są również złe.

Zniesienie stronnictw sprawiłoby dobro niemal czyste. Zniesienie ich jest niezbicie uprawnione z zasady, w wykonaniu zaś może dać tylko dobre owoce.

Kandydaci nie mówiliby do wyborców: "Występuję pod taką a taką firmą", które to słowa wcale nie objaśniają opinii o określonej postawie kandydata względem określonych zagadnień, — lecz zwracaliby się słowami: "Myślę to a to na temat takiego a takiego doniosłego problemu".

Wybrani łączyliby się bądź rozłączali wedle naturalnego biegu podobieństwa przekonań. Mogę być w doskonałej zgodzie z panem A w sprawie osadnictwa, a nie godzić się z nim co do własności chłopskiej; odwrotnie zaś — z panem B. Gdy się obraduje na temat osadnictwa, idę przed posiedzeniem pomówić z panem A; gdy zaś przedmiotem jest własność chłopska, zwracam się do pana B.

Sztuczny układ stronnictw w tak małym stopniu pokrywał się z podziałem według zbieżności poglądów, że dany deputowany mógł być w rozdzwieku we wszystkich konkretnych sprawach ze swym kolegą partyjnym, a godzić się z deputowanym z innego klubu.

Ileż to razy w Niemczech, komunista i nazista dyskutując na ulicy w r. 1932 byli jak obuchem uderzeni odkryciem, że poglądy ich są we wszystkim zgodne!

Ponieważ istniałyby czasopisma ideowe, rzecz prosta, sku-

pianoby się poza Parlamentem dokoła tych pism*). Lecz skupienia te musiałyby być utrzymane w stanie płynności. Właśnie płynność odróżnia ośrodki takie od partii i uniemożliwia im wywieranie złego wpływu. Kiedy się po przyjaźni odwiedza kierownika takiego czasopisma oraz tych, którzy często w nim drukują, a jest się samemu pisarzem, wie się, że się jest w styczności z zespołem owego pisma. Lecz nie wie się nawet, czy się do niego należy. Nie ma ścisłego rozgraniczenia między współpracownikami "z zewnątrz" i "z wewnątrz" pisma. W szerszym kręgu są ci, którzy je czytują i którzy znają jednego lub dwóch spośród piszących na jego łamach. Dalej są czytelnicy stali, którzy czerpią z pisma idee. Jeszcze dalej — czytelnicy przygodni. Nikomu jednak nie przysłoby na myśl powiedzieć: "Jako związany z tym pismem, uważam, że..."

Gdyby który z współpracowników takiego pisma zgłosił w wyborach swą kandydaturę, powinno mu być wzbronione powoływać się na to pismo. Pismu należałoby zakazać przedstawiania kandydata jako swojego oraz dania jego kandydaturze poparcia choćby pośredniego, a nawet wspominania o niej.

Wszelkie zrzeszenia "przyjaciół" takiego pisma powinny być zabronione.

Gdyby jakieś czasopismo próbowało przy użyciu groźby zerwania stosunków przeszkodzić swym współpracownikom zamieszczania prac w innych, jakichkolwiek bądź, wydawnictwach, pismo takie należałoby zamknąć bezzwłocznie po przeprowadzeniu dowodu.

Tym samym konieczny byłby ustrój prasowy, uniemożliwiający istnienie wydawnictw, z którymi współpraca byłaby hańbiącą.

Należałoby również stosować represję karną w każdym przypadku, kiedy by udowodniono, że dane skupienie usiłuje przybrać formy organizacyjne przez nadanie swemu członkostwu ściśle określonego charakteru.

Istniałyby oczywiście stronnictwa tajne. Lecz ich członkowie mieliby nieczyste sumienie. I nie mogliby już publicznie popisywać się uległością myślową. Nie mogliby wcale uprawiać propagandy w imieniu partii. Partie nie mogłyby ich wciążyć w szczelnej sieci interesów, uczuć, zobowiązań.

Ilekoć prawo jest bezstronne i słuszne, a zgodność jego z dobrem publicznym jest dla społeczeństwa łatwo zrozumiała, tylekoć osłabia wszystko to, czego zakazuje. Działa tak przez sam fakt swego istnienia, niezależnie od sankcji karnych, które mają mu zapewnić wykonanie.

Ów przyrodzony majestat prawa jest czynnikiem życia publicznego, który od dawna poszedł w zapomnienie, a z którego należy czynić użytek.

*) Miesięczniki (revues), o których mówi autorka, odgrywają w życiu umysłowym Francji ogromną rolę, są kuźnią idei i ośrodkiem wielu klanów. (przyp. tłum.).

Wydaje się, że trudności związane z systemem partii legalnych są znacznie większe od tych, które by mogło sprawić istnienie partii tajnych.

Zresztą, po głębszym zastanowieniu, nie wydaje się, by istniały jakiegokolwiek trudności czy przeszkody, związane ze zniesieniem partii.

Przez szczególny paradoks, zarządzenie takie nie nastęrczące szczególnych trudności, ma najmniej widoków, aby być wydane. Powiada się: jeżeli by to było takie proste, to czym tłumaczyć, że nie było zrobione już dawno?

A przecież rzeczy wielkie są na ogół proste i łatwe.

Jeśli o tę chodzi, rozciągnęłaby dzieło uzdrowieńcze daleko poza zakres spraw publicznych. Bo duch partyjny zdołał już wszystko zakazić.

Mocą powagi władzy, instytucje stanowiące o biegu życia publicznego zawsze wywierają wpływ na całokształt myśli.

We wszystkich dziedzinach doszło już do tego, że prawie nie myśli się już inaczej, jak zajmując stanowisko "za" lub "przeciw" jakiemuś zdaniu. Po czym szuka się argumentów, zależnie od sprawy, bądź "za", bądź "przeciw". Słowem tak samo, jak po zapisaniu się do partii.

Podobnie tak, jak są w stronnictwach demokracji, którzy dopuszczają istnienie innych stronnictw, tak i w świecie idei ludzie "szerokich horyzontów" uznają wartość przekonań z którymi się nie godzą.

Równa się to zupełnemu zatraceniu samego poczucia prawdy i fałszu.

Inni, zajmwszy stanowisko "za" jakimś poglądem, nie godzą się na zbadanie czegokolwiek z nim niezgodnego. Jest to równoznaczne z myśleniem totalitarnym.

Gdy Einstein przybył do Francji, ludzie ze środowisk mniej lub więcej intelektualnych, nie wyłączając samych uczonych, rozbili się wszyscy na dwa obozy: za i przeciw. Wszelka nowa myśl naukowa ma w świecie uczonych swych stronników, jednych i drugich zastraszająco przenikniętych duchem partyjnym. W środowiskach tych zaznaczają się zresztą tendencje i koterie, bardziej lub mniej skryształizowane.

Jeszcze widoczniejsze jest to w dziedzinie sztuki i literatury. Kubizm i surrealizm były jakby stronnictwami. Było się też "Gidyistą" bądź "Morasistą"). Żeby sobie zdobyć nazwisko bardzo wskazane jest mieć grupę wyznawców, przepojonych duchem partyjnym.

Podobnie nie było dużej różnicy między związaniem się z partią, a związaniem się z jakimś kościołem bądź obozem antyreligijnym. Było się za lub przeciw wierze w Boga, za lub prze-

*) Od nazwiska głośnych pisarzy, André Gide'a i Charles Maurrasa (przyp. tłum.).

ciw chrześcijaństwu itd. Doszło do tego, że w dziedzinie religii mówiło się o "czynnych stronnikach"*)).

Nawet w szkołach nie zna się już innej metody pobudzenia dzieci do myślenia, jak danie im wypracowania, w którym mają zająć stanowisko za lub przeciw. Dyktuje im się zdanie wybitnego autora i mówi: "Godzicie się czy nie, z tym zdaniem? Podajcie uzasadnienie". Przy egzaminie, mając na napisanie wypracowania trzy godziny, nieszczęśnicy ci mogą poświęcić co najwyżej pięć minut na rozważenie, czy z daną myślą się godzą. A przecież o wiele prościej byłoby powiedzieć: "Zastanówcie się nad tym ustępem i przedstawcie myśli jakie wam nasuwa".

Niemal wszędzie — i to nieraz nawet w zakresie zagadnień czysto technicznych — czynność zajęcia stanowiska, określenia stosunku za lub przeciw, zajęła miejsce czynności myślenia.

Jest to trąd, który wziął początek w środowiskach politycznych i rozszedł się, nawskroś całego kraju, na wszystkie niemal dziedziny myśli.

Wątpliwe jest, by można ten trąd, tak dla nas zabójczy, wyłeczyć inaczej, jak poczynając od zniesienia stronnictw.

Simone WEIL

(Tłumaczył El. i.).

*) W oryginale: militants, wyraz nie mający odpowiednika w języku polskim, określający "wojującego" członka partii, coś między "aktywistą" (w żargonie komunistycznym w Polsce) a prawie bojówkarzem. (przyp. tłum.)

W połowie drogi

Sowiety o Sartre'ze «... ślepotą jego jest udana, bezstronność — stronnictwa... Sartre przeżył nadzwyczajną epopeję francuskiego Oporu. To nie łagodzi, lecz powiększa jego winę. Sartre zapewniał niejednokrotnie, że nie chce iść ani z komunistami, ani z antykomunistami, ani z Ameryką, ani ze Związkiem Sowieckim; sugerował stworzenie w płaszczyźnie duchowej «trzeciej sity», tak jak w płaszczyźnie politycznej próbowali to uczynić Ramadier i Moch. Istnieje jednak pewna nieunikniona więź postępku i zdarzeń... «Brudne ręce», (tak się nazywa ostatnie dzieło Sartre'a) to trywialny paszkwil. Wszystko w sztuce jest nieprawdziwe i nieprawdopodobne...

Zatrzymałem się na wypadku Sartre'a, aby podkreślić, konieczność dla każdego pisarza w Zachodniej Europie określenia swego miejsca... piruety André Gide'a nie są powtarzalne w naszych surowych czasach. Mit «trzeciej sity» został rozwiązany... «Bolszewik» — teoretyczny i polityczny organ CK WKP(b) z 30 stycznia 1949 r., str. 62-3.

«... zdrowy człowiek czyta to ze wstrętem. Jest to literatura całkowitego rozkładu: rozkładu myśli i rozkładu formy. Została zrodzona przez rozkładający się ustrój społeczny i przenika ją nieznosny zapach trupi. Kadzidło taniej miłości nie łagodzi smrodu rozkładu. Jest to literacka zgnilizna. Niczego innego nie może zrodzić kapitalizm przed swym upadkiem...» — D. Zaslowski w «Nowojie Wremia» (nieoficjalny, czterojęzyczny organ byłego Kominternu) z 23 marca 1949 r., str. 27.

Sartre o Sowietach «... U Lenina, u Trockiego i, tym bardziej, u Marksa nie ma słów, które by nie było słuszne, które by nie przemawiało dziś jeszcze do ludzi wszystkich krajów, które by nie pomagało nam w zrozumieniu tego, co się dzieje u nas. I po takich: jasności, poświęceniu, inteligencji — 10 milionów sowieckich zesłańców, głupota cenzury, panika usprawiedliwiania się... — uznanie człowieka w człowieku, międzynarodowość, społeczeństwo bezklasowe... Oto czego się uczy młody komunista rosyjski czy francuski... To znaczy ... iż mamy te same wartości, co komunista... Możemy sądzić, iż on je kompromituje przez ich wciela-

nie w dzisiejszym komunizmie. Pomimo to są one nasze i, odwrotnie, nie mamy nic wspólnego z licznymi przeciwnikami komunizmu... Jakąkolwiek jest istota obecnego społeczeństwa sowieckiego, ZSSR lokuje się w równowadze sił grosso modo po tej stronie, która walczy przeciwko znanym nam formom wyzysku». «Les Temps Modernes», styczeń 1950, str. 1157 - 1162.

1

W drodze nie mieliśmy stałych, znanych zawczasu, godzin posiłków. Ponieważ dni były upalne, gdy tylko pociąg stawał, rozlegały się natychmiast hałasy, stukania w drzwi i ściany. To poszczególne wagony domagały się wody. Zazwyczaj bezskutecznie. *Wot niekulturnyj narod*, miał pewnego razu powiedzieć jeden ze strażników tym, co zbyt energicznie dopraszali się wody. "Czyście fizyki nie czytali? W fizyce napisano, że człowiek 40 dni może żyć bez wody. Wyście wodę mieli wczoraj, a dziś już skandalicie". Istotnie, wodę i chleb dostawaliśmy normalnie co dwadzieścia cztery godziny. Raz tylko, już za Uralem, była dłuższa przerwa, ale wtedy nie było większych hałasów. W końcu drugiego tygodnia ludzie już zdawali sobie sprawę, że hałasy nic nie pomogą, a i sił zbyt wiele nie było.

Oprócz wody i chleba dostawaliśmy co 3 — 4 dni pół śledzia na osobę. Rzucano je na podłogę wagonu w ilości o połowę mniejszej od liczby ludzi w wagonie, pozostawiając sprawę rozdziału do naszej "wyłącznej kompetencji". Za pierwszym razem wywołało to pewne scysje: jedne śledzie były, czy też wydawały się, większe, inne mniejsze. Za drugim, amatorów na większy kawałek słonego śledzia znalazło się już mniej. Było za duszno, za gorąco i za mało wody.

Inicjatywie podchorążego H. zawdzięczaliśmy ścisłą ewidencję dni podróży. Mając swe legowisko na górnej narze, zaczął zaznaczać kreskami na belce wagonu ilość dni w nim spędzonych. Początkowo inicjatywa nie była popularna, rychło jednak monotonne dni zaczęły się plątać i wkrótce cały wagon pilnował, by podchorąży nie zapomniał zaraz po obudzeniu się postawić kolejnej kreski. Gdy stawał dwunastą, pociąg stał. Niedługo potem posłyszeliśmy ruch przy wagonie i odkręcanie murter. Ze zgrzytem odsunęły się drzwi i w szczelinie ukazały się DWA wiadra. Jedno z wodą stanęło na podłodze, z drugiego zaś, wypełnionego do połowy, posypało się na nią coś srebrnego. Były to jakieś małe rybki, długości zapalek, grubości okówka. Zupełnie nieopatrzone, z główkami, ogonkami i wnętrznościami.

W połowie lat trzydziestych pewien rozgłos w świecie zyskały książki Iwana Sołoniewicza, opisujące w sposób wysoce sensacyjny i mało prawdopodobny jego życie w ZSSR, pobyt w So-

łowieckich Obozach Specjalnego Przeznaczenia (SŁON) i ucieczkę z Rosji. Książki te czytałem wówczas z dużym niesmakiem. Szczególnie wraził mi się w pamięć ustęp, w którym Sołoniewicz twierdził, iż w obozach więźniowie karmieni byli SUROWĄ rybą. Po co taka przesada! Zapewne, że więźniów nigdzie dobrze nie karmią. Ale surowa ryba? Może nie bardzo świeża, ale na pewno ugotowana! Że też antysowiecka propaganda musi uciekać się do takich głupich kłamstw!

Rybki w wagonie nie były ugotowane. Z lekka tylko posolone. Przyglądaliśmy się im z pewnym zainteresowaniem i nieukrywanym wstrętem. Żadnych sporów w sprawie ich rozdziału nie było. Nieliczni tylko, i to po długich wahaniach, zdecydowali się na ich spróbowanie. "Jak siemieczki" (ziarna słonecznikowe) — mówili ci, co przy nich dłużej zostali. Rybek nie próbowałem. Z myślą o Sołoniewiczu i "głupiej antysowieckiej propagandzie" włożyłem kilka z nich do pudełka od zapalek. Mam je obecnie w Londynie. Wyszły na kość i trzymają się dobrze.

Ponieważ nie stać mnie na kupowanie nowych książek, staram się kupować używane. W Anglii nazywają się one "secondhand" — z drugiej ręki. W jednej z takich książek znalazłem przypadkiem list znanego brytyjskiego krytyka do redakcji jednego z czasopism.

"Zwracam tę książkę, gdyż byłoby stratą mego czasu i Pańskiego miejsca na jej omawianie; wydaje mi się być najgłupszym rodzajem antysowieckiej propagandy. Znam historie o czerwonym okrucieństwie... Jest wiele do krytykowania w sowieckim reżimie, ale nie z antysocjalistycznego punktu widzenia tej książki. Nie służy ona również zupełnie celom pacyfistycznym".

List był datowany 7 listopada 1938 roku. Dotyczył angielskiego wydania książki Sołoniewicza — *Escape from Russian Chains*.

2

Nie będę się kusił na opisywanie stanu, w jakim się wychodzi na powietrze po przeszło 3 tygodniowym pobycie w towarzystwie przeszło 30 innych osób w zamkniętym wagonie towarowym. Szczególnie gdy się doń weszło w rodzinnym mieście, zaś wychodzi w środku syberyjskiej tajgi.

Popędzani okrzykami uzbrojonej straży — *Dawaj skarej!*, ludzie i ich dobytek — worki, kosze i walizki — wysypywali się z kolejnych wagonów długiego "składu" na przytorową błotnistą polanę. W odległości 1 - 2 km. zarysowywały się jakieś do-

my, "wyszki", płoty. Pokonanie tej odległości dla ludzi osłabionych warunkami podróży, pijanych — w dosłownym niemal słowa znaczeniu — powietrzem i obarczonych sporym niekiedy bagażem, nie było rzeczą łatwą. Toteż posuwaliśmy się z ogromnym wysiłkiem, często padając z osłabienia, pod ciężarem dzwiganych pakunków, lub potykając się o nierówności terenowe. Kordon żołnierzy, otaczający tłum więźniów, dodawał energii pokrzykiwaniem, a czasem i szturchnięciem, sprawnie zapędzając tysiącgłowe stado i kierując je — niczym dobrze wytresowane owczarki — na majdan przed wejściem do obozu. Z daleka lub z wysoka widok nie musiał być zwykły: mógł robić wrażenie entuzjazmu i pośpiechu, z jakim ten tłum z wagonów podążał do obozu, by zacząć "nowe życie".

Na majdanie, przed przystąpieniem do sprawdzania ewidencji, rewizją i wpuszczeniem za bramę, odbył się wiec. Przemówienie nie było długie. Zażywny, elegancki oficer NKWD z dwoma "szpałami" na kolturze, skupiwszy na sobie wytężoną uwagę więźniów, zaczął od retorycznego pytania.

Język rosyjski znam dobrze, stałem blisko przemawiającego i słowa dochodziły mnie wyraźnie. A jednak ich nie rozumiałem, treść ich nie przenikała do mojej świadomości. Spojrzałem na otaczający mnie tłum litewskich wieśniaków z Kowieńszczyzny, uczniów kilku szkół rabinackich ze wschodniej Polski i garstki polskiej, żydowskiej i litewskiej inteligencji. Skupiał się coraz bardziej dookoła przemawiającego, by nic z jego słów nie uronić, dowiedzieć się wreszcie ZA CO i PO CO ich tu przywieziono. A on ich pyta, czy czytali Dantego...

— *Wy Dante znajecie, czytali?*

Po długiej pauzie po tym nieoczekiwanym i wręcz niezrozumiałym w aktualnych okolicznościach pytaniu, po wyczekaniu na reakcję psychiczną tysiąca więźniów, następuje wyjaśnienie.

— Stoicie przed bramą, nad którą nie ma napisu. Lecz kto zna wielkiego poetę włoskiego Dantego, kto go czytał, ten wie, jaki tu powinien być napis: *Ostawcie wsiakie nadzieje*. (Popularne rosyjskie tłumaczenie *Lasciate ogni speranza*). Stąd nie ma wyjścia. Chyba tamtędy.

Wzrok tłumy skierował się w kierunku wskazywanym ręką mówcy. Nie zauważyliśmy dotychczas stojących w masie niedaleko od wejścia do obozu niewielkich, podłużnych, niedbale zbitych skrzynek. Każda z nich była na miarę człowieka.

Komunista francuski Piotr Daix niedawno oświadczył publicznie, iż obozy są "un des plus beaux titres de gloire du régime soviétique" (Pierre Daix, *Pourquoi David Rousset a-t-il inventé les camps soviétiques?*, p. 12). Gdy w 1934 r., w charak-

terze tzw. "znatnego inostranca", bawiłem w Związku Sowieckim i składałem oficjalne wizyty w naukowych instytucjach sowieckich, dwa tylko razy WOKS (Wszechzwiązkowe Towarzystwo Łączności Kulturalnej z Zagranicą) sam wystąpił z inicjatywą. Raz kontaktu ze mną szukał p. Stanisław Pestkowski, interesujący się komunizującą młodzieżą wileńską. Po raz drugi chodziło o to, bym dołączył do amerykańskiej wycieczki, udającej się do osławionego Bolszewa.

O Bolszewie S. i B. Webbowie w *Soviet Communism — a new civilisation* pisali: "... znakomita kolonia poprawcza, która wydaje się być bardziej, niż cokolwiek w świecie, zbliżona — zarówno w zamierzeniach jak osiągnięciach — do ideału traktowania antyspołecznych przestępców. Jest to obszerna instytucja, obejmująca około tysiąca więźniów. Ulokowana w miłym majątku wywłaszczonego przemysłowca-milionera łączy produkcję fabryczną z rolnictwem. Nie posiada murów ani zamkniętych bram, utrudniających więźniom swobodę jej opuszczenia... Praktycznie udowadnia im się, że uregulowane życie w pracy i wypoczynku przy zupełnej niemal wolności, jest bardziej przyjemne, niż życie ze zbrodni czy żebrani. Po pewnym okresie czasu mogą zapraszać swe żony do zamieszkania z nimi i wówczas każda rodzina zakłada własne gospodarstwo. Wielu odmawia opuszczenia kolonii po upływie terminu wyroków, niektórzy znajdują sobie tam żony; kolonia wciąż rośnie, jako samowystarczalna mieszana społeczność, obecnie zbliżająca się do 3 tysięcy, więźniów i wolnych" (Golancz, 1937, str. 587/8).

Za mało widocznie byłem wówczas zaawansowany w studiach nad ZSSR i wycieczka z Amerykanami nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Zupełnie, jak głośny film *Putiowka w życiu*. Być może stało się tak dlatego, że spiesząc taksówką na umówione miejsce przyłączenia się do amerykańskiej wycieczki, musieliśmy w jednej z bocznych ulic Moskwy zwolnić i niemal przystanąć na chwilę. Zatrzymał nas tłum gapiący się na otwartą półciężarówkę, na której dwóch rosnących milicjantów siedziało okrakiem na ciele obalonego kilkunastoletniego chłopca, broniącego się zaciekle. Milicjanci usiłowali go skrepić tym powrozem, owijanym wielokrotnie dookoła ciała, tak by unieruchomić ręce i nogi.

— Co tu się dzieje, — spytałem zaciekawiony szofera.

— Nic, milicja złapała 'bezprizornego' — odpowiedział obojętnie, dodając gazu, aby się nie spóźnić na umówiony termin.

W siedem lat później wykazywałem daleko większe zaintere-

sowanie metodami wychowawczymi sowieckich obozów. Byłem nimi nie tyle zaciekawiony, co wstrząśnięty. Dobitny i pogładowy wykład "fizyki" litewskim chłopom od pługa w wagonie. Krótki odczyt o "Boskiej Komedii" dla wychowanków poleskich jeszobotów w tajdze. Jaka inicjatywa i oryginalność pomysłów! Tych ludzi — jeśli to byli ludzie — uczono nie tylko "uznawania człowieka w człowieku, międzynarodowości i zasad społeczeństwa bezklasowego".

W naszym IV-tym "łagpunkcie" (punkcie obozowym), 7-go "odtępienia" *Krasnaga* (Krasnojarski poprawczy obóz pracy) przy przystanku kolejowym "Reszoty" również nie było murów, a tylko płoty i druty kolczaste. Na gęstych "wyszkach" stały karabiny maszynowe i reflektory. Brama zaś była nie tylko zamknięta, lecz pilnie strzeżona przez uzbrojoną wartę. Wielu więźniów oddzielono — podstępnie — po drodze od ich rodzin, zabranych równocześnie z nimi z domów i wiezionych początkowo w tych samych co oni transportach. Nikt z nich nie wiedział, co się z tymi rodzinami stało i gdzie się znajdują. Rodziny nie wiedziały nic o nas. Po przejściu przez bramę byliśmy straceni dla świata i odcięci od niego całkowicie. W obozie nie było radia. Nie otrzymywaliśmy żadnych gazet. Jakiegokolwiek rozmowy z nami na tematy bezpośrednio nie związane z pracą i codziennym życiem były surowo zakazane.

Wszyscy byliśmy zabrani z domów. Nikt nie wiedział za co i na jak długo. Do pracy w lesie poszliśmy w tydzień po przybyciu do obozu. Na "śledztwo" zaczęto wywozić partiami po czterech miesiącach. Większość wywożonych wracała do obozu z "wyrokami" "OSO" (Osoboje Sowieszczanie NKWD), przeważnie na 5 - 8 lat jako tzw. S.O.E. (element społecznie niebezpieczny). Co się działo z tymi, co do obozu nie wracali, nie wiem. Ci co wracali nie byli specjalnie rozmowni.

Mnie na "śledztwo" nie zabierano. "Wyroku" nie dostałem. Po siedmiu miesiącach pobytu w obozie zostałem w pełni zimny syberyjskiej żeń wyrzucony, jako "amnestionowany obywatel polski". Za co mnie do obozu zabrano i za co w nim przetrzymywano, nie dowiedziałem się nigdy.

Gdy opuszczałem obóz, większość skrzynek, które oglądaliśmy w chwili przybycia przy bramie, była już wykorzystana. Wśród pozostałych kolegów więźniów wielu zakwalifikowanych było jako tzw. w gwarze obozowej *dochodiagi* (dochodzący kresu).

Zabijały ich nie bezpośrednio ręce ludzkie, lecz — wspólnym wysiłkiem — klimat, głód, brud i praca.

Tak jak w tysiącach innych "łagpunktów", i u nas w Reszotach prowadzona była praca kulturalno-oświatowa. Na placu zbiorów piętrzyły się ogromne jaskrawo wymalowane tablice: czerwona "deska poczota" i czarna — hańby, gdzie nie bardzo zresztą skrupulatnie odnotowywano "wyczyny" poszczególnych brygad. W pobliżu wciskał się w oczy stalinowski slogan o pracy, jako *diele czesti, diele sławy*. Opoдал było miejsce orkiestry.

Dla podkreślenia bowiem doniosłości i uroczystości misterium przekształcania i "odradzania" przez pracę "człowieka" przepisy obozowe nakazywały, by wychodzące i wracające "brygady pracy" były żegnane i witane w obozie przez orkiestrę. *Niekulturny naród*, nie znający "fizyki", ani Dantego, nie mógł tego zrozumieć, ani ocenić. Podniosłe marsze, czy też wesole walczyki i skoczne poleczki szczególnie drażniły obdartych, brudnych, zawszonych i zawsze głodnych nędzarzy, na kilka godzin przed świtem gwałtem wyrwanych z chwilowego zapomnienia snu i, po obdzieleniu miską wodnistej zupki, siłą często doprowadzanych na plac zbiórki, wówczas gdy ich wycieńczony mózg czynił rozpaczliwe wysiłki: w jaki sposób choć na ten jeden dzień, pozostać "w zonie". Również późnym wieczorem, gdy po całodziennej pracy w lesie ostatnim, wydawało się "nadaludzkim", wysiłkiem doczłapało do bramy obozowej — a tam, zanim się dotarło do swej nary, drugiej miski zupy i — marzenia całego dnia — swego funta chleba, jeszcze trzeba było czekać na wprowadzenie brygad i osobistą rewizję — skoczne tony orkiestry wydawały się szczególnie wyrafinowanym szyderstwem.

Ten nastrój masy udzielał się również muzykantom, toteż, choć jako "kulturalni robotnicy" pozostawali "w zonie" i nie mieli "norm" do wykonania, "praca" ich nie cieszyła się zbyt dużą popularnością. Uważana była za zbyt ciężką — nerwowo trudną do zniesienia.

3

Czy można zapomnieć śmierć i piekło? Czy spowodowana przez nie rana psychiczna może się kiedyś zabić? M. Merleau-Ponty i J. P. Sartre we wstępnym artykule styczniowego numeru *Les Temps Modernes* — *Dni naszego życia* piszą: "Dni życia nie są dniami śmierci. Gdy się powraca do życia, dobrze czy źle, zaczyna się ponownie rozumować, wybierać swe prawdy (fidélité) i w stosunku do tych, których się opuściło, robi się wrażenie zimnego, robi się wrażenie, że się zapomniało. Zawsze się zapomina o śmierci, gdy się żyje".

Gdyśmy odchodzili z obozów, pozostający w nich mieli jedną prośbę. — Jeśli naprawdę odzyskacie wolność (gdy się ma pew-

ne doświadczenie, w Sowietach nie bardzo się wierzy słowom), powiedźcie całą prawdę o nas. Niech świat wie!... Myśmy obiecywali, przysięgali, że dotrzemy słowa...



Bezpośrednio przed wywiezieniem do obozu pracowałem na fabryce z jednym z kolegów, profesorem fizyki. Był on niedoszłym asystentem Kapicy. Nie długo przed wojną spędził rok w Cambridge, który Kapica, niezupełnie zresztą dobrowolnie, opuścił. Opowiadał mi dużo o angielskim środowisku uniwersyteckim, którego wówczas nie znałem. Mówił o dużej popularności, czy nawet o entuzjazmie w stosunku do Związku Sowieckiego i jego "osiągnięć".

— Szkoda, że ich tu nie ma, zobaczyliby, jak wyglądają te osiągnięcia w praktyce, a nie w propagandowych wydawnictwach.

— Ależ oni znają Sowiety bezpośrednio. Jeżdżą tam niemal co roku. Podziwiają warunki pracy uczonych. Rozbudowę pracowni i laboratoriów. Rozumieją, że kraj musi ponosić wysokie koszty, lecz one się opłacą w przyszłości.



— Dlaczego ci Polacy tak nie lubią Sowietów. Opowiadają o nich takie szkaradne głupstwa. Ja je znam, byłem tam z dwutygodniową wycieczką Inturista. Dużo jeżdżę po świecie, lecz tak świetnej organizacji jeszcze nie widziałem. Było to trochę męczące, bo pokazywano nam w s z y s t k o. Wspaniały kraj. Jakie osiągnięcia, jakie perspektywy na przyszłość!

Gdy mój kolega, który bezpośrednio nie znał Rosji, zaczął tłumaczyć owemu sowieckiemu specowi, wybitnemu lekarzowi w Oxfordzie, że Polacy doznali w Rosji wielu przykrości, ten znalazł szybko odpowiedź.

— No tak, bo to wojna, a wśród Polaków było tylu przyjaciół Hitlera. Pan wie, Beck, i w ogóle. Mogły być jakieś nieporozumienia, ale po co zaraz taka fantastycznie kłamliwa i oszczercza przesada. Zresztą teraz już wszystko się zmieniło. Czytał Pan w *Times* oświadczenie Stalina o silnej i niepodległej Polsce? Musicie zaprzestać tej szkodliwej dla wysiłku wojennego antysowieckiej propagandy.

Wypowiedzenie pewnych wątpliwości co do wartości słownych oświadczeń Stalina zaczęło wyprowadzać Oxończyka z równowagi. — Jeśli Pan nie wierzy Stalinowi, to może Pan wierzyć mnie czy Churchillowi. Churchill i Stalin, to są dziś najwięksi przyjaciele Polaków, którzy was uratują wbrew wam samym.



Rozmowa ta miała miejsce już po moim przyjeździe do Anglii w 1943 r. Opowiadanie o niej przypominało mi moje zdawkowe,

lecz szczerze, odpowiedzi na liczne pytania dalszych znajomych po powrocie z Rosji w 1934 r.: "Nigdy w życiu nie jadłem tyle kawioru, nie piłem tyle szampana i nie podróżowałem tyle sleepingami, co tam". Obecnie znowu "wróciłem" z Rosji i byłem związany przysięgą, że powiem o niej "całą prawdę". Lecz nikt mnie o nią nie pytał, nikt nie chciał słuchać o Rosji. Wszyscy ją znali, dużo lepiej ode mnie.

Gdy, pomimo to, wykorzystywałem okazję, by dawać świadectwo prawdzie, widziałem jak najbardziej delikatne napomknięcie o rzeczywistości życia obozowego i życia sowieckiego w ogóle natychmiast mroziło towarzystwo. Rozmowa się urywała, zaś w oczach dotychczas wydawało się przychylnych mi osób widziałem niechęć, pogardę i wstręt, czy — co najmniej — wyraźny niesmak. I po co tak przesadzać. Tak głupio i nieinteligentnie kłamać. Za kogo on nas uważa. My przecież coś nie coś wiemy o Rosji. Co za beczelny blagier.



Po zamieszkaniu w Oxfordzie poszedłem do osiadłego tam jeszcze przed wojną polskiego ekonomisty, który dzięki swej wybitnej inteligencji i usilnej pracy zdobył poważne stanowisko w naukowym świecie anglosaskim. Nie znaliśmy się osobiście, lecz wiedziliśmy o sobie nawzajem, że wyznajemy poglądy "postępowe", radykalne, lewicowe. On również wiedział, "coś nie-coś" o Rosji, lecz słuchał i rozpytywał o nią ciekawie.

— Jeśli chce Pan osiąść na zachodzie, była jego konkluzja w sprawie rad i wskazówek, o które go prosiłem, niech Pan nie występuje przeciwko Rosji. Są tam złe rzeczy, które przemijają, i dobre, które zostaną. W Polsce też nie było dobrze. Inaczej znajdzie Pan posłuch i poparcie tylko elementów typu Deterdinga, wielkich "rekinów" kapitalizmu, bezpośrednio zainteresowanych w walce z Sowietami. Będzie Pan musiał zerwać z dotychczasowym obozem i "stoczyć się w bagno najczarniejszej reakcji". Taka jest nieunikniona logiczna konsekwencja występowania przeciwko Sowietom.



Stoczyć się "w bagno reakcji" nie chciałem. Milczeć, a tym bardziej kłamać, nie mogłem. Więc wszyscy w dalszym ciągu musieli sądzić, że "lżę jak najęty". Dopiero powoli, i nie bez wydatnej pomocy powojennej polityki sowieckiej, reakcja osób, z którymi już zdążyłem zjeść sporo soli, zaczęła się zmieniać. — Daj spokój, broniła się jeszcze w 1948 r. działaczka lewicowopacyficzna (dawniej "ligonarodowa", obecnie ONZ-owa), nie chcę Cię więcej słuchać. Nie chcę do reszty stracić wiary w przyszłość świata. Wówczas nie warto by było żyć.



Philip Grierson w swej bibliografii książek o Sowietach wydanych w Wielkiej Brytanii w latach 1917 - 1942 przytacza dwadzieścia kilka tytułów wspomnień z przeżyć w sowieckich więzieniach i obozach. Wśród autorów są Rosjanie, Żydzi, Niemcy, Łotysze, Belgowie, Francuzi itd., ich książki noszą przerażające krzyczące tytuły: "Czerwona Inkwizycja", "Wyspa-pieki", "W szponach Czeki", "W siłach OGPU", "Metody OGPU", "Zdemaskowana Moskwa", "Rosja w kajdanach", "Mówię za tych, co muszą milczeć", "Kobieta, która nie mogła umrzeć", "Czerwone Piekiło".

Każdy z tych autorów chciał powiedzieć światu swoją prawdę o Sowietach. Być może przysięgł, że to uczyni. Świat pochłoniął te książki. Niektóre z nich zrobiły krótkotrwałą sensację. Potem o nich zapomniano. Skrupulatny angielski bibliograf, notując ich tytuły w swym zbiorze, dodaje od siebie uwagę: "These works must obviously be used with caution". — Z tych prac oczywiście należy korzystać ostrożnie. Dlaczego ostrożnie? A no, bo kłamia, piszą że sowieckich więźniów karmi surową rybą. Głupia, nieinteligentna antysowiecka propaganda.

4

W niemieckim obozie, ani nawet w ogóle pod hitlerowską okupacją, nie byłem. Znam je tylko z literatury. Być może zatem mój pogląd na różnice pomiędzy niemieckim a sowieckim systemem terroru jest błędny. Wydaje mi się jednak, iż Niemcy wyrozumowanie narzucali sobie szczególne okrucieństwo i dzikość. Z wyjątkiem spotykanych wszędzie, a w Niemczech bodaj szczególnie licznych, sadystów, niemiecki strażnik czy dozorca bywał przeciętnie kulturalnym człowiekiem, udającym dzikiego brutala. Nie znaczy to bynajmniej, by "udający brutala" na prawdę tylko udawał. Nie, on mógł być straszny, szczególnie gdy ktoś nań patrzył, lub gdy on sam pamiętał, że z tych lub innych względów musi być taki właśnie, nie inny. Niekiedy jednak spod tej maski wyglądała twarz... ludzka.

Sowieciarze noszą inne maski. Udują "kulturalnych" humanistów. Oni nie chcą, starają się nie być brutalami. U nich nie ma więzień, aresztów, tortur. Gdy zabierają z domu, to tylko dla wyjaśnienia drobnego nieporozumienia. Gdy proszą siadać, — to się siedzi 5 - 15 lat. Ale przecież to wszystko dla twego i ludzkości dobra. Uczą cię "fizyki", mówią o Dancie, chcą przez pracę i muzykę przerobić twą naturę ze "złej" na "dobrą". Gotów jestem przypuszczać, że są wśród nich tacy, którzy naprawdę nie rozumieją dlaczego ci "brzydecy" wrogowie ludu wolą w obozach masowo wymierać, niż wydajnie pracować dla swego i proletariackiej ojczyzny dobra. Być może nawet na swój sposób boją się nad tym. Skazują więźniów za sabotaż, nie mogąc zrozumieć, że ci nie są w stanie pracować w warunkach, w jakich się znaleźli. Dla nich warunki te są "normalne", ta-

kie jakie być powinny. Nie mają na celu dręczenia i "wykańczania" ludzi. Gdy będziesz wydajnie pracować, dostaniesz lepszy "kocioł". Od ciebie tylko zależy. My — "kulturalni humaniści" robimy wszystko dla ciebie.

Nie chcę przez to powiedzieć, by wszyscy Sowieciarze byli niezdolnymi do zrozumienia rzeczywistości prymitywnymi dzikusami. Ci, którzy nimi nie są, są jeszcze gorsi. Kłamią świadomie, podczas gdy pierwsi czynią to raczej nieświadomie. W rezultacie, jak to powiedział kiedyś Borys Suwarin, ZSSR stał się krajem kłamstwa, kłamstwa absolutnego, kłamstwa integralnego. Gdyśmy zostali po "amnestii" z obozów zwolnieni, niosąc na sobie wyraźne ich piętno, spotkaliśmy się niekiedy ze współczuciem i sympatią "wolnej" ludności. — "Jakżeście bladzi", mówiły kołchoźniczki do ubranych w więziennie-obozone łachmany strzępów ludzkich i wyciągały z pieca miskę kartofli. "Pewnościście byli w SANATORIUM".

Słowa "łagier" ludność sowiecka nie używa. O sznurze nie mówi się w domu powieszzonego. "Wyszki" obozowe są niemal równie charakterystyczne dla krajobrazu Sowietów, jak wiatraki dla Holandii.

Niektórzy z komunistów publicznie twierdzą, że obozy w Związku Sowieckim nie istnieją. Tak przed kilku miesiącami uczynił we Francji André Würmser. Znany kryminolog sowiecki, "zasłużony pracownik naukowy", członek-korespondent sowieckiej Akademii Nauk, dr. A. N. Trajnin w końcu sierpnia r. ub. ogłosił w *Manchester Guardian* list z Moskwy, w którym sprawę przedstawił inaczej. Istnienie obozów w ZSSR jest dowodem postępu i humanitaryzmu. Sowiety zdecydowanie odrzuciły wciąż jeszcze panujący na zachodzie i w Ameryce "kult więzienia". Tam więzienie jest miejscem odosobnienia, miejscem całkowitego odgródzenia od świata zewnętrznego i od innych więźniów. Przestępcy, osadzeni w poprawczych obozach pracy w ZSSR, biorą udział w pożytecznej pracy, wolno im stykać się z innymi więźniami i poruszać się swobodnie w obrębie obozu. W poprawczych obozach pracy praca jest przymusowa tylko o tyle, o ile jest przymusowa reedukacja i poprawa przestępcy.

Kto temu przeczy, ten szkaluje Związek Sowiecki. Zaś tylko sabotażyści i zakamieniali wrogowie ludu wolą w obozach umierać, niż się poprawiać. Władza sowiecka umieszcza ich w humanitarne i kulturalne warunki "sanatoriów", a oni — niewdzięczni — tego nie oceniają i... umierają. Kto występuje w ich obronie, stacza się w bagno najczarniejszej reakcji.

Wspomnienia z sowieckich więzień i obozów pracy ograniczają się do przedstawiania działania systemu. Do zewnętrznego jego opisu. Podają fakty, które wydają się nieprawdopodobne, a zatem nieprawdziwe. *Etego nie może być* miał zawołać młody proletariusz sowiecki, gdy mu opowiadano, że przeciętny robotnik zachodni miał w domu dwa ubrania na zmianę.

W wewnętrznej istocie systemu, w teorii mechanizmu, najgłębiej bodaj przenikli dwaj pisarze zachodni, z których jeden nigdy nie był w Rosji Sowieckiej. Artur Koestler w *Ciemności w Południe* i George Orwell w 1984.

“Wiedzieć i nie wiedzieć; mieć świadomość zupełnej prawdziwości tego co się mówi, wtedy kiedy się opowiada starannie skonstruowane kłamstwa przyznawać się równocześnie do dwóch opinii, które się wzajemnie wykluczają, wiedząc, że są one sprzeczne, i wierząc w obie; używać logiki przeciw logice; odrzucać moralność, powołując się jednocześnie na nią; wierzyć, że demokracja jest rzeczą niemożliwą i że partia jest gwarantką demokracji; zapomnieć o tym o czym trzeba było koniecznie zapomnieć, potem przypomnieć to sobie w potrzebnej chwili i szybko zapomnieć znowu; a przede wszystkim zastosować ten proceder wobec samego proceduru. Tu tkwiła ostateczna subtelność: świadomie wprowadzić podświadomość i potem znów stać się nieświadomym aktu hipnozy, którego się dokonało” — tak charakteryzuje Orwell (w przekładzie W. Weintrauba) technikę tzw. przezeń “podwójnego myślenia” (double-think), mającego obowiązywać w przyszłym “nowym wspaniałym świecie” ostatniej ćwierci XX wieku.

Charakterystyka ta w zadziwiający sposób wydaje się odpowiadać sposobowi myślenia współczesnych komunistów, o ile daje się on zaobserwować empirycznie. Ponieważ jednak jest to tylko wytwór chorej wyobraźni umierającego powieściopisarza, czy może być traktowany “poważnie”? W stosunku do fanatycznych powieści nie trzeba nawet ostrzegać, iż należy z nich “korzystać ostrożnie”.

5

Człowiek jest miarą wszechrzeczy. Jest to prawda, chociaż może tylko prawda pozorna czy urojona. Nie jesteśmy w stanie ujmować rzeczywistości inaczej, jak przez swój pryzmat. Odrzucamy ją, jeśli jest całkowicie niewymierna w naszych miarkach. Nie możemy dopuścić, by mogło istnieć państwo, nie posiadające powszechnie publikowanych norm obowiązującego postępowania. Norm o takiej lub innej treści, lecz wskazujących obywatelowi, jak ma postępować i co mu w przeciwnym wypadku grozi. Instrukcji ujednolicających postępowanie aparatu wobec obywateli. Podręczników dla adeptów, pragnących wejść w skład

aparatu. Lub, aby takie rzeczy istniały, lecz były absolutnie niedostępne dla nikogo z niewtajemniczonych. *Etego nie może być*.

Nie może być, by jedynym celem konstytucji i innych ustaw ogłaszanych było maskowanie rzeczywistości, wprowadzenie w błąd przeciwnika czy wroga. Jest to absurdem, niemożliwością.

W myśl teoretycznych założeń marksizmu, warunki określają granice świadomości jednostek. W 1934 r. udało mi się przez WOKS uzyskać dwukrotny kontakt z Eugeniuszem Paszukanimsem, czołowym wówczas prawnikiem sowieckim, wiceprzewodniczącym Akademii, dyrektorem paru instytutów, wiceministrem sprawiedliwości RSFSR, autorem kilku ciekawych i inteligentnie napisanych książek z marksistowskiej teorii prawa. Korzystając z okazji, chciałem przedyskutować z nim parę niezupełnie dla mnie zrozumiałych problemów z jego prac. Uchylił się od wszelkiej dyskusji w sposób grzeczny, lecz stanowczy. — Pan żyje w warunkach burżuazyjno-kapitalistycznych. Nie będziemy w stanie się porozumieć. Nie warto dyskutować, gdy się nie może mieć wspólnego języka.

Musiałem przyznać rację i pozostać przy swoich wątpliwościach co do jego teorii. Nie długo później Paszukanisa publicznie uznano za “szkodnika”, czyjegoś tam szpiega i wszelki ślad po nim zaginął. Mnie zaś udało się wyjść “cało” nawet z sowieckiego “łagru”.

Po zniknięciu Paszukanisa i jego uczniów w sowieckim prawnictwie zapanowała niepodzielnie metoda pseudo-dogmatyczna. Zaczęły się pojawiać wielusetstronicowe podręczniki z różnych dziedzin sowieckiego prawa, pozornie zupełnie podobne do analogicznych podręczników prawa francuskiego, angielskiego czy amerykańskiego. Nie było w nich słowa o systemie sowieckich obozów pracy, ich organizacji, warunkach tam trafiań, przebywania i opuszczenia, o kompetencjach w stosunku do nich poszczególnych organów władzy państwowej i w szczególności NKWD czy (obecnie) UGB.

Czyż nie było to dostatecznym i przekonywującym “dowodem”, iż obozy w Związku Sowieckim bądź to w ogóle nie istnieją, bądź też nie odgrywają żadnej istotnej roli? Przecież podręczniki te nie były przeznaczone dla zewnętrznej propagandy, lecz miały na celu szkolenie prawników sowieckich, przyszłych członków aparatu państwowego, którzy musieli być zorientowani co do szczegółów organizacji państwa i jego ważniejszych instytucji.

Wszystkie wiadomości, dotyczące obozów pracy, stanowią w Rosji pilnie strzeżoną tajemnicę państwową. Surowa odpowie-

działność za chociażby nieumyślne ujawnienie osobom niepowołanym tajemnic państwowych została jeszcze bardziej zaostrzona przez ukaz prezydium Rady Najwyższej ZSSR z 9 czerwca 1947 r. Przewidziane przez ten ukaz kary wahają się od 5 - 10 lat (dla osób prywatnych), od 10 - 20 lat (dla wojskowych; zaś 9 - 12 lat dla urzędników) zamknięcia... w poprawczym obozie pracy. Oto dlaczego ludność Związku Sowieckiego nie lubi nawet wymieniać tej nazwy.

Charakterystyczne jest, że wspomniany ukaz z 9. VI. 47. r. przewiduje kary zamknięcia w obozie od 4 do 6, a nawet w pewnych okolicznościach do 10 czy 12 lat, za zgubienie wydawnictw, zawierających wiadomości stanowiące tajemnicę państwową. Wydawnictwa zawierające wiadomości o obozach pracy są niewątpliwie objęte tym przepisem.

W tych warunkach wysoce małoprawdopodobna staje się możliwość uzyskania na zachodzie formalnych dowodów, stwierdzających istnienie w Sowietach obozów niewolniczej pracy, ich rozmiary i zasięg oraz warunki bytowania więźniów. Okoliczność tę w pełni i z całym cynizmem wykorzystują Sowiety.

6

Gdy w lutym 1949 r. Amerykańska Federacja Pracy na VIII sesji Rady Ekonomicznej i Społecznej Organizacji Narodów Zjednoczonych podniosła sprawę istnienia w ZSSR na szeroką skalę instytucji pracy niewolniczej i przedłożyła dowody z zeznań świadków, przedstawiciel bezpośrednio zainteresowanej metropolii, p. Carapkin przebrał pozę szlachetnej, niewinnie znieślawianej dziewicy. Uważając dyskusowanie meritum sprawy za poniżej swej godności, delegat sowiecki dumnie oświadczył, iż "ZSSR nie jest Grecją, ani Turcją, nie jest krajem zmarszalizowanym i nie dopuści na swe terytorium amerykańskich gauleiterów", a jednocześnie gwałtownie i żałośnie się skarżył, że ZSSR jest ofiarą nieskończonych kłamstw i kalumii i zapytywał, czy przyczyną tego nie jest chęć odwrócenia uwagi opinii świata od wzrastającej w krajach kapitalistycznych fali bezrobocia oraz od eksploatacji Egiptu, Ameryki południowej itd.

Rolę głównego adwokata interesów sowieckich w gwałtownej dyskusji, jaka się nad wnioskiem Federacji Pracy rozgrywała w Radzie, objął delegat régime'u bierutowskiego, p. Katz-Suchy. Linia jego obrony była dwójaka: z jednej strony demaskował przy pomocy możliwie oficjalnych tekstów i ścisłych danych liczbowych istnienie eksploatacji pracy w krajach kapitalistyczno-kolonialnych, z drugiej kwestionował i dyskwalifikował przedłożone Radzie dowody istnienia pracy niewolniczej w ZSSR.

Na posiedzeniu w dniu 18 lutego 1949 r. wołał wymownie: "Żądają od nas wydania wyroku skazującego na państwo w oparciu o zeznania trzech przestępców, którzy dali ogólne i mętne (vagues) opisy różnych obozów. Członkowie innych delegacji, którzy mówili o obozach pracy w Związku Sowieckim, postąpili jeszcze lepiej: unikali przytaczania jakichkolwiek dowodów. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i Zjednoczonego Królestwa mówili o raportach, o informacjach, ale nie zacytowali ani jednego dokumentu, ani jednej ścisłej liczby. Wszystko to pływa w mieszaninie tajemnicy i fantazji".

Sowiecko-satelicka metoda obrony w roku 1949 nie okazała się skuteczna. Sprawa sowieckich obozów nie tylko nie została pogrzebana, lecz na następnej sesji Rady Ekonomicznej i Społecznej ONZ w sierpniu 1949 r. ponownie podjęta, tym razem już przez przedstawiciela Zjednoczonego Królestwa p. Corley Smitha. Najwyraźniej dotknięty formą sowieckiej obrony rząd angielski zadał sobie trud zdobycia i przedstawienia sesji żądanych przez p. Katza dokumentów i ścisłych liczb, niebardzo co prawda aktualnych.

7

Koncepcje reformy więziennictwa i zastosowania pracy, jako środka poprawy przestępców i stopniowego przyzwyczajania ich do normalnego życia, powstały na zachodzie jeszcze w XIX w., czy nawet wcześniej. Pomimo niezbyt szczęśliwego doświadczenia angielskich Domów Pracy (Workhouse) w szeregu państw europejskich zastosowano, z mniejszym lub większym powodzeniem, metodę nie odsyłania przestępców, szczególnie młodocianych i przypadkowych, do więzień, gdzie groziła im całkowita demoralizacja, lecz umieszczania w koloniach pracy, gdzie pod pewnym nadzorem, lecz w warunkach zbliżonych do normalnych, spodziewano się uzyskać znacznie lepsze rezultaty poprawy.

W pierwszym okresie rewolucji rosyjskiej nie cechowała ją obecna megalomania i odzęgnywanie się od zachodu. Przeciwnie, wszelkie przejawy myśli postępowej na zachodzie były skwapliwie przyswajane i pogłębiane. W szczególności w dziedzinie prawodawstwa pierwszy sowiecki dekret "o sądzie" (5. XII. 17.) podejmował koncepcje, "rewolucyjnej" w stosunku do klasycznej dogmatyki, teorii prawa Petrażyckiego. Pierwszy sowiecki kodeks cywilny (1922) opierał się na niemniej "rewolucyjnych" koncepcjach Duguit. Również w dziedzinie ustawodawstwa karnego przejęte były najnowsze, najbardziej postępowe tendencje zachodnie. Już w 1918 r. Ludowy Komisariat Sprawiedliwości zapowiedział, iż więzienia sowieckie będą miały na celu poprawę przestępców, a nie karę. Uchwała zjazdu rosyjskiej partii

komunistycznej z 1919 r. głosiła, iż "praca jest główną metodą poprawy i reedukacji" i domagała się zastąpienia "więzień przez instytucje wychowawcze". W myśl tych wskazówek z sowieckiego kodeksu karnego (RSFSR 1924) znikły takie terminy, jak "kara" (zastąpiono ją "środkiem ochrony społecznej"), "więzienie" itp. Wydany w tym samym roku 1924 kodeks pracy poprawczej RSFSR ustalał jako cele polityki pracy poprawczej: uniemożliwienie przeszkadzania budowie socjalizmu, reedukacja i przysposabianie do życia w społeczeństwie pracy przez skłanianie do pracy społecznie użytecznej przy stopniowym przechodzeniu od pracy przymusowej do wolnej.

Cele powyższe miały być osiąganym przez organizację zróżniczkowanego systemu instytucji pośrednich pomiędzy pracą przymusową a wolną, od różnego rodzaju "kolonii" przemysłowych i rolniczych (pozbawienie wolności w mniejszym lub większym stopniu), poprzez pracę przymusową na wolności w zmienionych warunkach bytowania i otoczenia (tzw. wolna zsyłka — przesiedlenie), do pracy przymusowej w instytucjach użyteczności społecznej bez pozbawiania wolności i zmian w ogólnym dotychczasowym trybie życia.

Niezależnie od powyższego, racjonalnie przemyślanego systemu instytucji poprawczo-wychowawczych, sformułowanego w okresie względnej stabilizacji w zasadzie już zwycięskiej rewolucji i przeznaczonych "nie tylko dla elementów 'zdeklasowanych', lecz także dla elementów nieustabilizowanych spośród pracujących" (por. art. 1 kod. pr. popr.), w toku rewolucji żywiołowo wytworzył się inny system instytucji, przeznaczonych dla wrogów klasowych, dla wyzyskiwaczy.

Już tzw. "Deklaracja Praw Ludu Pracującego i Wyzyskiwanego", przedłożona do uchwalenia wszechrosyjskiej Konstytucji w styczniu 1918 r. i po jej rozpędzeniu uchwalona przez III zjazd Sowieców, proklamowała jako jedno z zadań nowego ustroju "bezlitosne zgniecenie wyzyskiwaczy". Zadanie to zrealizowane być miało nie przez organy Komisariatu Sprawiedliwości, lecz przez specjalnie w tym celu powołany "miecz rewolucji" — Komisję Nadzwyczajną, popularnie znaną jako "Czeka".

W okresie wojny domowej "bezlitosne gniecenie wyzyskiwaczy" przybrało formy masowej fizycznej eksterminacji "klasowych wrogów" władzy sowieckiej, bez wchodzenia przy tym w szczegóły win indywidualnych. Po zabójstwie Urickiego i zamachu na Lenina (30. VIII. 18) oficjalnie został proklamowany "masowy czerwony terror" i wprowadzona instytucja "zakładników", rozstrzeliwanych w wypadkach wystąpień antysowieckich. W oczekiwaniu na swój los, zakładnicy ci przetrzymywani byli w specjalnych obozach w dyspozycji oddziałów Czeka. Następnie w analogicznych obozach umieszczano "bandytów" występujących z bronią w rękę przeciw władzy sowieckiej, oraz branych

do niewoli jeńców, w szczególności oficerów, kontrrewolucyjnych "białych" armii. Prawo dysponowania ich życiem było kilkakrotnie cofane i znów przyznawane organom Czeka, w zależności od ogólnego rozwoju sytuacji wojennej i rewolucyjnej. Organy władzy sądowej nie miały w stosunku do tych obozów żadnych kompetencji.

Po zakończeniu wojny domowej i przekształceniu Czeka na OGPU (1922), w 1923 r. stwierdzono oficjalne istnienie 23 takich obozów "koncentracyjnych" (Ob. M. Isajew, *Osnovy penitenciarnej polityki*, Moskwa 1927, str. 101), rozrzuconych po całej Rosji. Zostały one następnie stopniowo zlikwidowane z wyjątkiem tzw. Północnych Obozów Specjalnego Przeznaczenia (SŁON) na wyspach Sołowieckich.

Jak już wynikało z nazwy, były to obozy "specjalne" niewłączone do ogólnego systemu instytucji poprawczo-wychowawczych. Przeznaczone były dla "wrogów klasowych", na poprawienie i reedukację których nie było większej nadziei. Poza uczestnikami kontrrewolucyjnych "białych" armii skierowywano tam pozostale w Sowieciech przy życiu nieodbitki dawnej arystokracji i burżuazji, duchowieństwo różnych wyznań i inne beznadziejne z punktu widzenia sowieckiego elementy (m. in. uznanych za "niepoprawnych" przestępców kryminalnych, oraz także prostytutki). Nie długo do tych kategorii zaczęto dołączać również ideowych opozycjonistów politycznych, w pierwszym rządzie anarchistów, traktowanych jako "bandyci", następnie es-erów i innych.

Ilość więźniów obozów "specjalnych" wzrosła, osiągając z około 4 tys. w 1923 r. około 20 tys. w 1927/8 r. W tym to okresie, z inicjatywy bodaj jednego z uwięzionych (podobno niejakiego N. Frenkla, żydowsko-węgierskiego businessmana, którego nazwisko jest wzmiankowane w *Belomor*, str. 229), powstała myśl, by przeznaczonych w zasadzie na eksterminację więźniów wykorzystać dla użytecznych społecznie robót. Myśl ta została zrealizowana i "specjalne obozy" zaczęły szybko przekształcać się w "specjalne przedsiębiorstwo" GPU, dostarczające innym przedsiębiorstwom sowieckim i spółdzielczym taniej siły roboczej, oraz podejmujące produkcję na własny rachunek.

Nowa era tej, nieprzewidzianej przez żadne teoretyczne plany, instytucji rozpoczęła się z okresem planów pięcioletnich (od 1929). Przeprowadzona w pierwszej pięcioletce "likwidacja kułactwa, jako klasy" dostarczyła kilku (czy kilkunastu) milionów w zasadzie przeznaczonych na eksterminację "wrogów klasowych". Szybkie tempo rozwoju przemysłu stworzyło praktycznie nieograniczone zapotrzebowanie na siłę roboczą. W tych wa-

runkach "specjalne przedsiębiorstwo" GPU miało nadzwyczajne widoki powodzenia i rozwoju.

"Rozkułaczani kułacy" byli z reguły kierowani na północ, gdzie najważniejszym przemysłem była eksploatacja lasów. Ciężkie warunki życia i pracy powodowały, że przemysł ten stale odczuwał ostry brak siły roboczej, wówczas gdy drzewo stanowiło jedną z najważniejszych pozycji ówczesnego sowieckiego eksportu. Wzmożenie eksportu było niezbędne dla przewidzianej przez plan rozbudowy przemysłu i koniecznego w tym celu importu urządzeń fabrycznych i maszyn. Toteż rozwijające się na początku lat 30-tych w tempie niesłychanym "specjalne przedsiębiorstwo" GPU kierowało swą "siłą roboczą" w pierwszym rzędzie do przemysłu leśnego.

Znaczny wzrost eksportu sowieckiego drzewa, oferowanego (dzięki "taniej" siły roboczej) na rynkach światowych na warunkach wyjątkowo dogodnych, zaniepokoił kapitalistycznych konkurentów. Stworzyło to zasadniczo odmienną atmosferę dla przeciekających od dawna na zachód wiadomości o warunkach życia i pracy w obozach SŁON'u i jego pochodnych. Wiadomości te, dotąd traktowane jako nieinteligentne wybryki antysowieckiej propagandy, raptem odbiły się poważnym echem w parlamencie brytyjskim, w kongresie amerykańskim. Za słowami poszły czyny. W lipcu 1930 r. rząd Stanów Zjedn. nałożył krótkotrwałe zresztą embargo na sowiecki eksport produktów drzewnych. Rozpętała się trwająca lat kilka dyskusja światowa na temat sowieckiego "dumpingu" i "pracy niewolniczej w przemyśle drzewnym". Pojawiały się liczne publikacje i sypały się argumenty "pro" i "contra".

Ten pierwszy proces rządu sowieckiego przed trybunałem opinii światowej o eksploatację siły niewolniczej został przezeń, nie bez pewnego co prawda wysiłku, wygrany. Zasadniczą linię obrony wykreślił, dotąd światu nieznany funkcjonariusz partyjny i współpracownik Stalina jeszcze z okresu przedrewolucyjnego, Mołotow, który w toku "procesu" zastąpił na stanowisku premiera ZSSR Rykova, usuniętego pod zarzutem "prawicowego odchylenia" i w kilka lat później rozstrzelanego jako agent japońsko-niemiecko-polski.

Mołotow nie negował faktu, że w Sowietach jest wykorzystywana na wielką skalę przymusowa praca więźniów, twierdził jednak, że nie jest ona stosowana w przemyśle eksportowych i, w szczególności, drzewnym, oraz, że warunki życia i pracy więźniów są tak dobre, iż ich pozazdrościłby niejeden bezrobotny w krajach kapitalistycznych. Obóz pracy określał jako osiedle, w którym więźniowie poruszają się "prawie swobodnie". Za niewolnictwo uważał istniejący na zachodzie system pracy najemnej.

8 marca 1931 r. na VI zjeździe Sowietów Mołotow mówił: "Pra-

ca tych spośród osób pozbawionych wolności, które są zdrowe i zdolne do pracy, jest przez nas używana dla pewnych robót komunalnych i komunikacyjnych. Takeśmy robili, robimy i będziemy robić, gdyż jest to korzystne dla społeczeństwa. Jest to również pożyteczne dla przestępców, gdyż uczy ich pracy i robi użytecznymi członkami społeczeństwa". W zakończeniu przemówienia Mołotow zapraszał zagranicznych korespondentów, by się przekonali, że praca więźniów nie obejmuje dóbr eksportowych, oraz wzywał zagranicznych robotników, aby wysyłali specjalne delegacje do Rosji dla przekonania się o prawdziwym stanie rzeczy w obozach północnych.

W warunkach sowieckich zaproszenia takie nie były niebezpieczne. Wymagały co najwyżej pewnych inscenizacji, które opisyują Dallin i Nikołajewskij (*Forced Labour in Soviet Russia*, str. 225 i nast.). Z reguły wycieczki do Sowietów były wysmienicie zorganizowane i ich uczestnicy wracali zachwyceni po pracownym zwiedzeniu Bołszewa i jego odpowiedników w innych częściach Rosji.

Zgodnie ze stanowiskiem zajęтым przez nowego premiera, w pierwszej połowie lat trzydziestych w Sowietach stosunkowo szeroko omawiano zagadnienie obozów przymusowej pracy i podkreślano niezwykle ich osiągnięcia, zarówno w dziedzinie produkcji dóbr materialnych jak i przekształcania natury ludzkiej (reedukacji przestępców). Szczególny rozgłos nadano budowie przez kilkadziesiąt tysięcy więźniów w dyspozycji GPU kanału długości 227 km. łączącego morze Bałtyckie z Białym. Na specjalne zaproszenie Centralnego Komitetu partii grupa 120 pisarzy i artystów sowieckich z M. Gorkim na czele udała się na budowę na kilkudniową wycieczkę, po której w ciągu kilku miesięcy 35 autorów przygotowało entuzjastyczną i wspaniałą wydaną książkę pt.: *Bałtycko-Białomorski Kanał im. Stalina*, niezwłocznie przetłumaczoną na angielski. W następnym 1934 r. wyszła książka S. Firyna, zastępcy szefa utworzonego przy O. G. P. U. Głównego Zarządu Obozów (Gulag), pt.: *Bilans Białomorostroju*. Zagadnieniu budowy kanału i związanej z nią regeneracji przestępców poświęcona była sztuka N. Pogodina *Arystokraci* (1935). Specjalny rozgłos nadano decyzji sowieckiego rządu amnestiującej po zakończeniu budowy 72 tysiące "reedukowanych przestępców". Również w 1937 r., gdy zakończono budowę kanału Moskwa - Wołga, długości 128 km., ogłoszono o udzieleniu amnestii 55 tysiącom więźniów.

Niezależnie od wspomnianych wyżej wydawnictw w tym samym okresie ogłoszono kilka innych prac omawiających całokształt zagadnienia przymusowej pracy poprawczej w Sowietach i jej rezultaty. Były to: *Od więzień do Instytucji Wychowawczych* praca zbiorowa pod redakcją A. Wyszyńskiego (1934), B. Utiewskiego, *Sowiecka Polityka Poprawczej Pracy*,

(1935) i I. Awerbacha — *Od przestępstwa do pracy*, (1936). Wreszcie wychowankom osławionego Bolszewa poświęcona była praca zbiorowa pod redakcją M. Gorkiego — *Bolszewcy* (1936).

Z tegoż okresu datuje się dość powierzchowna nowelizacja w 1933 r. kodeksu pracy poprawczej RSFSR z 1924 r., formalnie włączająca "specjalne" dotąd obozy GPU w legalny system sowieckich instytucji poprawczej pracy. To wydawnictwo również nie było tajne i zostało przetłumaczone na obce języki. Tłumaczenie angielskie p. Hsinwoo Chao wyszło w Londynie w 1936 r. u Sweet & Maxwella.

Następny po dojściu do władzy Hitlera w Niemczech rok 1934 był rokiem pewnego "zeuropeizowania" Rosji i jej zbliżenia do demokracji zachodnich. 18 września ZSSR został oficjalnie przyjęty do Ligi Narodów. O dwa miesiące wcześniej zlikwidowano ukazem 11 lipca spadkobiercę krwawej CzeKa — osławione OGPU i utworzono "normalny", analogiczny do istniejących w innych państwach, resort spraw wewnętrznych. W związku z tymi faktami powszechnie spodziewano się dalszych reform i "liberalizowania" ustroju sowieckiego. Nadzieje te zostały gwałtownie przekreślone, gdy po zabójstwie Kirowa w dniu 1 grudnia nastąpiła nagle nowa fala masowego krwawego terroru. Formalnie zmniejszone przez ukaz z 11 lipca uprawnienia NKWD zostały w praktyce niezmiernie rozszerzone. Odbyły się liczne egzekucje; więzienia i obozy zapełniły się dziesiątkami czy nawet setkami tysięcy "zabójców Kirowa". Wkrótce "cztery litery" (NKWD) stały się takimż postrachem mieszkańców Sowieców, co uprzednio "trzy" (GPU) czy "dwie" (Cze-Ka).

NKWD, które, jeszcze przed zamachem na Kirowa, w końcu października objęło pod swój zarząd wszystkie sowieckie "miejsca zamknięcia", zmieniło zasadniczo uprawianą dotąd przez Komisariat Sprawiedliwości politykę popularyzowania i reklamowania sowieckich "osiągnięć" w dziedzinie polityki kryminalnej i, w szczególności, więziennictwa. Przygotowywane uprzednio wydawnictwa się ukazały, po czym na sprawy więzień i obozów zapuszczono ścisłą zasłonę. Stały się one pilnie strzeżoną "tajemnicą państwową".

Formalnie dawne ustawodawstwo poprawczej pracy pozostało w mocy. W praktyce "postępowe" kolonie i inne "wychowawczo-poprawcze" instytucje zaczęły wędznąć i utracić w systemie sowieckim wszelkie znaczenie. Potwornie natomiast rozrosły się obozy pracy, oficjalnie nazywanej "poprawczą". W rzeczywistości nie miały one nic wspólnego z "wychowawczo-poprawczymi" instytucjami Komisariatu Sprawiedliwości, były zaś bezpośrednią kontynuacją obozów "specjalnych" SŁON'u.

8

"Zdobyte" przez rząd brytyjski i przedłożone przez p. Corley Smitha na sierpniowej sesji Rady Ekonomicznej i Społecznej dokumenty i dane liczbowe pochodziły z połowy lat trzydziestych, tj. okresu, kiedy rząd sowiecki nie tylko nie ukrywał faktu istnienia pracy przymusowej w ZSSR, lecz ją nawet reklamował. Przedłożenie zatem znowelizowanego w 1933 r. kodeksu pracy poprawczej RSFSR w odbitkach fotograficznych i z daniem do zrozumienia że "zdobyte" tego dokumentu związane było z dużymi trudnościami, potrzebne nie było: obrońcy rządu sowieckiego nie bez racji podkreślali, że dokument ten od 1936 r. mógł być nabyty w Londynie na Chancery Lane kosztem 3 szylingów i 6 pensów. Tym niemniej opinia światowa o nim nie pamiętała, aczkolwiek — jak to podkreślał p. Corley Smith — poszczególne jego części były tak fantastyczne, że wiele osób mogłoby wątpić, aby podobny dokument mógł być kiedyś wydany. Były to skutki próby ujęcia "specjalnych" obozów w normy prawne, włączenia ich do systemu przewidzianych przez kodeks instytucji "poprawczo-wychowawczych".

Aczkolwiek kodeks 1933 r. dawał tylko blade i zupełnie nie adekwatne odbicie warunków bytowania w sowieckich obozach pracy niewolniczej w roku 1949, z przepisów jego wynikało, że:

- a) dla umieszczenia w obozie pracy poprawczej nie jest potrzebny wyrok sądowy, wystarcza postanowienie władzy administracyjnej — NKWD (art. 45);
- b) więźniowie polityczni są poddani w obozach władzy więźniów kryminalnych, którzy mogą być uzbrojeni (art. 9 i 10);
- c) administracja obozów jest osobiście finansowo zainteresowana w wydajnej pracy więźniów (art. 138-b).

O rozmiarach zasięgu pracy niewolniczej w Sowieciech świadczyły przytoczone przez p. Corley Smitha oficjalnie ogłoszone i nawet reklamowane przez rząd sowiecki liczby amnestiowanych po zakończeniu budowy dwóch kanałów. Wprawdzie dotyczyły okresu "młodzieńczego" rozwoju tej instytucji: według opinii zagranicznych specjalistów zaludnienie sowieckich obozów w latach 1933/5 osiągało "zaledwie" 5 milionów osób, w końcu lat czterdziestych przekraczało 10 czy nawet 15 milionów. Jednak liczba 127 tys. amnestiowanych była przerażająca. Równała się niemal, jak to przypominał przedstawiciel Zjednoczonego Królestwa, ogólnej ilości więźniów w carskiej Rosji w 1914 r., zaś wielokrotnie przekraczała obecne zaludnienie więzień na Wyspach Brytyjskich. Paryskie *Les Temps Modernes*, które styczniowy zeszyt w 1950 r. poświęciły w znacznej mierze zagadnieniu sowieckich obozów pracy, "dla porównania" przytaczają, że obecna liczba więźniów we Francji nie osiąga 40 tys. (w tym 9 tys. kolaborantów), zaś w okresie amnestii sowieckich była

poniżej 20 tys. Od siebie dodajmy, że w Polsce w 1934 r. ilość wszystkich więźniów wynosiła 48.444, zaś w roku 1941 dnia 14 października p. Andrzej Wyszyński oświadczył polskiemu ambasadorowi, że do dnia 1 października tego roku władze sowieckie "amnestiowały" 345.511 polskich "przestępców" wywiezionych ze wschodniej połowy Polski do ZSSR.

Liczba amnestionowanych z natury rzeczy zawsze wynosi pewien tylko — większy lub mniejszy — odsetek ogółu więźniów. Stwierdzając, że władze sowieckie w ciągu ostatnich lat podejmowały setki przedsięwzięć podobnych do kanałów Białomorskiego czy Moskiewskiego, p. Corley Smith zapytywał retorycznie, czy to natura systemu sowieckiego jest taka, iż produkuje olbrzymią ilość przestępców, czy też masa więźniów w tym kraju nie jest wcale przestępcami, lecz po prostu osobami, które nie są w zgodzie z rządem i które, w konsekwencji, są wykorzystywane jako rezerwuwar taniej siły roboczej.

Rozumowanie powyższe wydawało się logiczne. Była to jednak tylko dedukcja, a nie współczesne urzędowe dokumenty i ścisłe liczby, których żądali adwokaci sowieccy. Tych nie mogła zdobyć nawet Intelligence Service. NKWD skutecznie chroni ponure sowieckie "tajemnice państwowe".

Kontynuując linię p. Carapkina, delegat sowiecki p. Arutiunian w odpowiedzi Anglikowi oświadczył, że podjęta przez brytyjskie "klasy kierownicze", "oszczercza kampania" "pachnie mocno szantażem i oszustwem", przypomina kłamstwa i perfidną propagandę Goebbelsa. Jest powtórzeniem kampanii 1931 r., którą p. Bevin, nie będąc wówczas członkiem rządu, określił jako opartą na kłamstwie i kalumniach. Celem jej jest roztoczenie zasłony dymnej nad agresywnymi planami Paktu Atlantyckiego oraz odwrócenie uwagi mas od narastającego kryzysu.

To Anglia, twierdził delegat sowiecki, jest tradycyjnym krajem niewolnictwa we wszelkich jego formach, sprowadzającym obecnie Dipisów, uchodźców i więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych. Tam, jak również w Norwegii, Danii i Columbii, istnieją ustawy przewidujące przymusową pracę więźniów jako karę dyscyplinarną, a nie, jak w Sowietach, w celu ich reedukacji.

W podobnym tonie przemawiał również p. Katz, przytaczając drastyczne przykłady pracy niewolniczej w innych krajach, szczególnie kolonialnych. Konkluzją przemówień obu mówców było poparcie propozycji sowieckiej powołania wielkiej, liczącej ponad 100 osób, komisji z delegatów związków zawodowych dla zbadania "istotnych warunków pracy" w krajach kapitalistycznych, w ZSSR i "demokracjach ludowych", ze szczególnym

uwzględnieniem sytuacji bezrobotnych. Projekt komisji, która miała być tak skonstruowana, by większość w niej stanowili komuniści, zaś postawione jej zadanie mogła wykonać w terminie co najmnij lat dziesięć, uzyskał poparcie tylko dwóch głosów. Amerykanie proponowali powołanie komisji uprawnionej do ewentualnego przeprowadzania badań w sprawie pracy niewolniczej na miejscu — za zezwoleniem zainteresowanych rządów — oraz do przyjmowania zeznań świadków (już bez potrzeby tego zezwolenia). I ten jednak wniosek został odrzucony przez większość popartą przez Anglię i Francję. Ostatecznie została potwierdzona powyższa już na lutowej sesji Rady uchwala, polecająca sekretariatowi Rady wejście w kontakt ze wszystkimi rządami w celu wyjaśnienia w jakiej formie i w jakim stopniu byłyby gotowe współpracować w przeprowadzeniu bezstronnych badań nad znaczeniem, jakie praca przymusowa ma w ich krajach, w szczególności nad powodami, dla których jednostki są skierowywane do pracy przymusowej i sposobem w jaki są traktowane.

Ponieważ stanowisko w tej sprawie rządu sowieckiego nie mogło budzić żadnych wątpliwości, trudno było mieć jakieś nadzieje, by powyższa uchwała przyniosła jakieś praktyczne rezultaty.

9

Poruszenie sprawy niewolniczej pracy w Sowietach w oficjalnym organie ONZ, sposób i forma sowieckiej obrony oraz całość chwilami namiętnej dyskusji nie pozostały bez wpływu na opinię światową. Szczególnym echem sprawa odbiła się we Francji, gdzie 12 listopada 1949 r. Dawid Rousset, znany ze swych lewicowych przekonań pisarz i publicysta, były więzień obozów niemieckich i autor wstrząsającej książki *Les Jours de notre Mort*, ogłosił w *Figaro Littéraire* apel do swych kolegów z obozów, wzywając ich do podjęcia akcji utworzenia społecznej komisji w celu zbadania na miejscu sprawy sowieckich obozów. Proponując utworzenie takiej komisji z byłych więźniów obozów niemieckich, wśród których byli liczni komuniści i w ogóle osoby przekonani lewicowych, Rousset wyrażał nadzieję, że rząd sowiecki zgodzi się na jej prace na swym terytorium, by skorzystać z okazji oczyszczenia się z podnoszonych przeciwko ZSSR zarzutów przed komisją, co do bezstronności i "fachowości" której nie mogło być wątpliwości.

Apel Rousseta wywołał natychmiastowe i gromkie echo. Pośpyły się artykuły, odbywały się wiece i konferencje prasowe, zapowiedziane są budzące duże zainteresowanie procesy. Podczas gdy bowiem lewicowcy nie-stalinowcy, w zasadzie godząc się z koniecznością walki z zarysowującą się wizją "świata koncentracyjnego", domagali się rozszerzenia prac proponowanej komisji na inne kraje, jak Grecja, Hiszpania itd., na co Rousset

natychmiast się zgodził, stalinowcy — jak piszą *Les Temps Modernes* — ograniczyli się do "negowania oczywistości, znieważania Rousseta i wynaturzania (tronquer) odpowiedzi Bourdeta".

W przybierającej na siłę akcji Rousseta przykrym zgrzytem, dużą niespodzianką i częściową dywersją było stanowisko, zajęte przez miesięcznik *Les Temps Modernes*, redagowany przez J. P. Sartre'a, którego wpływy i stanowisko we współczesnym życiu intelektualnym Francji są notorycznie znane. O dotychczasowych stosunkach pomiędzy Roussetem a Sartrem świadczy wydanie przez nich wspólnie książki pt. *Entretiens sur la Politique*. Poświęcając w styczniowym zeszytach miesięcznika sporo miejsca dyskusji w Radzie Ekonomicznej i Społecznej, jego redaktor łącznie ze znanym publicystą francuskim M. Merleau-Ponty podpisał artykuł wstępny, zatytułowany parafrazą tytułu głośnej książki Rousseta — *Les Jours de notre Vie*. Artykuł nie kwestionował, lecz przyznawał fakty: decyzja administracyjna wystarcza w Rosji dla odesłania do obozu; przebywa w nich od 10 do 15 milionów osób w charakterze niewolników; rodziny ich są w rozpacz, "a więc jeszcze 20 czy 30 milionów Rosjan"; "nie ma socjalizmu, gdy co dwudziesty obywatel jest w obozie". A jednak — pisał — "...mamy te same wartości, co komunista". Wprawdzie praktyka sowiecka je kompromituje: "prawdą jest, że te idee znajdują w dzisiejszym komunizmie tylko niewiernego wyznawcę (porteur), służą mu 'de décor plutôt que de moteur', wprawdzie komuniści podobno nie uznają wartości, a tylko wierność, lecz 'dzięki Bogu, nikt nie może żyć nie oddychając'. Nie mamy natomiast 'nic wspólnego z wielu przeciwnikami komunizmu'. Nie twierdzimy, że trzeba być wyrozumiałym dla komunizmu, lecz w żadnym wypadku nie można paktować z jego przeciwnikami. Słuszna jest krytyka wyzysku i ucisku — w ZSSR i poza ZSSR, lecz wszelka polityka, która się skierowuje przeciwko Rosji i tam umiejscawia swą krytykę, jest rozgrzeszeniem danym światu kapitalistycznemu. Oto dlaczego zawsze odmawialiśmy łączenia się z nią. Formułka bowiem, że ZSSR jest 'wrogiem Nr 1', oznacza również: obecnie nie ma wrogów poza ZSSR. Niech rządy i sztaby główne, którym nie braknie współpracowników, robią swoją robotę. Lecz właśnie dlatego konieczne jest utrzymanie 'kilku przynajmniej wysepek, gdzie się kocha i uprawia wolność inaczej niż przeciwko komunistom'".

Rousset, rozpoczynając swą kampanię, porzucił to stanowisko, toteż nasza współpraca z nim jest "aujourd'hui définitivement terminée". Za nim pójdzie publika, która jest wstrząśnięta przez obozy i więzienia tylko wówczas, gdy są to obozy i więzienia sowieckie. Święte przymierze przeciwko systemowi rosyjskiemu zabiega (sollicite) o wszystkich, którzy go nienawidzą, dla złych powodów równie dobrze jak dla dobrych; mierzy w — i osiągnie

poprzez system koncentracyjny — wszelkie natchnienie socjalistyczne. Ta publika, ci sprzymierzeni, to nie będą już masy ludowe.

Gdy to czytałem, gdy piszę, dźwięczą mi w uszach słowa z Oxfordu z 1944 r.: "...stoczysz się w bagno najczarniejszej reakcji..."

Odpowiedź Rousseta była natychmiastowa — w *Figaro Littéraire* z 14 stycznia.

— Uznajecie fakty, uznajecie istnienie milionów rosyjskich "łagierników". I co proponujecie czynić? Nic.

Nie zamierzam zwalczać obozów sowieckich w towarzystwie Franco. Lecz pragnę to czynić przy pomocy wszystkich tych, co walczyli przeciwko tyranii Hitlera. W prawdziwej "Résistance" nie pytało się bojowców o ich poglądy, prawicowe czy lewicowe. Nieprawdą jest, że akcję swą ograniczam tylko do Rosji. Hiszpańska federacja politycznych deportowanych i internowanych jedna z pierwszych odpowiedziała pozytywnie na propozycję powołania międzynarodowej komisji śledczej. Podkreślałem z naciskiem i prasa to obszernie cytowała, że zgłoszę wniosek by komisja rozpoczęła swe prace zwracając się jednocześnie do Rosji, do oskarżanej przez Rosjan Jugosławii, do Grecji i Hiszpanii.

10

Gotowość uznawania prawdziwości faktów odnośnie Rosji sowieckiej, wiara — choćby niechętna — w prawdziwość zeznań Dallina, Buber-Neumann, czy — nawet — Krawczenki, świadczą, że redakcja *Temps Modernes* ma już szmat drogi poza sobą. Gotowa uwierzyć, że więźniowie sowieccy karmieni są surową rybą, lecz pomimo to wciąż wierzy w nadzwyczajne zdolności obsługujących ich kucharzy i w ich słodkie słówka o tym jak wspaniałe potrawy potrafią przygotować dla całej ludzkości. Nie chce — jak to czyni Rousset — napiętnować jako "bluźnierców" zarówno tych, co, wyznając zasady świata "koncentracyjnego", gotowi są co zdanie cytować Marksa, jak i tych, co obłudnie wielbią Chrystusa.

Przytoczyłem na wstępie niektóre z sowieckich opinii o Sartre. Nie sądzę by, przez nieobcą mu przekorę, a może nawet i pozę, chciał istotnie wyczyniać "piruety", raz na prawo, raz na lewo. Nie pozwolą mu zresztą na to komuniści, otwarcie wyznający zasadę: "kto nie z nami, ten przeciw nam". Przecież twierdzą oni, iż "mit frzecznej siły został rozwiązany" ostatecznie. Być może o tyle mają rację, że gdy dochodzi do walki wręcz, trudno "egzystować", siedząc okrakiem na barykadzie.

Być może nie jest również łatwo zdecydować teoretycznie, która ze stron bardziej "uznaje człowieka w człowieku", której sprawa jest słuszną, czy też tylko "słuszniejszą", której zwycięstwo grozi większym niebezpieczeństwem dla Człowieka.

Szczególnie gdy się jest "sophisticated", lecz nie posiada sztuki "doublethink'u", gdy żyje się w świecie słów i ogólnych idei i wierzy w nie i ich prawdziwość, bo "Bogu dzięki, nikt nie może żyć nie oddychając".

Dlatego też należy być wyrozumiałym dla wahań, zygzaków i nawrotów, które przecież znacznie przedłużają drogę. Przed nikim, kto ostatecznie nie spalił mostów, nie należy zamykać drzwi. Cierpliwie czekać, aż dojrzeje do ostatecznej decyzji. Okres dojrzewania nie może być długi: komuniści robią wszystko, aby go jak najbardziej skrócić. Szczególnie tam, gdzie uzyskują możliwość ściągania, nie bez właściwej im brutalności, zagadnień z "nieba" teorii na "ziemię" praktyki. Kto wiedział setki trupów, nie zawaha się przed współpracą nawet z rakowatymi w walce przeciwko nadciągającej dżumie.

Wówczas gdy Sartre po osiągnięciu połowy drogi "kluczy" i "pomimo wszystko" dziś jeszcze wypowiada się praktycznie za Moskwą, Arthur Koestler, Ignazio Silone, André Gide (wprowadzany przez Enid Starkie), Richard Wright, Louis Fisher i Stephen Spender, poprzedzani przez Richarda Crossmana, dają publicznie przed światem świadectwo, że wyznawany przez nich niegdyś "bóg upadł", gdyż był fałszywy. Opierał się bowiem nie na równości, lecz przywileju, nie na wolności lecz tyranii, nie na zaufaniu lecz powszechnej podejrzliwości, nie na braterskiej miłości wreszcie, lecz gorzkiej wszystko obejmującej nienawiści. (*The God that Failed. Six studies in Communism. London, Hamilton, 1950*).

Oby Sartre mógł odbyć resztę drogi, siedząc spokojnie w swym gabinecie w stolicy "douce France", co ongiś za "Ville Lumière" i stolicę świata była uważana. W bydlęcym wagonie podążającym w kierunku "trzeciego Rzymu" i jego "sanatoriów" jedzie się znacznie szybciej, ale też i dużo mniej przyjemnie. Wiem o tym z własnego doświadczenia.

Londyn, w lutym 1950 r.

Wiktor SUKIENNICKI.

Walka o świat

ROZDZIAŁ IV.

Cel najwyższy polityki Stanów Zjednoczonych: ofensywa.

1.

Strategia defensywna z tytułu swego negatywnego charakteru jest zawsze nie wystarczająca. Polityka defensywna, którą opisaliśmy w poprzednim rozdziale, byłaby zdolna do powstrzymania na czas jakiś, a może nawet do spowodowania odwrotu, posuwających się sił komunistycznych w Eurazji. Mogłaby ona pochód ich utrudnić i opóźnić osiągnięcie ostatecznego celu. Tym nie mniej zwycięstwo komunistyczne musiałoby nastąpić jako rezultat ostateczny.

Słabą stroną czysto defensywnej polityki, przeprowadzanej nawet z powodzeniem jest to, iż nie rozwiązuje problemów, które wywołały kryzys światowy. Nieznośne zachwłanie równowagi politycznych sił światowych trwałoby w dalszym ciągu. Polityka defensywna nie wznosi konstrukcji, w ramach której prowadzić by można było politykę światową bez wytwarzania nieustannego zniecierpliwienia. Sprawa, która dzieli świat na komunistów i niekomunistów i z której wyrasta niezmienny cel podboju świata — nie zostałaby uregulowana. Cywilizacji zagrażałoby w dalszym ciągu stałe niebezpieczeństwo zniszczenia, spowodowanego wojną atomową.

W tych warunkach każde cofnięcie się komunistów miałoby charakter tymczasowy. Z chwilą, gdy dysponują oni planem dającym się realizować, ludzie, bez względu na to jakie koszty realizacja planu tego miałyby za sobą pociągnąć, zwracają się będą w jego stronę, jako do jedynej odpowiedzi na rzucone wyzwanie. Jeżeli nie ma alternatyw, to nie ma wątpliwości co do wyboru.

Rozwiązanie kryzysu światowego według planu komunistycznego — to stworzenie światowej Federacji Socjalistycznych Republik Sowieckich, inaczej komunistycznego Imperium światowego. Jeżeli nie chce się dopuścić do zwycięstwa komunistów, to należy przedstawić rządowi i ludziom na ziemi inną alternatywę, która zastąpiłaby plan komunistyczny i która czyniłaby zadość wymaganiom kryzysu, chociażby w tej samej mierze co ten plan. Lecz ludzkość nie zaakceptuje nicości w zamian za imperium komunistyczne.

Tą drugą alternatywą może być tylko niekomunistyczna Fe-

deracja światowa — Federacja, która byłaby dostatecznie rozległa, by rzeczywiście panować nad głównymi zagadnieniami polityki światowej. Lecz — jak stwierdziliśmy poprzednio — żadnej federacji światowej nie uda się stworzyć dobrowolnie za naszych czasów. Poza komunistami, jedynie Stany Zjednoczone dysponują odpowiednimi możliwościami, by federację taką siłą wprowadzić w życie. A powstałaby ona tylko wtedy, gdyby Stany Zjednoczone, zachowując monopol w kontroli nad bronią atomową, wzięły na siebie odpowiedzialność za kierownictwo nad światem.

Federacja jednak, w której członkowie nie są równi, gdzie jeden z nich kieruje innymi i jest w posiadaniu decydującego narzędzia władzy materialnej — jest w rzeczywistości, imperium. Słowa tego nie możemy przyjąć; drażni ono w równej mierze ucho obywateli amerykańskich, jak i wszystkich innych na świecie; dlatego też słowo to nie będzie nigdy prawdopodobnie w praktycznym użyciu. Nie chodzi tutaj jednak o brzmienie słów, ale o poznanie rzeczywistości. A rzeczywistość polega na tym, że jedyną alternatywą w stosunku do komunistycznego imperium światowego jest imperium amerykańskie, które o ile nie będzie obejmować granicami swymi całego świata, to w każdym razie zdolne będzie do rozciągnięcia światowej kontroli. Do niczego innego nie może zmierzać faza pozytywna, czy ofensywna racjonalnej polityki amerykańskiej.

Stworzenie takiego imperium skaze komunizm na bezsilie. Niebezpieczeństwo powstania imperium komunistycznego zostanie wyeliminowane. Zadaniem podstawowym imperium amerykańskiego, skoro tylko zostanie ono ukonstytuowane, będzie zredukowanie wojny do stopnia, w którym nie zagrażałaby ona dalszemu istnieniu cywilizacji. Zasadniczym krokiem w tym względzie będzie utrzymanie monopolu broni atomowych. Trzeba będzie stale upewniać się, czy posiadanie broni atomowych i środków, służących do jej produkowania nie przeszło do rąk dwu, lub kilku współzawodniczących między sobą krajów; kontrola nad nimi spocząć musi na zawsze w jednym ręku.

Do minimum wystarcza do rozwiązania bezpośredniego światowego kryzysu politycznego, to znaczy, że umożliwiał przetrwanie cywilizacji przez następny, co najmniej, okres historyczny. Jest ono dalekie jednak bardzo od rozwiązania stałych problemów społecznych i od umożliwienia stworzenia świata, który odpowiadałby naszym pragnieniom. Problemy ogólne nie wchodziły w skład zagadnień, poruszanych w niniejszej książce, która ogranicza się jedynie do politycznej analizy współczesnego nam kryzysu. Zagadnienia, leżące poza obreębem tego minimum pozostawiam otwarte. Rozwiązanie problemu obecnego kryzysu jest tylko warunkiem przedwstępnym do rozwiązania problemów o charakterze znacznie szerszym. Lecz bez owego warunku przedwstępnego nie będzie dalszych problemów i tym bardziej ich rozwiązania.

2

Jak należy zrozumieć powiedzenie, że należy stworzyć "imperium amerykańskie" i przy pomocy jakich środków można by je ukonstytuować? Chciałbym, aby nie interpretowano moich

słów w znaczeniu szerszym, niż jest to moim zamiarem.

Istnieje już imperium amerykańskie, które znacznie powiększyło się w czasie ostatnich pięciu lat. Z punktu widzenia rzeczywistości politycznej terytoria tego imperium, tak jak każdego imperium, nie ograniczają się do ziem takich, jak Porto Rico, czy Wyspy Dziewicze, które legalnie uznane zostały za jego kolonie czy terytoria zawisłe. Imperium rozciąga się wszędzie tam, gdzie władza imperialna ma charakter decydujący, nie we wszystkich sprawach, lecz w sprawach zasadniczych, od których zależy byt polityczny.

Z tego punktu widzenia, imperium amerykańskie w chwili obecnej i zapewne w ciągu jeszcze długiej przyszłości sięga na zachodzie aż po tereny obejmujące Japonię. Filipiny nie zostały oderwane od imperium wskutek prawnego uznania ich niepodległości. Ich sytuacja, na forum wewnętrznym imperium, przybrała formę bardziej zaszczytną, lecz los nowej Republiki Filipin zależy całkowicie od władzy Stanów Zjednoczonych, które w każdym momencie mogą ją zlikwidować i które jedynie są w stanie obronić ją przed atakiem z zewnątrz. Liczne wyspy na Atlantyku i Pacyfiku, chociażby z tytułu znajdowania się na nich wojskowych i morskich instalacji amerykańskich będące pod kontrolą Stanów Zjednoczonych, wchodzą także w skład imperium amerykańskiego. W tej samej sytuacji znajdują się te części Afryki i Europy, w których siły zbrojne Stanów Zjednoczonych są w chwili obecnej najpotężniejsze.

Ale obecne imperium obejmuje znacznie bardziej rozległy okręg; w skład jego wchodziły narody obu Ameryk. Czyż jest do pomyślenia, by jeden z narodów amerykańskich, czy nawet kombinacja kilku takich narodów, mogła rozpocząć wojnę przeciw Stanom i czyż można wojnę taką nazwać inaczej niż opełnionym gestem? Czyż jest do pomyślenia, by Stany Zjednoczone zezwoliły na to, by bogactwa naturalne jednego z tych narodów wpadły w ręce wroga światowego? Federacja imperialna Ameryk jest związkiem luźnym i członkowie jej korzystają z dużej — zbyt dużej czasami — autonomii. Polityka Stanów Zjednoczonych jest wahająca i mało zdecydowana; nie kieruje ona Amerykami tak łatwo i dobrze, jak mogłaby to robić przy lepszym kierownictwie; obie Ameryki skarżyłyby się mniej prawdopodobnie na "imperializm yankes'ów". Tym niemniej, jeżeli chodzi o sprawy decydujące, imperium ma znaczenie realne. Gdyby w kierownictwie Stanów Zjednoczonych było mniej hipokryzji, a więcej znajomości rzeczy, narody te nie miałyby podstaw do uskarżania się. Gdyby nie istniał ów związek imperialny, nie przeżyłyby w dzisiejszym świecie ostatnich dziesięciu lat; już dawno kilka państw Południowej Ameryki, położonych na zachodnim brzegu, zamieniłoby się w kolonie japońskie; a kilka innych odgrywałoby w chwili obecnej niezbyt przyjemną rolę satelitów światowej potęgi komunistycznej.

Z punktu widzenia prawnego Kanada jest częścią brytyjskiego Commonwealth'u. Lecz Kanada, jeżeli chodzi o rzeczywistość polityczną, także winna znaleźć się w orbicie imperium amerykańskiego. By twierdzenie to udowodnić, wystarczy pomyśleć chwilę nad następującą hipotezą. Przypuśćmy, że Sta-

ny Zjednoczone, prowadząc w dalszym ciągu swą niepewną i wahającą się politykę, doprowadzają pośrednio do tego, że Anglia wchłonięta zostaje przez imperium komunistyczne i że wybuch wojna. Po której stronie stanie Kanada? Utworzyłaby się bez wątpienia angielsko-komunistyczna frakcja, którą należałoby zlikwidować. Lecz jest rzeczą pewną, że większość kanadyjskich bogactw w ludziach i przemyśle — bez względu na to, czy Kanada życzyłaby sobie tego czy nie — znalazłaby się po stronie Stanów Zjednoczonych. Dla tych też względów, od wielu lat mapy, ilustrujące zaopatrzenia Stanów Zjednoczonych podczas wojny, obejmują także Kanadę.

Polityka imperialna nie jest więc czymś nowym dla Stanów Zjednoczonych. Została im narzucona i ciągle jest narzucana układem stosunków sił i faktem, że potęga Stanów Zjednoczonych jest proporcjonalnie zbyt duża na to, by pozwolić im na zajmowanie biernego stanowiska; nie mogły one nie stworzyć imperium. Jednak opinia publiczna Stanów Zjednoczonych nigdy nie chciała zrozumieć rzeczywistego położenia politycznego i kierunku politycznego własnego kraju. Fakty, dotyczące realnej walki o władzę przykryte są warstwą pseudomoralnych banałów, przy pomocy których kierownicy polityczni i obywatele Stanów usiłują przekonać siebie samych, że zawsze wypełniają pełne altruizmu wskazówki. Zwyczaj ten jest może holdem, złożonym amerykańskiemu sumieniu, lecz wywołuje poza granicami najzupełniej żałosne skutki.

Obywatele innych narodów, po doświadczeniach ostatniej wojny i demonstracjach bomby atomowej, zdają sobie doskonale sprawę z potęgi amerykańskiej. Patrzą się na nią z pomieszanymi uczuciami strachu i nadziei, strachu na myśl o tym jak daleko sięga jej siła, gdy zwrócona zostaje w kierunku zniszczenia, i nadziei, że potęga ta zajmie się rozwiązaniem problemów, które bez jej pomocy nie zostaną rozstrzygnięte. Do tych nadziei i strachu przylączyła się stale wzrastające uczucie pogardy, wszystkie bowiem moralne komunały urastają w oczach innych do rozmiarów hipokryzji i głupoty. Czyż Europejczyk umierający z głodu w mieście, zdruzgotanym bombami amerykańskimi będzie mógł poważnie traktować amerykańskie potępienia, rzucane pod adresem "polityki mocarstwowej"? Czyż zagraniczny obserwator w Bikini będzie mógł przywiązywać dużą wagę do amerykańskich zapewnień o "pokoju"? Czyż obywatel małego narodu, który dostrzeże amerykańskie podpisy pod układami, gwarantującymi wykonywanie kontroli przez wielkie mocarstwa będzie chciał słuchać amerykańskich deklaracji na temat "równości wszystkich narodów"? Czyż ojciec, którego córka została zgwałcona i dom obrabowany przez żołnierzy amerykańskich będzie chciał wierzyć w to, że Stany Zjednoczone są głosicielami zasad moralnych na świecie. Czyż może podobać się Anglikowi amerykańska retoryka, piętnująca imperializm brytyjski w Palestynie i Indiach, jeżeli Stany Zjednoczone nie podejmują żadnych konkretnych kroków, by pomóc Anglii w rozwiązywaniu ważnych problemów jej nie-szczęśliwych krajów?

Stany Zjednoczone dysponują na świecie największą potęgą, jaką kiedykolwiek jakikolwiek naród posiadał. Korzystają one z przyjemnością z wielu bezpośrednich owoców tej po-

tęgi, a w szczególności z najbardziej wysokiego poziomu życia, jaki kiedykolwiek osiągnięto. Stany Zjednoczone wykonywują jednak władzę bez poczucia odpowiedzialności. A poczucie takie jest pierwszym warunkiem pozytywnej i odpowiedzialnej polityki. Gdyby poczucie to w Stanach Zjednoczonych istniało, wyrosłaby przed nimi konieczność otwartego i odważnego domagania się politycznego kierownictwa nad światem.

Nie należy wyobrażać sobie, że tego rodzaju żądanie przyjęte zostanie jednomyślnie i z entuzjazmem przez resztę świata. Tym niemniej nie ma podstaw do przypuszczenia, że gdyby wysunięto je w formie odpowiedniej, zostałyby przez wszystkich odrzucone. Dosyć poważna część ludzkości zdaje sobie doskonale sprawę z katastrofalnej głębokości kryzysu światowego. Jest ona gotowa do przyjęcia rozwiązania, nawet gdyby miało pociągnąć ono za sobą poważne ofiary w dziedzinie mniejszych potrzeb; ten stan umysłów jest główną przyczyną rozwijania się przyciągającej siły komunizmu. O ileż bardziej pociągająca będzie perspektywa rozwiązania, również skutecznego jak rozwiązanie komunistyczne, lecz za które nie zapłaci się totalitarnym zdegradowaniem.

Pod tym względem może nas wielu rzeczy nauczyć niepowodzenie Hitlera. Pod koniec wojny hitlerowska maszyna wojskowa została rozbita, lecz jest prawdopodobne, iż przyczyna, która zdecydowała o jej porażce miała charakter polityczny, a nie wojskowy. Omówię poniżej jeden z ważniejszych elementów, wchodzący w skład stosunków politycznych.

Zwycięstwo w pierwszej wojnie światowej uczyniło z Francji jedno z kierujących mocarstw w Europie. Traktat wersalski, który pociął Europę w myśl francuskich życzeń, przeznaczony był do uwiecznienia jej pozycji. Tym niemniej, w 1940, Francja runęła przy pierwszym poważniejszym uderzeniu. Cała dokumentacja z tej epoki — mimo troski z jaką pragnie się obecnie ukryć jej rzeczywiste znaczenie, udowadnia, że większa część ludności Francji była zdecydowanie przeciwna wojnie. Nie znaczy to, że Francuzi byli tchórzami; myśleli tylko po prostu, że nie ma powodu do walki. Przede wszystkim jednak czuli, że dalsze istnienie Europy, podzielonej na grupy zazdrosnych narodów, ekonomicznie nastawionych do siebie wrogo, starających się wzajemnie wyniszczyć i prowadzących między sobą co kilka lat wojny — jest niemożliwe. Francuzi gotowi byli przyjąć to, co ogólna sytuacja im narzucała: federację europejską. Oczywiście, nie zaproponowaliby jej dobrowolnie Hitlerowi; lecz zgodziliby się na nią z łatwością, gdyby ich do tego popchnięto. Gdyby nie było innego wyjścia, gotowi byli przyjąć najgorsze dla nich wyjście, to znaczy, federację pod kierownictwem niemieckim.

W 1940, z punktu widzenia politycznego Hitler posiadał największe szanse zwycięstwa. Gdyby, zamiast zająć Francję i traktować ją jak pokonany naród podpisał z nią wspaniałomyślny układ i zaproponował jej wejście w roli partnera — partnera drugorzędnego, oczywiście, lecz nie marionetki — w skład administracji zjednoczonej Europy, to trudno przypuszczać, żeby Francja — będąc psychologicznie przygotowana — odmówiła przyjęcia równie korzystnej oferty. Układ między Niemcami a Francją wystarczyłby całkowicie na to, by Federacja Euro-

pejska stała się rzeczywistością. Anglia miałaby wówczas przed sobą nie Europę podbitą, kipiącą wewnątrz i zapełnioną przyjaciółmi angielskimi, lecz Europę obudzoną i niecierpliwą, by iść naprzód. Hitler mógłby być żądać w imieniu całej Europy zakończenia wojny na zachodzie. Anglia utraciłaby uzasadnienie do prowadzenia dalszej walki. W skład nazizmu wchodziły bezwzględnie elementy, które uniemożliwiły Hitlerowi wykorzystanie tej politycznej okazji, lecz spoglądając wstecz zdać sobie możemy sprawę z tego, czym ta okazja była i co by nastąpiło, gdyby została odpowiednio zużytkowana.

Jest rzeczą oczywistą, że Stany Zjednoczone nie mogą w wyznaczonym czasie zdobyć rzeczywistego kierownictwa polityką światową, przy pomocy jedynie wezwania, skierowanego po prostu do ludzkiego rozsądku. By cel ten osiągnąć będą musiały przejść uprzednio przez stadium udzielania na przemian konsesji i wywierania nacisków. Tak jedne jak i drugie są niezbędne. Stany Zjednoczone nie posiadają dostatecznie niezależnej władzy, by liczyć tylko na naciski. A opory są zbyt silne, by same tylko konsesje mogły je usunąć.

Konsesje, o których mowa, dzielą się na trzy gatunki: konsesje ekonomiczne, polityczne i te, które nazwać by można sentymentalnymi, czy moralnymi. Stany Zjednoczone z ich kolo-salnym, a nawet zanadto rozbudowanym aparatem produkcyjnym mogłyby, gdyby chciały, przyjąć nieortodoksyjne metody udzielania ogromnych konsesji ekonomicznych, idących po linii interesów najwyższego celu politycznego. W pewnych wypadkach, konsesje te mogłyby wymagać tymczasowego poświęcenia interesów własnej ekonomii, lecz ich konsekwencje byłyby często pozytywne, gdyż, stanowiłyby podniecie dla ogólnej produkcji. Pożyczki, pomoce, układy handlowe, korzystne dla obu stron, maszyny, rzeki towarów pożądaných przez konsumentów, łatwe warunki spłaty — przemawiają językiem zrozumiałym dla wszystkich. Tego rodzaju postępowanie wyjaśniałoby w sposób przekonujący, że jest rzeczą przyjemną i materialnie korzystną być spółnikiem Stanów Zjednoczonych.

W polityce jak i w małżeństwie należy zawsze ustępować we wszystkim, z wyjątkiem rzeczy istotnych. W stosunkach między narodami, w których jeden jest potężny, a drugi słaby, nieustanne mieszanie się do spraw drugorzędnych jest zwykle bardziej irytujące dla narodu małego, niż energiczna i stanowcza interwencja, ograniczająca się do nielicznych, lecz decydujących zagadnień. Stany Zjednoczone popełniłyby fatalny błąd, gdyby oficjalnie uznały przekonanie wielu swoich obywateli, według którego wszystkie kraje winny przyjąć socjalne i polityczne instytucje amerykańskie jako modele dla siebie. Modele te mogą bardzo łatwo nie podobać się ludziom, którzy mimo to ani nie są barbarzyńcami, ani nie zagrażają bezpieczeństwu świata.

W dziedzinie swej polityki zagranicznej Stany Zjednoczone narażają się często na zarzut, że wprowadzają w życie to, co nazywane jest czasami "polityką prestiżową". Określenie to odnosi się do działalności politycznej, której uzasadnieniem są raczej formy, a nie, substancja polityczna. Uprawia się politykę prestiżową wtedy, gdy chce się iść na czele procesji i być przewodniczącym na konferencjach i komitetach, gdy wymaga się szacun-

ku i żąda się umieszczania siebie na pierwszych miejscach list. Uprawia się politykę prestiżową wtedy, gdy nie znosi się, by ktoś inny złożył wcześniej jakąś propozycję nawet, gdyby była ona zgodna z waszymi poglądami i gdy chce się zasiadać na pierwszym miejscu w czasie konferencji Pokojowej, wbrew porządkowi alfabetycznemu. Rozsądna polityka zajmuje się tylko realnymi faktami, dotyczącymi władzy i chętnie zezwala na to, by inni korzystali z prestiżowych pozorów. Gdy Rzym stał się Imperium, a Oktawian cesarzem, dbał on o to, by pozostać senatorem wśród wielu innych; było mu obojętne, że nie nazywano go królem, skoro był królem. Jeżeli Stany Zjednoczone chcą być pierwsze wśród innych narodów, to nie osiągną tego, domagając się by te narody upokorzyły się przed orłem bez korony. Zrobią natomiast dobrze, gdy udowodnią tym narodom, że zachowają one i zwiększą swój honor i godność narodową, gdy będą w przyjaźni ze Stanami.

Najmniej kosztownymi ze wszystkich konsesji w dziedzinie stosunków między narodami, lecz nie najmniej ważnymi są te, które dotyczą uczuć moralnych, wierzeń religijnych i zwyczajów socjalnych. Tutaj także prowincjonalizm i pewność siebie Stanów Zjednoczonych wyrządzają wiele krzywd polityce zagranicznej. Turysta amerykański, wysmiewający się gruboskórnie z "cudzoziemców" jest odpowiednikiem dyplomaty amerykańskiego, nie znającego języka kraju, w którym jest akredytowany, tak samo, jak film amerykański, wysmiewający się z nieznanego Ameryce wrażliwości religijnej pokrewny jest amerykańskiemu reklamiarstwu, które wychwala się kosztem całego świata. Polityka zwrócona w kierunku najwyższego celu, w kierunku klucza sytuacji, zaleca jak największą ostrożność w stosunku do zwyczajów, uczuć i wierzeń innych narodów.

Lecz same konsesje nie wystarczają; w rzeczywistości wywołują u innych wrażenie nie wspiałości, lecz słabości. W konsesjach winna być tylko jedna strona medalu, na odwrotnej stronie, którego widnieć musi siła. Przekonanie, iż jest rzeczą korzystną być przyjacielem Stanów Zjednoczonych musi być nieodłącznie związane z przekonaniem, iż jest rzeczą niebezpieczną być ich wrogiem. Konsesje, które służą do konstrukcji porządku światowego muszą być podtrzymywane podporami w postaci siły. Trzeba, by ludzie wiedzieli, że siła ta istnieje i że w każdej chwili może być ona użyta czy to w pośredniej formie paraliżujących sankcji ekonomicznych, czy w bezpośredniej formie — bomby. Ostatnią rezerwą w serii środków, opartych na sile, byłby monopol w kontroli nad bronią atomową.

Jedynym racjonalnym celem polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych jest stworzenie światowej Federacji niekomunistycznej. Federację tę zbudować można, w każdym razie w potrzebnych granicach i w stopniu, posługując się odważnie wspiałością konsesjami i posiadającą przewagą w układzie sił. Oba te niezbędne i wystarczające środki są dzisiaj — chociaż nie na długo — w posiadaniu Stanów Zjednoczonych. Dla tych względów też, odpowiedzialność za przyszłość cywilizacji spoczywa dzisiaj nieuchronnie na Stanach Zjednoczonych.

3.

Mam wrażenie, że sformułowana w rozdziale tym najwyższa polityka podyktowałaaby Stanom Zjednoczonym bezwzględne zwrócenie się do Wielkiej Brytanii i jej Dominiiów z propozycją ustanowienia wspólnego obywatelstwa i utworzenia całkowitej unii politycznej.

Gdy zestawimy wniosek ten ze świeżo pozostającą w naszej pamięci negatywną odpowiedzią, złożoną przez Stany Zjednoczone i Anglię rzuconemu przez Churchilla projektowi stworzenia mocnego aliansu angielsko-amerykańskiego — to wniosek ten wydać się nam może nieoczekiwany. Negatywna odpowiedź Anglii i Ameryki była jednak bardziej hałaśliwa niż rozpowszechniona. W Stanach Zjednoczonych została przesadnie rozdmuchana przez antyangielsko nastawionych zawodowców z "Chicago Tribune" i z prasy Hearsta. U nas, jak i w Anglii, podlegały ją organizacje frontu komunistycznego, których energie skupiały się na sprawie pogłębienia nienawiści angielsko-amerykańskiej. Ale cała ta agitacja posiada charakter do pewnego stopnia absurdalny, gdyż istnieje przecież de facto angielsko-amerykański alians.

Doświadczenie polityczne wskazywałoby poza tym na to, że całkowita unia powinna mieć więcej zwolenników i mniejszą wywoływać opozycję, niż zwykły alians. Cel o znaczeniu szerszym, szczególnie gdy czuje się, iż doprowadzić może do wielkich rezultatów, posiada często większe szanse wzbudzenia zainteresowania wśród publiczności, niż cel o mniejszej wadze, który — nawet gdy zostanie osiągnięty — nie stanowi prawdziwego kroku naprzód. Cel o zasięgu ograniczonym wywołuje to samo niezadowolenie, co cel o zasięgu szerokim, lecz nie jest zdolny do wzbudzenia tego samego entuzjazmu. Formalny alians między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią nie wniósłby nic nowego; podpisanie dokumentu nie uczyniłoby bardziej stałym istniejący obecnie niezupełny alians de facto. Dokumenty jedynie notują rzeczywiste stosunki polityczne, lecz ich nie stwarzają. Rzeczywista unia między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią i jej Dominiami byłaby natomiast katalizatorem, wprowadzającym natychmiastowe zmiany do polityki światowej.

Przyznajemy, że Unia ta nie mogłaby narodzić się w sposób całkowicie spontaniczny; może trzeba by było użyć kleszczy, a w każdym razie musiałyby one być pod ręką. Tym niemniej istnieje dostateczna ilość przesłanek historycznych wskazujących na to, że unia ta powstać może. Pochodzenie historyczne, język, literatura, zasady prawne, formy rządu — stanowią wspólne dziedzictwo. Okoliczności kryzysu światowego popychają Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i jej Dominia do szybkiego powzięcia decyzji i stawiają je w obliczu tego samego przeznaczenia. Bez względu na to, czy potrafią uznać prawdę tę zawczasu, czy nie — muszą one zginać lub przetrwać wspólnie. Jeżeli Imperium komunistyczne zawładnie Anglią, Stany Zjednoczone nie będą długo czekały na swą kolej. Jeżeli Anglia wyobraża sobie, że kroczyć może własną drogą, przeciwstawiając komunizm Ameryce, to w niedługim bardzo czasie czekać ją będą bolesne rozczarowania.

Unia jest możliwa i racjonalnie domaga się jej kryzys. Przypuśćmy, że po krótkim okresie przygotowań oficjalnych i nieoficjalnych z obu stron propozycję utworzenia unii złożą otwarcie nie poszczególne lub prywatne osoby zorganizowane grupy, poruszane najlepszymi intencjami, lecz Prezydent Stanów Zjednoczonych. I że propozycja ta nie odnosi się do dalekiej, abstrakcyjnej przyszłości, lecz dotyczy najbliższych dni. Dlaczego wierzyć mamy, że oferta ta zostałaby lub zostanie odrzucona? Gdyby była szczerą i wspaniałomyślną i gdyby zawierała ukrytą między liniami aluzję, mówiącą o tym jakimi konsekwencjami groziłaby odmowa — to musiałyby rozniecić ogień w którym spłonęłyby wszystkie zazdrosne niepokoje samolubnych interesów.

Dzisiaj jedyną możliwością ucieczki z coraz bardziej zacieśniającej się sieci izolujących nacjonalizmów, z ich kordonami granic, paszportów, cel, dewiz, policji i biurokracji — jest dla ludzi dusząca totalitarna jedność imperium komunistycznego. Unia Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych utworzyłaby przed ludźmi perspektywę innej drogi, na której nie byłoby bariery, ani konieczności składania totalitarnej opłaty.

Unia taka oznaczałaby, że Wielką Brytanią, Dominia i Stany Zjednoczone stały się członkami federacji imperialnej. W pierwszym stadium Wielka Brytania byłaby z konieczności partnerem drugoplanowym. Fakt ten, nie będący wynikiem popularnych przesądów, lecz rzeczywistych stosunków między potęgami jest największą przeszkodą w powstaniu unii. Jest rzeczą niezmiernie przykrą prosić wielki naród, który kierował światem przez trzysta lat o to, by zajął inne miejsce niż pierwsze, szczególnie gdy tego pierwszego miejsca domaga się parweniusz, którego jedyną wyższą kwalifikacją — niestety kwalifikacją decydującą — jest ciężar jego potęgi materialnej. Potrzeba by było wyjątkowych mężów stanu i głębokiego zrozumienia w obu narodach, znaczenia obecnego kryzysu — by przeszkodę tę przezwyciężyć.

4.

Dzisiejsza skurczona Europa przyciśnięta jest do ściany Atlantyku. Wysunięte oddziały potęgi komunistycznej rzucone zostały na kontynent we wszystkich kierunkach i sięgają daleko poza żelazną kurtynę, docierając do mórz. Za kurtyną konsoliduje się władzę, posługując się batem N.K.W.D. Po tej stronie kurtyny, w części niekomunistycznej kontynentu, osłabione i wygłodzone narody wyczerpują resztki swej energii w kłótniach o obgryzione koście, w nieufnym deptaniu sobie po piętach i w odnawianiu przegranych wczoraj walk. Jest to smutne i przygnębiające widowisko. A jest przecież tak jasne, że istnieje tylko jedno wyjście.

Należy stworzyć, możliwie jak najszybciej, pod kierownictwem i protekcją anglo-amerykańską federację europejską, w skład której weszłyby wszystkie narody kontynentalne, niepoddane jeszcze władzy komunistycznej. Gdy wzrośnie siła atrakcyjna tej federacji przyciągnie ona do siebie ofiary z tamtej strony kurtyny. Kierownicy komunistyczni kpić muszą z tego, że tylko nieliczni ludzie mają odwagę mówić o tym, tak

oczywistym i narzucającym się, planie. Z jaką pogardą muszą oni wysłuchiwać tchórzliwego wypierania się "Bloku Zachodniego", na który oni napadają. Z jaką przyjemnością przypatrywać się muszą narodom zachodu, kłócącym się o kwestie prestiżowe i odwetowe.

Czyż można wierzyć w to, że Europa wytrzyma jeszcze dziesięć lat podobnych warunków? Czyż w sytuacji tej istnieć może jakieś inne rozwiązanie, niż Federacja europejska?

Gdyby Anglia i Stany Zjednoczone, zamiast zadowolić się uznaniem narzuciły Federację europejską, byłoby to dla nich równoznaczne z całkowitym odwróceniem polityki, prowadzonej przez Anglię od trzech wieków, a przez Stany Zjednoczone od dwu generacji. Oba te narody prowadziły swoje największe wojny, mając za swój cel polityczny zapobieżenie powstaniu zjednoczenia Europy. By móc liczyć na tego rodzaju odwrócenie polityki trzeba, by sytuacja tak dalece uległa zmianie, że dalsze prowadzenie polityki tradycyjnej stałoby się już niedopuszczalne.

Sytuacja jednak uległa takiej właśnie zmianie. Tradycyjna polityka oparta była na fackie historycznym, stwierdzającym że jeszcze jedną generację temu, większa część władzy światowej skupiała się na kontynencie europejskim; gdyby nastąpiło zjednoczenie tej władzy opanowałaby ona całą ziemię, łącznie z Anglią i Stanami Zjednoczonymi; oba te narody musiały więc we władzy europejskiej utrzymywać podział i równowagę, aby móc zachować swą własną niezależność.

Dzisiaj przeważna część władzy światowej podzielona jest między Stanami Zjednoczonymi, a opanowaną przez komunistów Eurazją. To, co pozostaje w Europie nie jest zdolne w czasie najbliższych dziesiątków lat do niezależnego współzawodniczenia z dwoma głównymi przeciwnikami. Nie wynika jednak z tego, że wydarzenia na terenie europejskim nie miałyby wpływu na przebieg walki. Natomiast wynika z tego to, że rola potencjonalnych sił europejskich będzie rolą pomocniczą, czy to po stronie zachodu, czy komunizmu; lecz udział ich zadecydować może o tym, na którą stronę przechyli się waga.

Tradycyjna polityka angielsko-amerykańska, która w przeszłości zapewniała bezpieczeństwo Anglikom i Amerykanom, w warunkach obecnych wywołuje skutek wprost przeciwny. Jeżeli utrzyma się w zachodniej Europie skłócenie i podział, to tym samym umożliwi się komunistom podbój Europy. Każdą szczeliną przecieka komunizm do Europy; jedynym sposobem zatkania tych szczelin przez Anglików i Amerykanów jest praca nad konsolidacją Europy. Trzeba, by połączona taktyka koncesyj i przymusu stworzyła jednocześnie zjednoczenie Europy i wyzwoliła ją od wewnętrzznego komunizmu.

Od 1870 Francja obawiała się Federacji europejskiej, gdyż wiedziała, iż w zjednoczonej Europie Niemcy posiadaliby przewagę. Dzisiaj niepokój ten nie ma racji bytu. Anglia i Stany Zjednoczone z pomocą Francji zdolne są do rozciągnięcia kontroli nad federacją. Mogą, jeżeli chcą, ustalić warunki tej federacji w ten sposób, że Niemcy będą mogli uczciwie żyć i pracować w łonie zjednoczonej Europy, nie posiadając jednak możliwości zagrażania jej politycznie i militarnie. Jeżeli Francja wysuwa zarzut, iż z czasem każde zarządzenie traci na

swjej bezwzględności i że w przyszłości Niemcy podjąć znowu mogą próby opanowania świata — to należy jej odpowiedzieć: tak, to jest możliwe. Lecz niebezpieczeństwu temu poświęcony będzie dopiero następny tom historii. W międzyczasie niezależny "problem niemiecki" nie istnieje. Dzisiaj pytanie polega nie na tym, czy Niemcy raz jeszcze próbować będą opanować Europę i świat, lecz na tym, czy istnieją jakieś środki, mające przeszkodzić wchłonięciu ich przez imperium komunistyczne. Niech Francja, o ile niepokoi się odległym o dwie generacje niebezpieczeństwem odnowienia się germanizmu, zastanowi się uważnie nad realną perspektywą graniczenia ze zjednoczonymi, komunistycznymi Niemcami, perspektywą, która może stać się w ciągu dwu lat rzeczywistością.

5.

Problem stosunków Ameryki z Chinami, Indiami, Malayami, Indiami Wschodnimi, Arabami, innymi muzułmanami i prymitywnymi okręgami Afryki, jakkolwiek o poważnym znaczeniu, nie posiada w obecnym kryzysie tej samej ostrości, ze względu na fakt, że społeczeństwa tych krajów nie należą bezpośrednio do zachodniej cywilizacji i nie dysponują daleko posuniętym uprzemysłowieniem i technologią. Przyczyna ta uniemożliwia im w czasie najbliższego okresu historycznego podjęcie na własną rękę produkcji broni atomowej. Ponieważ istnienie broni atomowych jest czynnikiem zaostrzającym kryzys, polityka w stosunku do tych krajów może zadowolnić się — mimo iż winna mieć bardziej ambitne aspiracje — sukcesami o charakterze czysto negatywnym, czy defensywnym. To znaczy, że polityka ta osiągnie swe konieczne minimum, o ile uniemożliwi opanowanie tych krajów przez komunizm i zapobiegnie utworzeniu z nich strategicznych baz komunistycznych.

W rozdziale poprzednim omówiłem sprawę wprowadzenia w życie właściwej polityki w Chinach. Japonia nie stanowi specjalnego problemu politycznego, gdyż jest rzeczą oczywistą, iż racjonalna polityka amerykańska winna by zmierzać do utrzymania Japonii jako wysuniętego przyczółka amerykańskiego na wybrzeżu eurazjskim, do wyeliminowania komunizmu z życia japońskiego i do kierowania Japonią w ten sposób, by ją wciągnąć do niekomunistycznego światowego systemu politycznego. Mówiąc ogólnie, metody połączenia siły i koncesyj byłyby narzedziem tej polityki.

Nie wolno nam wydać Indyj komunizmowi. Jeszcze długo nie będą one zdolne do obrony własnej niepodległości. Dlatego też, bez względu na to, co mówią i co zrobią ekstremiści, żądający niezależności, mocarstwa zachodnie uzyskać musiałyby odpowiednie gwarancje, jeżeli chodzi o obronę Indyj i orientację ich polityki zagranicznej. W tych warunkach, które zresztą trzeba by obecnie narzucić każdemu narodowi, wydaje się rzeczą możliwą, chociaż dosyć trudną, ustalenie statutu Indyj w podobny sposób, jak zamierza się to zrobić z Filipinami. Mam wrażenie, że należy też zwrócić tutaj uwagę na ogromne korzyści, które stałyby się udziałem wszystkich narodów, gdyby doszedł do skutku sugerowany przez nas projekt federacji. Fakt zniesienia barier politycznych wywołałby ożywienie stosunków

socjalnych, handlowych i przemysłowych w takim stopniu, że stałby się możliwy szybki ogólny rozwój ekonomiczny. Udział Indyj byłby na tyle poważny, że doprowadziłby naród ten do dostosowania swych nadziei i ideałów do zmienionej sytuacji.

Należy dodać, iż byłoby rzeczą pożyteczną dla Stanów Zjednoczonych, gdyby przyczyniły się do podniesienia materialnego poziomu życia mniej rozwiniętych krajów świata. Motywy, które za tego rodzaju postępowaniem przemawiają mają charakter bardziej polityczny niż bezinteresowny i wspaniałomyślny; przemysłowa produkcja Stanów przekracza znacznie zdolności konsumpcyjne rynku wewnętrznego i jedynym sposobem uniknięcia katastrofy deflacyjnej jest zwiększenie eksportu do innych części świata. Z drugiej strony, trudno będzie tylko samą siłą utrzymać Chińczyków, Hindusów, Muzułmanów, mieszkańców Indonezji i Malayów w linii politycznej Stanów, o ile doświadczenie nie wskaże narodom tym materialnych korzyści, które staną się ich udziałem, gdy zgodzą się na polityczne kierownictwo Ameryki.

Wysuwa się czasami argument, że Stany Zjednoczone rekonstruując pod względem politycznym i przemysłowym na przykład Chin, stworzyłyby rywala, który, dysponując rozległymi zasobami w lądach, zniszczyłby kiedyś swego opiekuna. Tu także odpowiedzieć możemy: tak, jest to najzupełniej prawdopodobne. Lecz możliwość ta wchodzi także w skład innego okresu historycznego, którego problemy rozwiązywać będzie następna generacja. W międzyczasie jednak obowiązuje nas zagadnienie przeżycia okresu obecnego. Osobiście jestem skłonny do poddania w wątpliwość takich przepowiedni, dotyczących Chin (czy Indyj) i formy w jakiej zwykle się je ujmuje. Zapominamy o tym, że cywilizacje Chin i Indyj są całkowicie odmienne od naszej. Nawet gdyby przyjęły one, lub gdyby im narzucono zewnętrzny mechanizm zachodu z wszystkimi jego maszynami i udogodnieniami materialnymi, to prąd właściwego im życia kulturalnego jest zbyt głęboki, by ulec absorpcji. Jeżeli w przyszłości Chin i Indie podbić by miały świat, to nie nastąpiłoby to na skutek faktu, że przyjąwszy tryb życia zachodni zwracają się przeciw zachodowi, by go zniszczyć. Stałoby się to raczej na skutek tego, że cywilizacja zachodnia zawałiłaby się od wewnątrz. Chin, Indie i Islam odegrałyby wówczas rolę likwidatorów masy upadłościowej zachodu.

6.

Sukcesy w dziedzinie realizacji wszystkich wymienionych dotychczas środków politycznych nie przyniosłyby jeszcze rozwiązania kryzysu światowego, mimo, że byłyby one rewolucją w stosunkach między mocarstwami. Dałyby w rezultacie to, że Stany Zjednoczone wzięłyby inicjatywę polityczną we własne ręce; komunizm światowy byłby w defensywie. Lecz forteca komunistyczna istniałaby w dalszym ciągu, jak również podział świata na część niekomunistyczną i komunistyczną z jej aspiracjami zagarnięcia absolutnego monopolu władzy. Wywód więc dotyczący polityki pozytywnej będzie niekompletny, o ile w skład jego nie wejdzie omówienie zadania penetracji forticy komunistycznej i wyzwolenia narodów i terytoriów, łącznie z

narodem rosyjskim, będących obecnie we władaniu komunistów. Do problemu tego, który poruszyłem uprzednio, wrócę jeszcze nieco później.

7.

Nawet ci, których nie przestraszy fakt, że omawiana w obu tych rozdziałach polityka, nazywana będzie "imperialistyczną" i zapewne "faszystowską", będą ją wolli odrzucić, twierdząc, że jest "nierealna". Chciałbym zastanowić się przez chwilę nad tym przymiotnikiem.

Istnieją dwie przyczyny, całkiem zresztą odmienne, które upoważniają nas do stwierdzenia, że dana polityka jest "nierealna". Polityka jest nierealna wtedy, gdy wprowadzenie jej w życie wymaga od ludzi całkowicie odmiennego zachowania się od tego, które — jak wskazuje doświadczenie — było ich zwyczajem. W tym też sensie polityka pokoju, którą można by było osiągnąć przy pomocy wyrzeczenia się władzy, a którą omówiliśmy w części drugiej tej książki — jest nierealna. Ten sam charakter mają inne polityki, w szczególności utopijna polityka socjalistów, w myśl której ludzie u władzy zdolni są do wyrzeczenia się jej dobrowolnie, lub do posługiwania się nią tylko dla dobra innych. Do tej samej kategorii polityki zaliczyć należy — jak to stwierdziliśmy uprzednio — plany natychmiastowego i dobrowolnego utworzenia światowego państwa demokratycznego.

Jeszcze rzadziej dostrzega się, że polityka jest również, chociaż w innym sensie, nierealna, jeżeli — osiągnąwszy nawet pewne sukcesy — nie rozwiązuje jednak problemu, który pragnęła rozwiązać. Polityka zmierzająca do wyleczenia ludzi z raka, a polegająca na aplikowaniu im silnych dawek sulfamidów mogłaby być wprowadzona w życie, lecz nie przyczyniłaby się do polepszenia stanu zdrowia chorych. Polityka, zmierzająca do zwalczania depresji ekonomicznej i zezwalająca na dowolne bicie srebrnych monet mogłaby być zastosowana w praktyce, lecz nie uwolniłaby kraju od kryzysu.

Podkreślanie ostrości współczesnego politycznego kryzysu światowego nie jest żadną przesadą. Błąd wielu sugerowanych, a nawet wprowadzanych w życie planów politycznych, zmierzających do jego rozwiązania polega na tym, że nawet mimo triumfalnych osiągnięć nie zmniejszyłyby one na pewno ostrości tego kryzysu. Czyż można poważnie wierzyć w to, że podpisanie kilku traktatów odsunie niebezpieczeństwo bomby atomowej? Czyż istnieje jeszcze ktoś, kto by myślał, że debaty na posiedzeniach Rady Bezpieczeństwa wyeliminują "nieporozumienia" między komunistami a zachodem? Kto jeszcze wyobraża sobie, potem co się stało we wschodniej Europie, że komuniści dotrzymają jakichkolwiek zobowiązań o ile ich się do tego nie zmusi? Czyż dyplomaci amerykańscy myślą, że uzyskają prawo do wprowadzenia wolnego handlu w dolinie Dunaju starając się przekonać kierowników komunistycznych, że wolny handel jest "lepszą" zasadą ekonomiczną, niż monopol totalitarny? Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych ostatnich lat walczyła o zwycięstwa, o które nie warto było zabiegać.

Polityka, którą naszkicowałem jest na pewno wielka; nie jest jednak nierealna w żadnym z wyżej podanych sensów. Wysuwa ona przypuszczenie, że ludzie, grupy ludzi i narody działać będą w dalszym ciągu w dziedzinie polityki tak, jak to robili dotychczas: to znaczy głównie (choć nie wyłącznie) we własnym interesie z tym, że działalność ich ulegać będzie w małym, ale potencjalnie ważnym stopniu wpływom inteligencji i dobrej woli. Polityka ta poza tym bierze pod uwagę istotny fakt podziału władzy na świecie i to czego żąda w granicach tego podziału jest materialnie możliwe. W końcu, polityka ta przeprowadzona z sukcesem, czy z racjonalnie dopuszczalnym procentem sukcesu, rozwiązałaby realnie — to znaczy częściowo i czasowo, a to tylko w naszym życiu socjalnym jest możliwe — najważniejsze problemy, którym zawdzięczamy ostrość współczesnego nam kryzysu. Nic nie może być bardziej "realistyczne".

ROZDZIAŁ V.

Wewnętrzne wprowadzenie w życie polityki zagranicznej.

Pragnąc ograniczyć się w tej książce do deskryptywnej analizy światowego kryzysu politycznego i alternatyw dotyczących jego rozwiązania, nie poruszę zagadnień związanych z tym, co Amerykanie nazywają "polityką praktyczną", to znaczy, ze sprawami kandydatów, nominacji, wyborów, organizacji partii itd. Nie chciałbym wywołać wrażenia, że zmniejszam wagę tych zagadnień. Sama polityka nie może torować sobie drogi na świecie. Najlepiej obmyślana i dostosowana do Stanów Zjednoczonych polityka nie miałaby żadnego znaczenia, gdyby woła kierowników politycznych i partii politycznej nie pragnęła jej realizacji. Nie mam zamiaru atakować znaczenia, które Amerykanie przywiązują do "polityki praktycznej"; stawiam im tylko zarzut, iż zbyt często wierzą, że nie ma innej; i chciałbym dlatego, dla przeciwwagi, skierować uwagę ich w stronę głównego programu i celu tego, co nazywałem "polityką".

Polityka, której nakreśliłem główne linie musiałaby zetknąć się w Stanach Zjednoczonych z dwoma specjalnymi problemami, tak zasadniczymi, iż nieodłącznie wchodzi one w skład samej polityki. Zostały one częściowo omówione w rozdziale drugim części trzeciej tej książki, wtedy, gdy poruszyłem zagadnienie wprowadzenia w życie polityki przez Departament Stanu i inne organizmy rządowe. Zobaczymy, iż oba te problemy wiążą się z koncepcjami, które ludzie wyrobili sobie na temat istoty rządu demokratycznego.

1.

Pierwszy z tych problemów postawić można w sposób następujący. Jaką politykę należałoby prowadzić w rządzie o ustroju demokratycznym i w jakim związku powinieną ona pozostawać z opinią obywateli? Czy ma być ona wynikiem, przeciętną czy też kompromisem pomiędzy różnymi opiniami, wyrażonymi przez różnych obywateli na temat zagadnienia, będącego na porządku dziennym? Czy też ma być możliwie naj-

wienniejszym odbiciem stanowiska, które w każdym z poszczególnych momentów, zajmuje daną większość. Na pierwszy rzut oka obie te koncepcje wydają się demokratyczne. Lecz istnieje może jeszcze trzecia możliwość, która leżałaby w naturze rządu demokratycznego?

Zakładając, że życzymy sobie utrzymania, w granicach możliwości, demokratycznej formy rządu w Stanach Zjednoczonych, podane poniżej rozważania ukażą nam dlaczego postawione przed chwilą pytania o charakterze raczej filozoficznym, nie są nie na miejscu.

Mimo braku dostatecznych dowodów jestem skłonny przypuszczać, że gdyby przedstawiono z odpowiednią siłą i w formie dostosowanej do publicznej dyskusji wyżej określoną politykę, to okazałoby się, że odpowiada ona nastawieniu większości dojrzałych obywateli Stanów Zjednoczonych. Jestem przekonany również, iż pewna w każdym razie zasadnicza mniejszość przeciwstawiałaby się energicznie wszystkim jej aspektom. Jeżeli więc demokratyczna polityka reprezentować ma przeciętność, czy też ma być wspólnym mianownikiem opinii obywateli, to polityka ta nie mogłaby być polityką Stanów Zjednoczonych tak długo, jak długo będą one demokracją.

Bez względu na to, czy mój pogląd na obecne nastawienia większości jest słuszny czy nie, należy zastanowić się nad tym, że, czy teraz, czy w niedalekiej przyszłości większość politykę tę uzna. Lecz wprowadzenie w życie polityki tej będzie procesem trudnym, długim, a może nawet strasznym. Powstać mogą okoliczności, w których wydawać się nam będzie, że polityka ta prowadzi nas do katastrofy; i inne, w czasie których zmniejszające się napięcie sytuacji światowej wywoływać u nas będzie przekonanie, że jest ona niepotrzebna. Mimo, że większość uznać może w pewnym momencie politykę tę za swoją, doświadczenie uczy nas jak dalece opinia mas jest zmienna i podlega gwałtownym przeobrażeniom. Możemy być prawie pewni, że pozytywne nastawienie większości do tej polityki nie będzie trwało stale i podczas całego okresu gdy będzie to potrzebne. Jeżeli więc polityka demokratyczna ma być wiernym odbiciem przekonań większości, w każdym momencie, to Stany Zjednoczone nie będą mogły przeprowadzać jednocześnie z wymaganą stanowczością i konsekwencją zamierzonej polityki i być demokracją.

Jak dotychczas, należy dojść do wniosku, że o ile Stany Zjednoczone nie porzucą demokracji, będą musiały zrezygnować z przeprowadzenia tej polityki. Stany Zjednoczone rozstać się mogą z demokracją zawsze i z różnych przyczyn, lecz w każdym razie nie zmuszą ich do tego przesłanki tej polityki, ponieważ w rzeczywistości te dwa sposoby określenia właściwych stosunków pomiędzy polityką a obywatelami nie wyczerpują wszystkich możliwości jakie daje demokracja. Żaden z nich bowiem nie jest naprawdę demokratyczny. Pierwszy jest tylko gwarancją niemożliwości przeprowadzenia żadnej polityki i sprowadza rząd do roli przedsiębiorstwa pośrednictwa pracy. Drugi określa nie demokrację, lecz demagogię. Jest to teoria wyznawana przez demagogów, którzy manipulują tłumem pozwalając mu wierzyć, że oni są niczym innym jak tylko wyrażicielami zmiennych myśli i nastawień tego tłumy.

Jeżeli demokratyczna forma rządu nie daje się pogodzić z odpowiedzialnym kierownictwem, to nie zasługuje na przetrwanie i nie przetrwa na pewno. Aleksander Hamilton, który interesował się bardziej zagadnieniem realnych wolności, niż retoryką demokratyczną, pozostawiając ją swym przeciwnikom, zrozumiał ten dylemat i rozwiązał go w "Federalist".

Niektórzy uważają, że największą zasługą władzy wykonawczej jest jej niewolnicze posłuszeństwo w stosunku do przeważającej opinii. Lecz tego rodzaju przekonania są niedojrzałe zarówno jeżeli chodzi o zrozumienie zadań, dla wykonywania których rząd został powołany jak i o docenienie prawdziwych środków, przy pomocy których osiągnąć można ogólne szczęście. Zasada republikańska wymaga, aby swobodna wola wspólnoty kierowała postępowaniem tych, którym powierza ona prowadzenie swych spraw; lecz nie wymaga, aby schylali posłuszenie głowę przed każdym niespodziewanym podmuchem gniewu, przed każdym przejściowym impulsem ludu, wywołanym przez tych, którzy schlebają jego krzywdom by zdradzać jego interesy.

W reżimie demokratycznym kierownicy, a dzięki nim ich polityka, składać muszą obywatelom co pewien czas sprawozdania. Poddanie się ich "woli ludu" ogranicza się w praktyce do tego, iż w regularnych odstępach czasu podlegają ocenie, wyrażonej w tajnym głosowaniu, umożliwiającym wyborcom danie wyrazu swemu niezadowoleniu. Zasady demokratyczne nie zakazują jednak absolutnie ludziom u władzy w chwili, gdy u władzy tej się znajdują kierowania narodem zgodnie ze swoim najlepszym przekonaniem i bez brania pod uwagę chwilowych nastawień i słabości tłumu. Nie zabraniają poza tym kierownikom demokratycznym — gdy ich przekonania różnią się od opinii pewnej liczby obywateli, czy nawet większości — podejmowania próby przekonania tej większości, że jest w błędzie. Tego rodzaju prób demagog nie podejmuje nigdy; demagog jest cyniczny; pogardza masami, pogardza nimi przede wszystkim dlatego, że go słuchają i idą jego śladami i schlebia on "ich krzywdom, by zdradzać ich interesy". Lecz otwarte przeciwstawienie się większości i otwarta próba przekonania jej że błądzi jest dowodem nie pogardy, lecz głębokiego szacunku dla mas. Tego rodzaju nastawienie jest częścią istotną rządu demokratycznego.

Polityka tu wysunięta, może być wprowadzona w życie tylko przy tego rodzaju koncepcji demokracji i jedynie przez odpowiedzialny rząd, zdolny do odważnego i szczerzego realizowania niezmiennego i jedynego celu w oparciu o zgodę odłamu uświadomionego społeczeństwa.

2

Drugi problem wyłania stwierdzenie, że Stany Zjednoczone nie mogłyby przeprowadzić powyższej polityki światowej, ani też żadnej innej polityki tego rodzaju, o ile w łonie swym nie zniszczą komunizm. W tym celu należałoby uznać komunizm za organizację nielegalną i znieść go. Nie trzeba ludzić się nadzieją, iż we właściwym okresie czasu wychowanie i nawracanie doprowadzi do wystarczającego osłabienia komunizmu. Przeprowadzenie wyżej wspomnianej polityki będzie niemożliwe — dodam nawet, że przetrwanie Stanów Zjednoczonych będzie niemożliwe — o ile nie pozbedziemy się wewnętrznego komu-

nizmu. I tutaj znowu zadać sobie musimy pytanie: czy tego rodzaju postępowanie zgodne będzie z zasadami rządu demokratycznego?

Niewątpliwie, odpowiedzią komunistów i ich sympatyków — formułowaną w sposób najbardziej energiczny — jest twierdzenie, że zniesienie za nielegalną i zniesienie wewnętrznej organizacji komunistycznej byłoby oczywistym pogwałceniem podstawowych praw demokratycznych do swobodnego wypowiedziania się i łączenia się w związki i wobec tego taka decyzja byłaby niezgodna z zasadami rządu demokratycznego. Demokracja musi przyznawać każdemu prawo posiadania własnych przekonań, swobodnego ich wypowiedziania, prawo nawracania i stwarzania organizacji politycznej, zmierzającej nie tylko do rozpowszechniania swego przekonania w społeczeństwie, lecz nawet do narzucania go rządowi. Logika tej argumentacji wyda się bez zarzutu. Wiele osób nie widzi nawet możliwości zaatakowania jej. Ci, w naszym kraju, którzy skłonni byłiby do zniesienia wewnętrznego komunizmu czują jednocześnie, że przystępując do tego rodzaju akcji zdradzaliby zasady demokracji.

Należy jednak zaznaczyć, że nigdy nie zrozumiemy zagadnień politycznych, jeżeli podchodzić do nich będziemy, opierając się na logicznej analizie założeń abstrakcyjnych; założenia abstrakcyjne studiować należy w zestawieniu z konkretnymi doświadczeniami historycznymi. W wypadku, który nas interesuje zastosowanie tej metody doprowadzi nas do stwierdzenia, że wspomniana argumentacja pozbawiona jest uzasadnienia. Spróbujmy przeanalizować ją, omawiając przykładowo prawo swobodnego wypowiedziania się. Tego samego rodzaju rozważania odnosić się mogą również do wszystkich innych praw demokratycznych.

W praktyce, demokracja nigdy nie widziała i nie mogła widzieć w prawie swobodnego wypowiedziania się absolutu, nieposiadającego żadnych granic. Nikt na przykład nie jest upoważniony do występowania w obronie czy organizowania masowych morderstw, gwałtów i podpalania, nikt też nie widzi w zakazie takich poczynąń pogwałcenia zasad demokratycznych. Dlaczego? Dlaczego nie można logicznie utrzymywać, że wszelkie ograniczenie jest przeciwne absolutnej zasadzie demokratycznej wolności wypowiedziania się?

Oto wytłumaczenie tej zagadki logicznej. Prawo swobodnego wypowiedziania się, jak również każde inne prawo, czy zespół praw, nie może być rozważane w oderwaniu. Musi być związane z osnową, lecz nie tylko z osnową słowną jakiejś konstytucji czy serii praw, lecz z osnową socjalną i historyczną. Prawo swobodnego wypowiedziania się implikuje istnienie rządu demokratycznego, rzeczy znacznie bardziej złożonej niż prosta wolność wypowiedziania się; a istnienie rządu demokratycznego implikuje istnienie zorganizowanej wspólnoty społecznej. Otóż masowe morderstwa, gwałty i podpalania nie dają się pogodzić nie tylko z istnieniem rządu demokratycznego, lecz z istnieniem jakiegokolwiek zorganizowanej wspólnoty społecznej. Jakiegokolwiek byłoby stanowisko czystej logiki, żadne zorganizowane społeczeństwo nie może materialnie pozwolić sobie na to, by wprowadzić w życie reguły postępo-

wania nie dające się pogodzić z jego istnieniem. Żadne prawo gwarantowane przez jakikolwiek rząd nie może w praktyce być interpretowane w sensie, iż zezwala obywatelom na występowanie w obronie i organizowanie masowych morderstw, gwałtów i podpalą.

Możemy uogólnić to w następujący sposób: zasady w zorganizowanym społeczeństwie nie mogą w praktyce być interpretowane w ten sposób, by uniemożliwiały organizację tego społeczeństwa. Specjalne zasady specjalnej formy rządu, w danym wypadku rządu demokratycznego, nie mogą być w praktyce interpretowane w ten sposób, by tę właśnie formę rządu czyniły niemożliwą.

Wszelkie prawa i wolności indywidualne rozciągnięte być mogą na tych tylko, którzy uznają podstawowe zasady demokracji, na tych tylko, których działalność polityczna, jakkolwiek byłaby różnorodna, nie wykracza poza ogólne ramy rządu demokratycznego, bez których to ram rząd ten nie byłby demokratyczny. Jeżeli interpretacji tej nie przyjmujemy, to rząd demokratyczny iść będzie z konieczności w kierunku własnej klęski. Nie może się on bronić; gdyż w rzeczywistości utrzymuje i karmi własnego mordercę.

Należy zaznaczyć poza tym, że żaden rząd suwerenny, demokratyczny lub nie, nie może pozwolić i dobrowolnie nie pozwala na to, by w granicach jego suwerennej jurysdykcji przeciwne mu suwerenne państwo rozwijało przy pomocy swych agencji zorganizowaną aktywność. I w praktyce nie mogłoby być inaczej, gdyż tego rodzaju aktywności są zaprzeczeniem suwerenności rządu.

Komunizm w krajach demokratycznych posługuje się wolnością słowa, by wolność tę obalić. Mówiąc to szerzej, istotnym celem komunizmu jest obalenie rządu demokratycznego i zastąpienie go totalizmem³⁶). Innymi słowy, komunizm nie uznaje podstawowych zasad demokracji, które określają samo istnienie demokracji. Fakt ten nie podlega wątpliwości i potwierdzają go zarówno praktyka jak i doktryna komunistyczna. Dlatego też zasady demokracji nie mogą być logicznie interpretowane w sensie umożliwiania rozwoju i swobodnego działania sile, zmierzającej przede wszystkim do ich zniszczenia, lecz odwrotnie, jeżeli rząd demokratyczny ma zdać swój historyczny egzamin, to jego zasady muszą mu nie tylko umożliwić, lecz nakazać odrzucenie, zwalczenie i wyeliminowanie tego rodzaju siły. Czyż istnieć może społeczeństwo, które wychowałoby sobie nieprzejednanego i zdecydowanego mordercę i które otwarcie nastawiloby swą pierś pod jego nóż?

Ze względów, które łatwo można udowodnić, komunizm na terenie Stanów Zjednoczonych znajduje się poza granicami praw demokratycznych. Jest on agenturą obcego mocarstwa suwerennego. W teorii i praktyce odrzuca suwerenność Stanów Zjednoczonych, uznaje zaś suwerenność światowego komunizmu i jego centrum sowieckiego.

Nic więc nie wskazuje na to, by zasady demokratyczne miały zakazywać zniesienia komunizmu; akt zniesienia go nie był-

36) Wyniki analizy tej dotyczą oczywiście i faszystowskiej formy totalizmu.

by w żadnym wypadku niezgodny z formą rządu demokratycznego. Lecz wywód ten zagadnienia nie wyczerpuje. O zasadach można powiedzieć, że są wieczne. Stosowanie jednak zasad ma miejsce w ściśle określonym czasie. Stosując zasady zadawać musimy zawsze pytanie: kiedy? jak? w jakich okolicznościach? Jeżeli w zasadzie mam prawo do noszenia karabinu, to nie wynika z tego, że zawsze i we wszystkich okolicznościach noszenie tego karabinu będzie uzasadnione. Stosowanie zasady jest także sprawą odpowiednich okoliczności.

Doświadczenie może nauczyć nas, że mimo, iż w zasadzie likwidacja ruchu takiego jak komunizm nie będzie aktem antydemokratycznym, to jednak każdy i jakikolwiek akt zniesienia stanowi zawsze praktyczne niebezpieczeństwo dla demokracji. Przyczyna tego tkwi — jak wiemy — w tym, że ci, którzy są u władzy i dysponują wszelkimi środkami, nie zawsze zadawalają się tym, co posiada swe teoretyczne uzasadnienie. Uważają oni często za rzecz wygodną stwarzanie amalgamatów i dołączanie do grupy, która słusznie winna być zniesiona, również tych swoich przeciwników, których działalność nie wykracza poza granice i reguły demokracji. Komuniści wygrywają dzisiaj bardzo zżęcznie to niebezpieczeństwo. Powtarzają ciągle: jeżeli zniesie się komunizm, to gdzie zakreśli się linię graniczną? Czyż nie będzie to pierwszym krokiem, który zaprowadzi nas do zniesienia całej opozycji?

Jest to zupełnie możliwe. Zaprzeczanie istnieniu tego niebezpieczeństwa byłoby absurdem. Lecz tak w życiu politycznym, jak i w życiu w ogóle istnieje zawsze ryzyko. Każda decyzja, którą pobieramy zaprowadzić nas może do katastrofy; nic, z tego co zrobimy nie zapewni nam spokojnego bytu. Jeżeli celem naszym jest zachowanie demokracji, to należy położyć na szalę wszystkie możliwe niebezpieczeństwa. Kiedy wystawiamy demokrację na większe niebezpieczeństwo: czy zezwalając na dalsze swobodne istnienie komunizmu, czy też znosząc go?

Do zasady, zezwalającej na likwidację należy dorzucić regułę o odpowiednich okolicznościach, która może nam pomóc w zdaniu sobie sprawy z tego, kiedy tę zasadę stosować. Z punktu widzenia negatywnego wydaje się słuszną zasadą, w myśl której nie należy nigdy działać przeciwko tak małej i słabej grupie, że wpływy jej w kraju pozostają bez znaczenia. Nawet jeżeli jej program i działalność wykraczają poza dopuszczalne granice demokratyczne, to słabość jej mówi nam, że korzyści z jej likwidowania będą nie duże i na pewno niewystarczające, by zrównoważyć niebezpieczeństwa pośrednie, wywołane aktem jej zniesienia. Z punktu widzenia pozytywnego reguła ta wymagałaby zniesienia grup, które stanowią jasną, silną i bezpośrednią groźbę. W podobnych wypadkach, mimo, że ustalenie momentu, w którym następuje zachwianie równowagi nasuwać może pewne trudności, niebezpieczeństwo, zagrażające demokracji z tytułu istnienia tej grupy jest większe niż możliwe ryzyko wywołane jej zniesieniem.

Prasa Hearsta dzięki swemu sposobowi traktowania "czerwonego niebezpieczeństwa" oddaje nam bardzo złą przysługę. W naszym kraju czerwone niebezpieczeństwo istnieje, i tylko kłamcy albo ignoranci temu zaprzeczają; niebezpieczeństwo to wywołane jest oficjalnym ruchem komunistycznym i jego po-

mocnymi legionami sympatyków. Lecz prasa Hearsta używając określeń "czerwony", "bolszewik" i "komunista" nie stosuje rozróżnienia czy chodzi o oficjalnych komunistów, komunistów z opozycji, socjalistów, populistów, anarchistów, i różnego rodzaju liberałów. Jedynie oficjalni komuniści oraz ci, których idee i działalność bezpośrednio im podlegają czynią zadość warunkom reguły, wymagającej, by groźba była "jasna, silna i bezpośrednia". Można by utrzymywać, że socjalizm mógłby, dzięki politycznym skutkom kolektywizacji, spowodować po upływie dłuższego czasu zniszczenie demokracji. Lecz tego rodzaju twierdzenie nie byłoby "jasne", to znaczy, że nie posiadamy jeszcze historycznych dowodów, które mogłyby uzasadnić to przypuszczenie. Zresztą, niekomunistyczne grupy socjalistyczne są zbyt słabe, by stanowić czy to "bezpośrednią" czy "silną" groźbę. Reguła nie może usprawiedliwiać likwidacji, przeprowadzanej w przewidywaniu tego, co może się stać za pięćdziesiąt czy sto lat. Wpływy anarchistów są bez znaczenia. Jeżeli zaś chodzi o ruch populistów i indywidualnych liberałów, (których należy odróżnić od pseudo-liberałów z New Republic, Nation czy P.M., którzy zawodowo sympatyzują z polityką komunistyczną), to dla zniesienia ich nie znajdziemy uzasadnienia ani w teorii ani w praktyce: ich działalność i program znajdują się bez wątpienia w granicach demokracji w sposób znacznie bardziej oczywisty, niż działalność prasy Hearsta, która dosyć często wykracza poza te granice.

Groźba wywołana ruchem komunistycznym odpowiada pod wszelkimi względami warunkom reguły o odpowiednich okolicznościach, wymagających rzeczywistej likwidacji tego ruchu. Niebezpieczeństwo komunizmu dla rządu demokratycznego jest całkowicie jasne i udowodnione; jest poza tym bardzo bezpośrednio w zestawieniu ze światowym kryzysem politycznym; a totalne wpływy wewnętrzne jego złączonych sił, wspomagane presjami zewnętrznymi jego aparatu światowego są tak potężne, iż stanowią mogą wyzwanie, rzucone pod adresem suwerenności rządu. Niebezpieczeństwo, zagrażające demokracji w Stanach Zjednoczonych z tytułu istnienia w ich łonie ruchu komunistycznego jest o tyle większe od ewentualnych niebezpieczeństw wywołanych aktem jego likwidacji, iż wszelkie wahania demokratyczne nie mają podstaw. Dalszy byt demokracji w naszym kraju wymaga już teraz likwidacji komunizmu.

Likwidacji komunizmu nie przeprowadzi się w ciągu jednego czy kilku dni. Najpierw przyczyny tej likwidacji muszą być wytłumaczone narodowi w sposób jasny i szczerzy. Trzeba będzie komunizm, jego przyjaciół, jego program i działalność nazwać, wskazać, pozbawić tak chętnie używanego przezeń zamaskowania. Konieczność wprowadzenia w życie polityki zagranicznej nakazuje w sposób imperatywny usunięcie wszystkich komunistów i ich sympatyków ze wszystkich ministerstw, organizmów państwowych i sił zbrojnych. Czyż możliwe jest prowadzenie skutecznej walki z komunizmem światowym, gdy komuniści znajdują się we wszystkich punktach kluczowych najistotniejszych narzędzi tej walki?

Po wytłumaczeniu i zdemaskowaniu aktywności komunizmu trzeba będzie uznać za nielegalną partię komunistyczną wraz z jej wszelką propagandą, bez względu na front czy nazwę pod

którą ukrywać będzie swą działalność; zarządzenie to musi być wprowadzone w życie w sposób energiczny.

Dosyć często mówi się, że "zlikwidowanie komunizmu jest rzeczą niemożliwą". Dodaje się, że jest on naturalną konsekwencją niezadowolenia mas, które żyją w nieodpowiednich warunkach socjalnych. Jedynym sposobem zlikwidowania komunizmu jest zniesienie tych złych warunków i stworzenie społeczeństwa szczęśliwego i żyjącego w dobrobycie.

Ci, którzy wysuwają taki argument, nie zdają sobie sprawy z tego, iż został on im podsunęty przez samych komunistów: jeszcze mniej uświadamiają sobie to, że sami komuniści wewnątrz nie wierzą. W przekonaniu komunistów klasyczne obalenie "teorii o spontaniczności" znajduje się w wyżej wspomnianej książce Lenina "co robić". Lenin skłusznie utrzymuje, że same "warunki" socjalne nie mogą wywołać w masach "socjalno-demokratycznego uświadczenia" (przez "socjal-demokratyczne" rozumie on to, co dzisiaj nazywamy "komunistyczne"). "Uświadczenie to — pisze — może im być tylko przyniesione z zewnątrz".

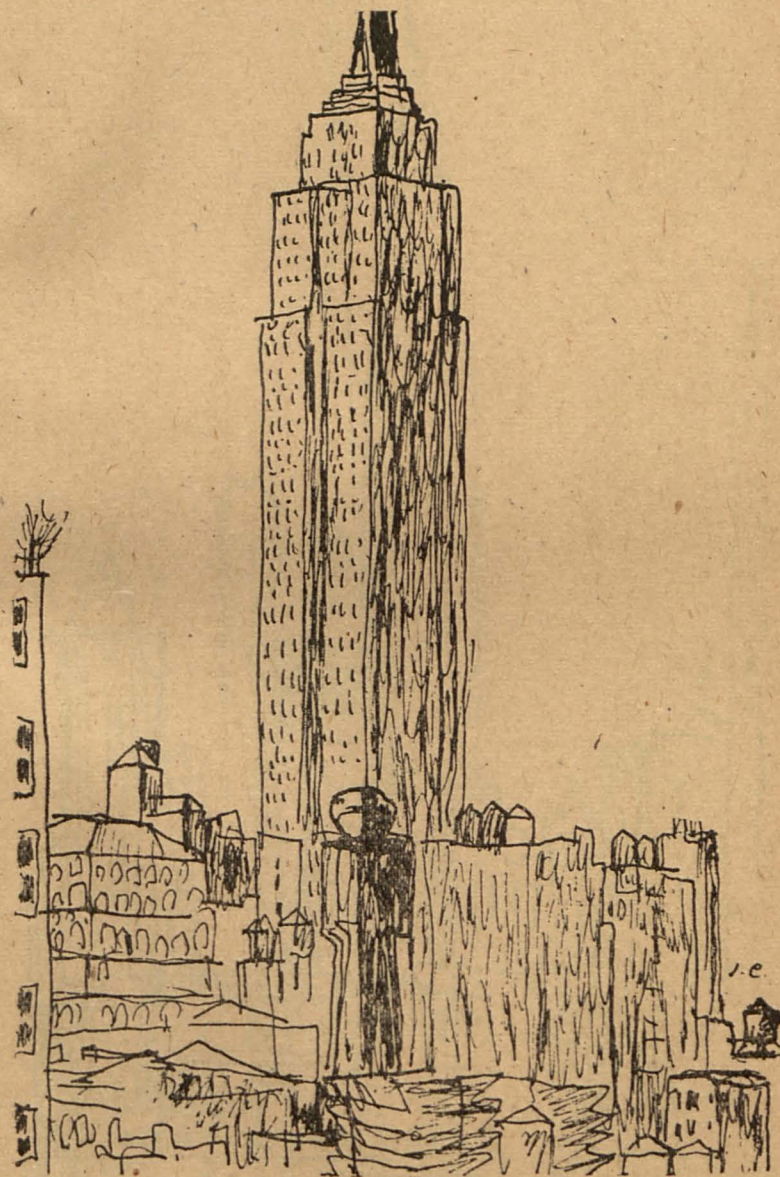
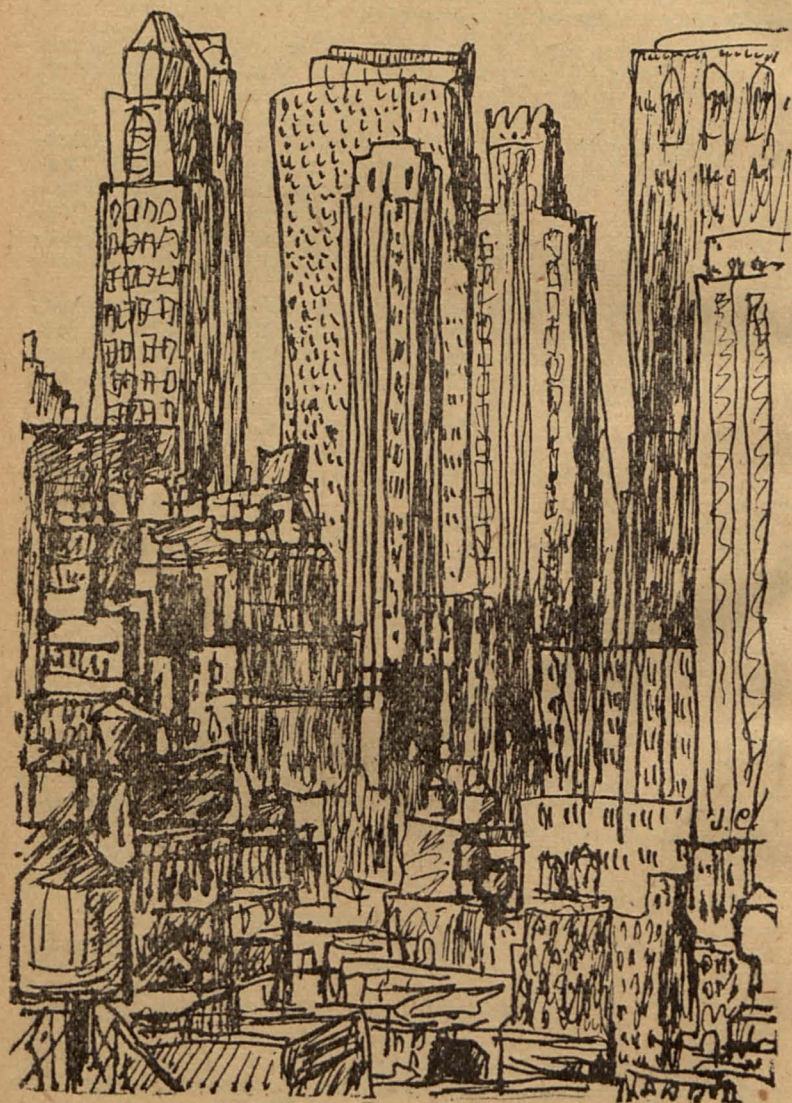
Prawda częściowa, nadająca temu argumentowi pozory prawdopodobieństwa, polega na tym, że złe warunki socjalne są jednym z czynników, mogących wywołać w masach niezadowolenie i bunt, zagrażające istnjącemu porządkowi. (Rezultat ten wywołują nie zawsze, gdyż mogą również prowadzić do masowej bierności). Same w sobie komunizm nie wywołują. Komunizm nie jest samotną falą niezadowolenia; jest ruchem specyficznym naszej epoki o skomplikowanej i daleko posuniętej organizacji zarówno w praktyce jak i teorii. Nie powstaje w "sposób spontaniczny". Jest celowo budowany przez wyszkolonych i zdyscyplinowanych ludzi, których Lenin nazywa zawodowymi rewolucjonistami świadomej awangardy. Prawdą jest, że złe warunki socjalne są rodzajem nawozu, ułatwiającego zawodowym komunistom wyprodukowanie bardziej obfitego plonu. Gdyby nie było tylu bardziej uzasadnionych powodów, to w interesie naszym leżałoby polepszenie warunków socjalnych, by bronić się przeciwko komunizmowi. Lecz w naszych czasach specyficzny problem komunizmu, jest niezależny od bardziej permanentnego problemu warunków socjalnych. Komunizm nie możemy porównać do Anteusza, który przyciśnięty do matki Ziemi podnosił się za każdym razem jeszcze silniejszy niż przedtem. Komunizm trzeba zlikwidować tak, by się nie podniósł. O ile chcemy uratować demokrację — należy to zrobić.

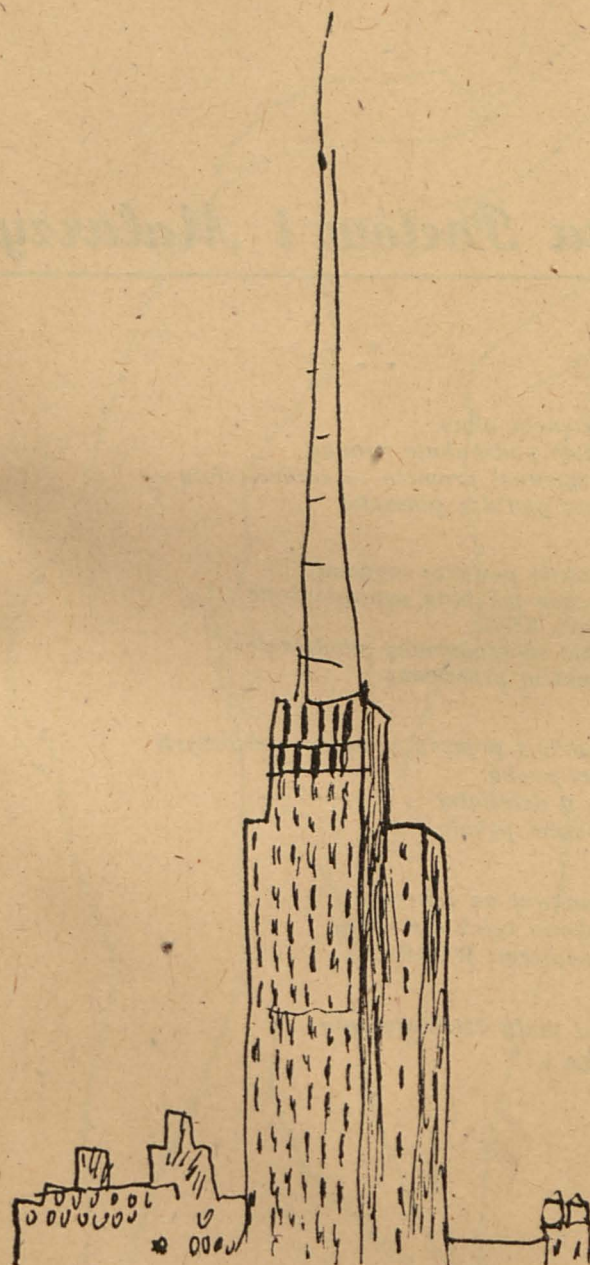
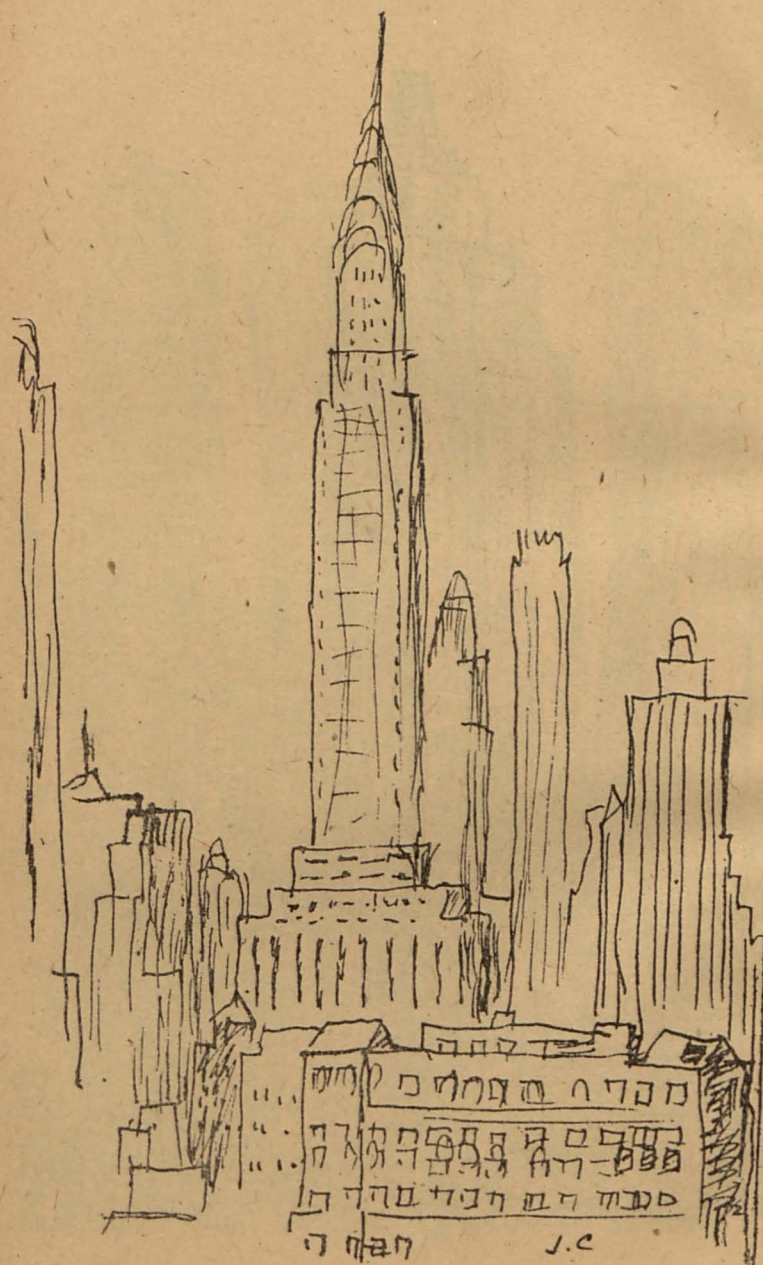
(Dokończenie nastąpi).

James BURNHAM.

(Autoryzowany przekład Józefa Ursyna).

Copyright 1947, by James Burnham.
Original publication by the John Day Company, Inc., New York, U.S.A., with the title *The Struggle for the World*.





Oficyna Poetów i Malarzy

★
★ ★

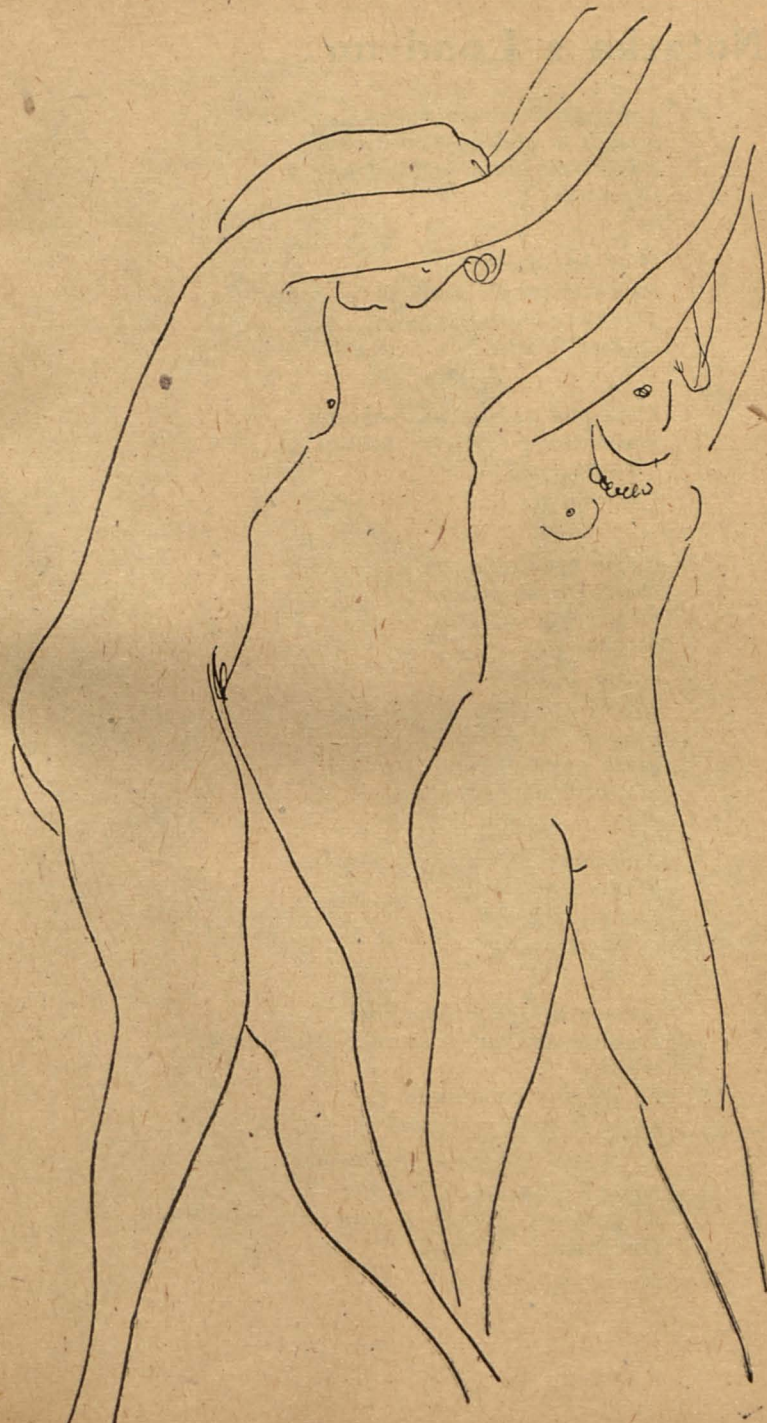
Ziwnęło okno.
Wiatr podskubuje firankę.
Przyfrunął promień — wróbel złoty —
złotą gwiżdże piosenkę.

Jezdnię podkutą szynami,
lśniąco jak buty wyczyszczone
pastą Kiwi,
idzie świeżobarwny młodzieniec
rankiem przewany.

Ludzie i pojazdy uczą się pierwszych
liter ruchu,
by o dziesiątej
powstał pękaty tom.

Tramwaj na zakręcie
pokazał tyłek czerwony
z napisem: WORKMAN.

Jest piąty dzień stycznia
1950 r.



Notatka z Londynu

*Latarnie świdrami światel
weszły w cielsko Tamizy,
na brzegu klaszczą blaskiem
o asfalt.*

*Most jest gąsienicą
na rozłożystym drzewie — nocy —
przebiera rytmicznie
łukami światel.*

*Park pod ścianą nieboskłonu
podstuchuje rozmowę miasta
i coraz bardziej
czernieje.*

*Wieża kościółka
spowiada się niebu
w konfesjonale
mroku.*

*Tramwaj z chmurą zgrzytów
i błyskawicą kół
pisze poemat pt.:
«Powrót do domów».*

*Przeszłość w karocy zamyślenia
odbywa podróż,
dudnią kopyta
wydarzeń.*

*Iskrą z mózgu drgną nogi.
Rytmem kroków przerzucą przez most
w ulicę,
by stać się oglądanym
przez bogactwo wystaw.*

*Już dom. Wsunęły, jak list
do koperty. Skrzypnięciem drzwi zaklejony
mieszkam.*



Pijany dom

*Mój dom się upił cieniem brzozy,
na rogu chwiejnie stoi,
latarnia wzięta go pod rękę,
spać pewnie pójdzie do niej —*

*Do dachu przypiął sobie księżyc,
okna mu światłem zasłty,
drzwiami uśmiecha się skrzypiąco
i mrokiem piwnic straszy.*

*Kominem krzywym na świat dymi,
na troski i kłopoty.
Mój dom — bezdomny — w cieniu brzozy —
z księżycem złotym.*

CZESŁAW BEDNARCZYK

Kronika kulturalna

George Orwell

Raz jeden, jedyny spotkałem się z Orwellem. Było to u p. Je-leńskiej, tłumaczki jego "Folwarku zwierzęcego" i szkieł. Wy-soki, chudy blondyn o zmiętej, pomarszczonej twarzy i krótkim, przyszywanym wąsikowi robił wrażenie kogoś bardzo typowo angielskiego. Nie tylko z wyglądu, ale przede wszystkim z całego zachowania się. Bardzo spokojny i opanowany w ruchach, mówił głosem bezbarwnym, monotonnym, raczej cichym. Człowiek z tłumikiem. Kiedy się w rozmowie sprzeciwiał, polemizował, robił to jakby z zażenowaniem, dyskretnie, ani trochę nie podnosząc głosu. Ale równocześnie czuło się, że do tych swoich tak nieemfaticznie wypowiedzianych poglądów jest przywiązany, że gotów jest ich bronić spokojnie, ale z uporem. Gospodyni hojnie poila nas whisky. My, jego polscy rozmówcy — Stanisław Baliński i ja — ożywił się, gestykulowaliśmy, podnosiliśmy głos. Orwell pił również, ale whisky jakoś na niego nie działała. Przez cały czas rozmowy był tak przytępiony, szary opanowany.

Raz tylko ożywił się, oczy jego zaświeciły, głos nabrał lirycznych akcentów. Było to wtedy, kiedy mówił o Joyce'ie. Mówił, iż uważa go za największego artystę prózy angielskiej. Mówił nam o pięknie kadencji Joyce'a, o tym jaki to wspaniały poeta prozą. Było rzeczą oczywistą, że to pisarz bardzo mu bliski i drogi.

Dla mnie była to niespodzianka. Znam chyba wszystkie ważniejsze jego szkice krytyczne. I nie przypominam sobie, aby w którymkolwiek z nich mówił o Joyce'ie, a na pewno w żadnym bliżej się Joyce'em nie zajął. Sądząc z tych szkiców, jego ulubieni pisarze to byli krwiści, popularni realisci typu Dickensa i Kiplinga, tacy u których w powieściach dużo się dzieje i na tle tej żywej akcji rysują się plastyczne, wyraziste charaktery. Oraz z których można się wiele dowiedzieć o stosunkach społecznych, i to zarówno z tego, co sami mówią, jaki i z tego, z

czym się zdradzają, co tkwi w ich powieściach niepowiedziane, a nieraz i nie uświadomione przez autora. W wychwytywaniu takich właśnie charakterystycznych a wymownych społecznie rysów Orwell miał dziwnie wyostrożony wzrok. To była jego fa-culté maitresse jako krytyka.

Interesował się też żywo tym, co jest w dzisiejszych, nowo-czesnych społeczeństwach odpowiednikiem sztuki ludowej: po-pularnymi pocztówkami, tygodnikami dla chłopców, filmowy-mi "szlagierami". Fascynowała go niekiedy swoista brzydota tej popularnej sztuki, ale krytyka jego była tutaj nie estetycz-na, lecz socjologiczna. Interesowało go, jaką funkcję społeczną te popularne filmy czy pocztówki spełniają, jakie potrzeby du-chowe zaspakajają u odbiorców, co nam o tych odbiorcach mó-wią, czemu zawdzięczają swoją popularność. Stanowisko jego tutaj było zawsze ostrożne, empiryczne. Trzymał się faktów, miał nieufność do szerokich koncepcyj i teoryj. Rodzajem swoich zainteresowań bliski krytyce marksistowskiej, odrzucał jej założenia. Krytyka ta — dowodził — zakłada, iż taki a ta-ki styl uwarunkowany jest takim a takim układem sił społecz-nych, ale żaden krytyk marksista nigdy nie potrafił nam od-słonić mechanizmu oddziaływania warunków społecznych na styl, udowodnić, że taki właśnie rodzaj związków musiał za-chodzić.

Krytyka Orwella w tej dziedzinie była tak odświeżająca nie tylko dlatego, że wychodziła spod pióra człowieka, który umiał wyjątkowo jasno i rzetelnie myśleć, ale i dlatego też, że kapi-tał doświadczeń i obserwacji życiowych, jakie nagromadził, był wyjątkowo bogaty.

Nazywał się na prawdę Eric Blair. Był synem urzędnika ad-ministracji brytyjskiej w Indiach. Dzięki stypendium dostał się do sławnej arystokratycznej szkoły internatowej w Eton. Po jej skończeniu wstąpił do służby w policji brytyjskiej w Bur-mie. Pociągała go romantyka Wschodu, życie wypełnione przy-godami. Ale w zetknięciu z rzeczywistością życia politycznego i społecznego Burmy przyszedł wstrząs. Entuzjasta Kiplinga prze-rodził się w głosiiciela buntu społecznego.

Orwell był człowiekiem wyjątkowo prawym i prostopadłym. Stąd w książkach jego jest dużo pesymizmu, ale nie ma nic z tej zgagi moralnej, jaka charakteryzuje pisma różnych salono-wych "rewolucjonistów". I dlatego, kiedy stracił wiarę w sens moralny tego porządku polityczno-społecznego, którego jako ofi-cer policji miał bronić, służbę tę rzucił.

Doświadczenia z tej służby zużytkował potem w powieści "Burmese Days". Uważał, że dni panowania angielskiego w Azji są policzone. Gorąco sympatykował z ruchami niepodleg-łościowymi narodów azjatyckich. Tak się złożyło, że spotkałem się z nim akurat wkrótce po ogłoszeniu niepodległości Burmy. Rozmowa zeszła i na ten temat. Orwell niepodległość ta jed-nak już nie cieszyła. Dręczyło go nowe zmartwienie, co się stanie

pod rządami młodego, drapieżnego i barbarzyńskiego nacjona-lizmu z burmańską mniejszością narodową, z Karenami. Dal-szy rozwój wypadków pokazał, że Karenowie potrafią się sami doskonale obronić. Tym niemniej ówczesne zmartwienia Orwel-la były bardzo charakterystyczne dla niego, który instynktownie stawał zawsze po stronie tego, kto był czy mógł być bity.

Przed jakimiś dwoma laty przez radio londyńskie odczytano fragment z "Burmese Days", scenę opisującą śmierć postrzelo-nego słonia. Dobra recytacja wyraziście wydobywała charakte-rystyczne wartości artystyczne prozy Orwella. Była to proza, która jak ognia unikała wszelkiego frazesu, zrywania głosu, "ieżki", chciała być tylko prosta, bezpośrednia, rzeczowa. Frag-ment składał się wyłącznie z "sucho" zanotowanych, drobnych a bystro zaobserwowanych szczegółów. W sumie składały się one jednak na scenę, która nie tylko wrzynała się w pamięć, ale i jakby mimowoli, a tym nieodporniej wzruszała.

Porzuciwszy służbę w policji, Orwell osiadł w Paryżu. Chciał się utrzymywać z pracy literackiej. Ale nie wyszło. Wydawcy odrzucali mu powieści. Zajrzała mu w oczy najpierw bieda, a potem nędza. Taka autentyczna nędza, kiedy człowiek nie ma już nawet kilku franków, za które mógłby kupić sobie chleba dla zapchania głodnego żołądka. Wałęsał się długo bez zajęcia, przez pewien czas utrzymywał się jako pomywacz naczyń w re-stauracji. Potem, wróciwszy do Anglii, żył życiem włóczęgi — trampa, nocującego po przytułkach.

Życie to opisał w najbardziej osobistej ze swoich książek "Down and Out in Paris and London". Jest to książka, którą pochłania się jednym tchem. Samo przez się nasuwa się tu porównanie z "Głodem" Hamsuna. Hamsun umiał przetopić swoje doświadczenie w dzieło sztuki, które wstrząsa; zajrzał bardzo głęboko w przepaści natury ludzkiej. W porównaniu z "Głodem" obserwacja Orwella — zawsze rzetelna i tchnąca prawdą — robi wrażenie trochę powierzchownej. Ale, rzecz cie-kawa, nie jest to książka przygnębiająca. Paryskie i londyńskie przejścia musiały się katastrofalnie odbić na stanie zdrowia tego astenika (może już wtedy gruźlika), natomiast ani głód, ani upokorzenia nie zdołały go nadgrzeć moralnie. Z książki promienieje wyjątkowa dobroć, prawość, sympatia dla czło-wieka. Promienieje w sposób tym miłszy, że dyskretnie, po-przez "reczową" narrację.

Włóczęgostwo Orwella było próbą realizowania wolności w warunkach współczesnego życia człowieka bez majątku. Jego wrastanie z powrotem w organizm społeczny okazało się pro-cesem, trudnym i długotrwałym. Chwyta się różnych zajęć, jest nauczycielem, właścicielem sklepiku wiejskiego. Zawsze klepie biedę. Kiedy zaś wybucha hiszpańska wojna domowa, jedzie tam się bić. Wstępuje w szeregi — znowu charakterystyczny wybór — katalońskich anarchistów POUM. Zostaje ciężko ran-ny w kark. Po powrocie swoje doświadczenia wojenne opisał w

książce "Homage to Catalonia". "Najuczciwsza książka o wojnie hiszpańskiej" — twierdzą ci, co ją czytali. Chętnie temu wierze.

W Hiszpanii zetknął się Orwell nie tylko z międzynarodowym faszyzmem, ale także i z bolszewicką bestią. I tego doświadczenia miał już do końca swego życia nie zapomnieć. Co więcej, w dużej mierze zadecydowało ono o charakterze wszystkiego, co potem napisał.

Na krótko przed wojną wydał książkę o drogach i możliwościach angielskiego socjalizmu "The Road to Wigan Pier". Miał do napisania takiej książki wyjątkowe kwalifikacje. Miał dobrą, z pierwszej ręki znajomość warunków życia mas brytyjskich, taką jaką wyjątkowo tylko była udziałem człowieka z jego sfery. A równocześnie przynależność do tej sfery czyniła go nie tylko wolnym od urazów, ale także dawała mu niezwykle cenny dla obserwatora dystans. Doskonale zdawał sobie też już wtedy sprawę z przepaści między hasłami komunistycznymi a rzeczywistością życia w ZSRR.

Jako publicystyka książka ta, napisana przed potopem wojennym, jest już dzisiaj przestarzała. Ale zawarte w niej fakty były jako dokument społeczny — przynajmniej dla autora tych słów — właśnie dzisiaj niezwykle ciekawe. Irytująca nieraz polityka zagraniczna (stosunek do spraw kontynentalnych, Palestyna), niewątpliwa szarżyna życia na wewnątrz, wszystko to łatwo pozwala nam zapominać o tym, co zrobiła Labour Party przez cztery i pół roku swoich rządów, jakim wspaniałym osiągnięciem jest zmontowanie ustroju, w którym nie ma ludzi głodnych, jaka jest waga słów "bezpieczeństwo społeczne" — "social security". Z książki Orwella można się dowiedzieć ile wyzysku, nędzy, głodu, rachitycznych dzieci było jeszcze niedawno w dostatnich, tłustych latach przedwojennej Anglii.

Gdy wybuchła wojna, Orwella do wojska nie wzięli. Nie pozwolił na to stan jego zdrowia. Ale w cywilu się nie oszczędzał. Był w Home Guard, pracował w BBC, a przez pewien czas także jako robotnik w fabryce. Systematycznie pisywał artykuły i recenzje do "Tribune", reprezentującej lewe, radykalnie społecznie (ale wyraźnie antykomunistyczne) elementy Partii Pracy. Wtedy też napisał książkę, która przynieść mu miała sławę i pieniądze, "Folwark zwierzęcy" — ujętą w formę apologu zwierzęcego satyrę na totalizm sowiecki, nawiązującą do tradycji intelektualistycznej prozy Swifta czy Woltera. Tak jak tam urok polega tu przede wszystkim na sprowadzeniu problemów i sytuacji do najogólniejszych, najprostszych formuł, tak jak tam sucha rzeczowa narracja ożywiona jest pierwszorzędnymi dowcipami (jak ów przepis poprawionej redakcji konstytucji: "Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre z nich są równiejsze").

Książka ta napisana została w r. 1942, kiedy krytykowanie Rosji sowieckiej było w Anglii bardzo źle widziane. Orwell miał

duże trudności ze znalezieniem nakładcy. Kiedy wreszcie książka wyszła, wojna się skończyła, i wtedy okazało się, że jest bardzo na czasie. Doczekała się szeregu przekładów (m. in. wydała ją w Niemczech w przekładzie na język ukraiński), szczególnie zaś powodzeniem cieszyła się w Stanach Zjednoczonych. Autor tych słów z wielkim zdziwieniem dowiedział się ze wspomnień pośmiertnych, że ma ona dzisiaj należeć do ulubionych lektur dzieci amerykańskich. Ponieważ najpewniejsza droga do nieśmiertelności literackiej prowadzi przez pokój dziecięcy, trzeba to uznać za bardzo dobry omen.

Przyjemnie też wspomnieć, że właśnie ten pisarz okazał się w swoich artykułach z lat wojennych pewnym i oddanym przyjacielem sprawy polskiej i Polaków. Czytało się te jego artykuły z przekonaniem, że głos jego nigdy tu nie zabrzmi fałszywie, zgrzytliwie, a argumentacja — nie zapłaczę się w sofizmaty.

W r. 1947 wydał niewielką a bardzo cenną książkę "The English People". Czytelnikowi Polakowi, który sobie pojęcie o Anglikach urobił najpierw na lekturze "Małego Lorda", a później powieści i filmów o różnych większych lordach, i który potem nieraz nie zdaje sobie sprawy z tego, jak taki konwencjonalny a głęboko zakorzeniony w świadomości obraz przeskadza mu widzieć rzeczywistość Anglii, książkę tę trzeba przede wszystkim polecić jako źródło ciekawych informacji o Anglikach. Nie ma w niej nic z propagandy. Wystarczy przypomnieć choćby to, co Orwell mówi o ksenofobii robotników angielskich. A przy tym wszystkim w uwagach jego pełno jest jakiegos zrzędlowej, mrukliwej, nieskorej do wylenności, ale bardzo serdecznej miłości do własnego narodu.

Ostatnią wreszcie książką, którą pisał już jako człowiek ciężko chory na gruźlicę i którą ogłosił na krótko przed śmiercią, było "1984", powieść utopijna o Anglii pod rządami totalizmu sowieckiego typu. Opisuje ona dzieje dwojga zwykłych, typowych Anglików, którzy dostali się w tryby maszyny takiego totalitarnego państwa. "Pedagogiczne" założenia tej książki są jasne. Anglikom, mającym skłonność pocieszenia się myślą, że totalizm jest rezultatem pewnych swoistych a egzotycznych warunków, które nie do pomyślenia są w ich własnym kraju, powieść ta kazała przymierzyć się do takiego właśnie ustroju, wejść w skórę ludzi, którzy muszą żyć w takim, policyjnym państwie. Atmosfera zmory, od której aż duszno przy czytaniu, świetnie jest w tej książce wytrzymała. Przy tym wszystkim jednak jest ona trochę nieludzka, i to nie tylko w tym znaczeniu, że opisuje nieludzki ustrój. Kiedy się ją raz przeczytało, trudno o niej zapomnieć. Ale nie wyobrażam sobie czytelnika, który by chciał do niej wrócić.

Czy i w jakiej mierze ludzie będą wracali do innych jego książek? — Trudno się bawić w prorocтва. To pewne, że zaj-

muje on w literaturze angielskiej miejsce swoje, odrębne, jedyne, i że swoistość tę w dużej mierze zawdzięcza niezwykłym okolicznościom swego życia. "Trudniej dobrze dzień przeżyć niż napisać księgę". Nieostatnią wartością książek Orwella jest to, że wyrosły one z trudu dni dobrze przeżytych.

Wiktor WEINTRAUB.

Zamówienie społeczne i sprawy pokrewne

Pogląd, który się nie zmienia, przestaje być prawdziwy, gdyby nawet to, co wyraża, było przekonywujące. Nie rosnąc w treść, staje się nieużytkiem i kończy swoją karierę w archiwum frazesów. Tam przychodzą go szukać nędzarze. Na łamach "Kultury" natrafiłem na uwagę, że pojęcie zamówienia społecznego w sztuce zawiera treść bogatszą niż się wydaje jego przeciwnikom i że cała sprawa ma wymiary głębsze niżby wielu chciało. Uwagi, które tu spisuję, dotyczą właśnie tej sprawy.

Najpierw stan rzeczowy. Nic fałszywszego jak traktowanie zamówienia społecznego w sztuce jako jakiejś nowej szynki, wymyślonej przez rząd bolszewicki i posłusznie powtórzonej przez rząd warszawski. Zamówienie społeczne ma u nas mocną tradycję, sięgającą korzeniami w "dobre czasy". Bez grzebania się w historii, przypomnijmy sobie lata naszej niepodległości, 1918-1939. Kto z plastyków, literatów, muzyków tworzył co chciał i jak chciał? Historia pomnika wdzięczności w Poznaniu ilustruje panujące wówczas stosunki. Nigdy zamówienie społeczne nie wystąpiło wspianalej uzbrojone. Ten biedny pomnik wciąż przez kogoś poprawiany, zawsze miarodajnie, mandatowo, obywatelsko i patriotycznie, kiedy wyszedł nareszcie spod magla cenzury ojców i synów narodu, kardynałów i proboszczów, pań z towarzystwa i babulek — był już tylko zmęczonym kawałkiem bronzu, nudą zaklętą w kształt plastyczny. Nie z winy rzeźbiarza. Z winy zamówienia.

A literaci, poeci, publicyści? — Kto z nich pisał niezależnie? Ten kto był zabezpieczony materialnie. Ale kto ze świata lite-

ratury był nim w tym stopniu, aby nie licząc się z tym, co kto powie i pomyśli, mógł być wierny tylko własnej inspiracji? Literat radził sobie dwojako. Albo pisał do gazetki, obiecując sobie "wolne chwile" użyć na własną, naprawdę własną pracę. Albo wyrabiał swoje minimum egzystencji w firmie Apfelbaum i Kiełbasiński, znowu licząc na godziny pobiurowe. Druga metoda — o ile nie dał się zagnać w "pozabiurkówki" — była lepsza. Nie psuł sobie ręki, nie partaczył we własnym zawodzie. Nie gnał, nie dopingował się. Zaszywał się w podziemie, ale w tym podziemiu było czyste powietrze. Jeśli ktoś pisał w prasie, musiał nie tylko liczyć się z wymaganiami stronnictwa czy grupy, która pismo wydawała, ale z mnóstwem warunków lokalnych, przyjmowanych milcząco, a często decydujących. Nie tylko trzeba było iść po linii pana ministra (pana prezesa, księdza prałata itd.), ale trzeba było też pilnować, aby była zadowolona pani ministrowa, prezesowa, drypcie z parafii itd. O "wziętości" literata decydowała nie tyle oficjalna góra, ile raczej właśnie zaplecze. Aby być uznanym za swojego, trzeba było być dobrze z zapleczem. Komu te komedie zbrzydły, ten zgłaszał akces do tzw. prasy niezależnej. Ale ta prasa też nieżyła "bez dogmatu". Tu nie tylko można było, ale *trzeba* było pozwalać sobie na ekstrawagancje. Niechby kto złożył w redakcji rękopis żywota św. Zyty, choćby najmądrzej, najlepiej napisany. Odeśłał go do ks. prałata, a tam drypcie powiedzą, że takiej św. Zyty im nie potrzeba. One wiedzą, jak się pisze żywot św. Zyty. I tak w kółko. Wszędzie zamówienie. Zamówienie kapryśne, o kryteriach równocześnie mętnych i nieustępliwych. Te stosunki były szkołą cwaniactwa i, naturalnie, topienia najlepszych.

Zacząłem od literatury, bo tutaj zamówienie jest najdotkliwsze. Technika plastyczna tym więcej muzyczna, nie jest tak wyrazista jak technika słowna. Obraz endecki czy pepesowski jest nonsensem (chyba, że ograniczyć się do najbrutalniejszego tematyizmu). Tym więcej muzyka "partyjna". Ale znowu w tych sztukach dużo miejsca zajmuje pojęcie awangardy. Utarło się (w Europie), że awangarda to lewica, a pompieryzm — konserwa. Tow. Stalin zrewolucjonizował te stosunki. Za "zdrowy" ludowy kierunek uznał dyktator sowiecki właśnie najordynarniejszy pompieryzm. Sowiety nie są na pewno rajem dla plastyków. Wraca poznańska "szafa wdzięczności" w wersji sierpo-młotowej, przemalowana na czerwono. Tylko procedura zamówienia jest bardziej energiczna i zwięzła.

Znałem rzeźbiarza, który zwierzył mi się z żalem, że nikt nie zamawia u niego rzeczy naprawdę zajmujących. Wciąż portrety i portrety. Ma tego dosyć. Ach, gdyby tak kto zamówił np. kominek przedstawiający cztery pory roku. Palił się do tego imaginacyjnego zamówienia. Zapytałem go dlaczego sam nie zrobi takiego kominka. Apatycznie kręcił głową. Nie mogłem wtedy nic więcej z niego wydostać. Ale rozumiem go doskonale. Po-

literackiej idzie w kierunku największego maskowania. Już zwykłą metaforę odczuwa się jako nietakt. Rozwija się potężnie *savoir-vivre* milczenia. O wartości dzieła pisarskiego coraz bardziej decydują dobre maniere. Ma to swoje dogodne strony. Dochodzi się do recept. Np. do recepty na "piękny wiersz". Przyznaje, że sztuka jest pracą - pracą - pracą. Ale dlaczego czytając niektórych dzisiejszych poetów ciągle słyszę lata pięciopalcówek i gam? Woale gęste jak mgła w Londynie, ściany wykorkowane, a ja jednak słyszę gamy. To mnie niepokoi. Dlaczego np. czytając Rilkego nie słyszę tych gam. A to był też "ein Fachmann".

Skarga mówił bardzo wyraźnie, ale mówił wspaniale. Zmierzał do celu, był "publicystą". Ale czy wielu jest takich publicystów? Był gwiazdą, wielkością.

Wiem co mi powiedzą. Powiedzą mi, że tu nie chodzi o epokę. Poussin, Chardin, Rembrandt, Wouwerman — starzy, a co za malarze! U Matejki wszystko szło w fabułę. I to przyjmuję. Z jednym zastrzeżeniem. *Tematów Matejki nie można było wyrazić inaczej.* Bardzo bym chciał zobaczyć Batorego pod Pskowem "na poziomie", namalowanego tak, żeby go uznały "martwe" stypendystki.

To samo w muzyce. Ciarki mnie przechodzą na myśl o piosence żołnierskiej, do której tekst ("poziomowy") napisałby Czuchnowski, a muzykę Szymanowski. "Przeszła wiosna, przeszło lato już..." tak się śpiewa. "Pęki białych róż" — naturalnie! To jest cała żywa dziedzina bytu. Można jej nie lubić, nie pracować dla niej, ale nie można negować jej istnienia, jej praw.

Chcąc być konsekwentnym, trzeba by powiedzieć: malarzowi nie wolno podejmować takich prac, jakie wypełniły życie Matejki. Jakich prac? — piłuję dalej. Prac propagandowych, tendencyjnych, z celem pozamalarskim. Nie wolno? — Ale naród chce nie tylko myśleć i czytać o swej sławnej przeszłości. Chce tę przeszłość też oglądać. Chce patrzeć na karty tej sławy. Żadna stypendystka tego nie przekreśli. Tak jest.

Tej potrzebie Matejko czynił zadość. Zupełnie jak Skarga — zrobił to wspaniale. Był jego malarskim ekwiwalentem. Przyjmując to założenie, trzeba się zgodzić, że król musi być dumny, bardzo dumny. Pokonany wróg poniżony, bardzo poniżony. Rycerze piękni, giermki też piękne, tyle że więcej puciołowate. I konie jak smoki. Tu kropka. Nie podejmuje się obrony św. Stanisława unoszącego się nad polem grunwaldzkim. To wszystko można zrobić nudno, wazelinowo — i wspaniale. Matejko właśnie zrobił to wspaniale.

Rozumiem trudność z jaką malarzowi przychodzi zgodzić się ze mną. Dystans pomiędzy kaznodziejstwem, operującym środkami plastyki, a malarstwem "właściwym" jest wielki. Występuje skrupuł logiczny: jak określać tym samym terminem rozmaite rzeczy? Tu jestem bardziej ustępliwy. Stwórzcie termi-

nologię, przeprowadźcie rozgraniczenia, ale nie zaprzeczajcie wartości temu co żyje, bo to na nic się nie zda.

Nienawiść tematyizmu, którą tak dumnie obnoszą pewni plastycy zawsze mi się wydawała snobizmem i to dość naiwnym. Można być wielkim malarzem tematykiem- i atematykiem. Najwięksi malarze byli jednak tematykami (kulminacyjny punkt: Goya). Nieplastyk wchodzi do plastyki przez okno tematu. To też coś znaczy. Co do mnie, to gdybym umiał malować, brałbym takie tematy: *Alpenglühén* — szczyty żarzą się jak węgle, śnieg różowy, niebo jak farbka. Albo: las. (Przypominam obraz "na pięterku" warszawskich kawiarenek. Salki bilardowe). Świeżuteńka zieleń. Mech obowiązkowy. Smugi słońca przedzierają się przez drzewa. Tu i ówdzie łatki świetlne. Jedna z nich pada na muchomora. Nie zawadzi jaszczurka, wąż, sarenka. W ogóle tematy, gdzie przyroda przyroda jest łatwa jak kokota z Monte Carlo. — Kwitnąca jabłoń, no naturalnie — to wszystko — i na poziomie, aha!

Karol ROGALIŃSKI.

Polonica francuskie

W najbliższym czasie ukaże się nakładem domu wydawniczego Calmann-Lévy w Paryżu powieść naszego współpracownika Józefa Ursyna pt. *Torricola*, przetłumaczona na język francuski przez p. Marc Sens.

Akcja książki Ursyna toczy się we Włoszech po zakończeniu wojny i są to dzieje kilku osób, które — każda dla innych powodów i przyczyn — wsiadają w określony dzień do pociągu pospiesznego, idącego z Rzymu do Neapolu. Na małej stacji, *Torricola*, leżącej na linii Rzym — Neapol, wszystkie te osoby cudem unikają śmierci w wypadku kolejowym. I życie ich toczy się dalej w Neapolu, pełne niepotrzebnych komplikacji i trudności. Wmieszana jest w to akcja o charakterze kryminalnym, trzymająca czytelnika w napięciu.

Autor porusza poza tym w książce swej szereg zagadnień o znaczeniu ogólnoludzkim, wybiegających poza troski i zainteresowania dnia dzisiejszego. I dlatego powieść Ursyna powinna wzbudzić szerokie zainteresowanie.

"ORZEL BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**

59/61, Hatton Garden — London E.C.1.

Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIETRZYŃSKI,**

32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● **Cena egzemplarza:**

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg

W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● **P r e n u m e r a t a :**

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.

W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.

W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● **Prenumeratę przyjmują:**

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Skladnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,

Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Archiwum polityczne

O niektórych sprawach krajowych

1. ROBINEAU.

Historyk czasów dzisiejszych nie będzie mógł nie zwrócić uwagi na tę mnogość i wszechstronność spraw i procesów szpiegow-
skich, w jakie obfituje od paru lat kronika polityczna. Nie
będzie on mógł również nie stwierdzić, że u podstaw wszystkich,
bez wyjątku wszystkich tych spraw jest akcja sowiecka. Albo
na terenie państw kapitalistycznych wykrywani są szpiedzy
sowieccy (choćby ostatnio w St. Zjedn. sprawy Caplan-
Gubiczew i Algera Hissa, w Wlk. Brytanii — Klausa Fuchsa, we
Francji — niektóre elementy "afery generalskiej" itd.), albo
też na terenie bloku sowieckiego wykrywani są szpiedzy "ka-
pitalistycznego imperializmu" (procesy Rajka, Kostowa, Dobo-
szyńskiego i sprawy czysto-szpiegowskie w Bułgarii, na Wę-
gzech, w Czechosłowacji i w Polsce). Historyk ten nie będzie
również mógł mi nie przyznać, że wówczas gdy procesy szpiegów
sowieckich mają istotnie charakter par excellence szpiegow-
ski i to z reguły bardzo poważny, procesy szpiegowskie na
terenach okupowanych przez Sowiety tchną prowokacją i służą
zgoła innym celom, nie mającym nic wspólnego ze zwalczaniem
samego szpiegostwa jako takiego. Chcąc być obiektywnym, hi-
storyk ten będzie musiał również zauważyć, że do tej drugiej
kategorii procesów, wytaczanych przez Sowiety, przyczyniła się
w znacznym stopniu, niebawoma nieraz lekkomyślność "kapita-
listyczna", niechlujstwo i partactwo organizacji emigracyjnych
i zbrodnicza łatwość z jaką dla bylejakich celów narażane są
okupowane społeczeństwa.

Cały okres konfliktu między reżimem warszawskim a rządem
francuskim — można nazwać: sprawą Robineau. Robineau zo-
stał aresztowany podstępnie, na lotnisku, gdy odlatywał samo-
lotem linii lotniczej "Lot" do Paryża. Drobnym ten na pozór
fakt, podobny do tysiąca tego rodzaju aresztowań w Polsce,
stał się hasłem do kampanii antyfrancuskiej. Nie wielu było
Francuzów w Polsce, ale w tym okresie wyłapano prawie wszy-

stkich. Pewna ilość znalazła się w więzieniu, reszta została wysiedlona do Francji.

Władze francuskie nie pozostawały w tyle. Nawet dominowały nad reżimem, bo miały większy wybór. Istniały przecież we Francji dobrze zorganizowane organizacje komunistyczne wśród polskiej emigracji zarobkowej, działali zręczni agenci Kominformu. Agenci w kilku kolejkach zostali odstawieni do granicy, organizacje zostały rozwiązane. Korzyść niewątpliwa z tego rozpedzenia na cztery wiatry agentów rządu warszawskiego wraz z ich organizacjami, ale moment bardzo źle wybrany. Rząd warszawski zdawał sobie doskonale sprawę, że wcześniej czy później jego organizacje i agenci na terenie Francji ulegną likwidacji. Był nawet tak przezorny, że co znaczniejszych działaczy wezwał na wszelki wypadek przedtem do Warszawy. To też akcja władz francuskich szła całkowicie po linii prowokacji warszawskiej. Te ekspulsje były jednak reżimowi potrzebne dla wytworzenia właściwej atmosfery, dla wywołania wrażenia represji.

W rezultacie tej "zimnej wojny" między reżimem a rządem francuskim śladu nie zostało z umowy konsularnej, kulturalnej i emigracyjnej. Umowy te stanowiły zasady wzajemnej współpracy między Francją a Polską. Śladu nie zostało również po Instytucie Francuskim w Polsce. Zamierzony cel reżim osiągnął.

Wszystkie te sprawy, choć tak zasadniczego znaczenia, biegiły jakby bocznym nurtem. Punktem szczytowym tej afery były procesy: wrocławski i szczeciński. Procesy te w pewnym sensie stanowią całość. Obydwa miały ten sam cel propagandowy, skierowane były przeciwko wywiadowi francuskiemu.

Proces wrocławski i proces szczeciński miały ten sam charakter procesów pokazowych. Różnica polegała jedynie na tym, że proces wrocławski przeznaczony był na użytek propagandy wewnętrznej, proces szczeciński był na eksport zagraniczny. Stąd różne nieco akcenty propagandowe i techniczne.

W procesie wrocławskim, do spraw działalności wywiadu francuskiego w Polsce, wplecione zostały oskarżenia o charakterze emocjonalnym i demagogicznym. Mowa była o pewnym konsulu francuskim, który kazał niszczyć urządzenia wentylacyjne w kopalniach polskich, aby w ten sposób zatruwać pracujących tam górników. Inne oskarżenie o brzmieniu podobnym zarzucało wywiadowi francuskiemu, że nakazywał swym agentom niszczenie urządzeń fabrycznych w ten sposób, aby odpowiedzialność spadała na pracujących tam robotników.

Jeśli jednak odrzucić te sztuczne i wyraźnie bzdurne przybudówki propagandowe, proces wrocławski staje się zwykłym procesem o szpiegostwo i stanowi jakby pierwszą część procesu Robineau w Szczecinie.

Wszyscy oskarżeni w obydwu procesach przyznali się do winy. Dokonali tego w sposób, jaki cechuje wszystkie procesy "spontanicznych zeznań". Mówili często więcej niż było potrzeba. Przyznali się, że celem ich działalności było notowanie miejscowości w których stacjonowało wojsko, w szczególności sowieckie, interesowała ich ilość tego wojska, transporty sowieckie, lotniska, nawet rozkłady pociągów towarowych i plany pewnych miast i dróg. Nie był to więc wywiad na wielką skalę, wywiad strategiczny. Ot, drobny i niepoważny wywiadziki, jaki prowa-

dzą młodzi oficerowie na pograniczu. Robineau jednak miał wrażenie, że jest drugim Lawrence'm. Traktował jednocześnie tę sprawę jak zabawę w Indian. Było w tym co robił, dużo na ivo, dużo poży i gry młodej wyobraźni. Człowiek tego typu częściej jest prowokatorem czy narzędziem w rękach przeciwnika, niż bohaterem własnego kraju. Ta zabawa w Indian skończyła się tragicznie dla niego i dla młodej Yvonne Bassaler, skazanej we Wrocławiu. Ale bardziej tragicznie skończyła się ta współpraca z wywiadem francuskim, niestety wyraźnie lekko-myślnym, dla wszystkich Polaków w tych procesach skazanych. Wymienieni w procesach nie wyczerpują sprawy i ilości. Liczba reszty aresztowanych przy tej okazji prawdopodobnie nigdy nie będzie ujawniona. Samo aresztowanie Robineau pociągnęło za sobą zamknięcie w więzieniu przeszło 200 Polaków. Najmniejszy ślad kontaktu był już dostatecznym powodem aresztowania.

Skazanie Robineau zamyka zaledwie jeden okres konfliktu reżimu z rządem francuskim. Na porządku dziennym jest jeszcze proces przeciwko konsulowi reżimowemu z Lille, Szczecińskiemu, posadzonemu przez władze francuskie o szpiegostwo. W więzieniu w Warszawie znajduje się również wicekonsul francuski Boitte, którego nazwisko wymieniane było w procesie wrocławskim i szczecińskim.

2. "INŻYNIEROWIE DUSZ".

Dziś nikt już nie ma wątpliwości, że sowietyzacja Polski odbywa się według tego samego planu, co sowietyzacja Ukrainy, Gruzji, Białorusi, Uzbekistanu czy później Litwy czy Estonii i że z kolei ten plan był powtórzeniem tego schematu, według którego odbyła się sowietyzacja samej Rosji. Różnice są tylko "dialektyczne", to znaczy uwarunkowane lokalnymi osobliwościami i antynomiami historycznymi, gospodarczymi i kulturalnymi. I stąd — szczerze wypowiedzi Stalina, że każdy naród buduje socjalizm własnymi drogami. Lecz preceptor i kontroler jest jeden — partia bolszewicka. I cel jest jeden — jedno uniwersalne państwo sowieckie. A w dziedzinie kultury — jedno hasło: "kultura winna być socjalistyczna pod względem treści, a narodowa pod względem formy". Więc i treść ma być jednaka, nominalnie socjalistyczna, praktycznie — sowiecka, bolszewicka.

Długa jest droga do socjalizmu, nawet jeżeli ten socjalizm buduje wytrenowany partyjny aparat biurokratyczny w oparciu o nie mniej wytrenowany aparat policyjny. Najdłuższa i najtrudniejsza dla aparatu sowietyzującego, najbardziej cierniowa, pełna upokorzeń, załamań, pesymizmu i rozpacz — to droga do zsoietyzowania kultury. Duch jest bardziej oporny niż materia. Trudniej jest wypełnić nawyki i powiązania w tej dziedzinie niż w dziedzinie cywilizacji czy organizacji życia. W Euro-pie bolszewicy, jak dotychczas, mają najwięcej kłopotów pod tym względem z dwoma narodami: z Ukraińcami i z Polakami. I uderzające jest podobieństwo metod, jednakowość skutków. I w jednym i w drugim wypadku zagrożone społeczeństwa ludziły się tymi samymi nadziejami: przecież musi pozostać jakiś, bodaj najwyższy margines, na którym uda się zakonserwować jakąś najskromniejszą bodaj niezależność duchową. Po trzy-

dziestu dwóch latach Ukraińcom pozostał tylko język i to znacznie zrusyfikowany, "odkosmopolityzowany". Po pięciu latach demokratyzacji Polski znaleźliśmy się mniej więcej w okresie 1930-1931 roku na Ukrainie. A więc w 13-14 roku sowietyzacji.

Można byłoby doszukiwać się w nieskończoność analogii i szukać w poezji polskiej odpowiednika dla Tyczyny, Ryłskiego czy Chwylowego, w literaturze dla Kulisza i Mykytenki, w teatrze dla Kurbasa i Jury. Ale analogie nie byłyby właściwe: partia bolszewicka jest nieskończenie dzisiaj pewniejsza siebie, bardziej uzbrojona w doświadczenia, mniej obawiająca się "kapitalistycznego otoczenia". Tuwim nie może liczyć, że spotka go los Aleksego Tołstoja, a Schiller że otrzyma tytuł "ludowego artysty Wszechzwiązku Sowieckiego". Związek Sowiecki wszedł w okres bezkompromisowej walki z kosmopolityzmem, w praktyce — z Zachodem. Polska ze wszystkich satelitów ma w sobie największy głód tego Zachodu. Walka z Polską w tej dziedzinie jest celem zasadniczym całego Związku.

Twórczość artystyczna w Polsce poddana została najbardziej surowym formom kontroli, znacznie prędzej, aniżeli można było obliczać obiektywnie. Powieść, poezja, dramat, film muszą służyć propagandzie i agitacji. Mają "włączyć się w nurt socjalizmu", jak to określa slogan partii komunistycznej i bacznie za tym nurtem podążać. Najmniejsze odchylenie grozi niełaską i napiętnowaniem. Drogowskaz, jaki został przed każdym twórcą postawiony, to "realizm socjalistyczny", ale nie w przejściowej, liberalnej formule Gorkiego, lecz w ostatecznej — Żdanowa. Reżimowy agitator od spraw kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski w ten sposób pisze: "Realizm socjalistyczny jest jedyną naukową metodą poznawczą bez której żaden wielki twórca nie może dziś ani dojrzeć, ani zrozumieć istoty procesów historycznych, bez czego nie ma dzisiaj żadnej wielkiej twórczości."

Praktycznie rzecz biorąc, twórczość ma stać się środkiem ściśle współdziałającym z rządem i partią nad przeobrażeniami, jakim poddany jest kraj, czyli nad sowietyzacją życia polskiego. Twórca, nawet muzyk, nawet plastyk, obracać się musi w granicach potrzeb aktualnej propagandy. Wolno mu być realnym w ściśle określonych warunkach. Natchnieniem jego ma być rzeczywistość faktów i zdarzeń, oglądanych od strony zamierzeń rządowych, od strony urzędowego optymizmu.

Droga wytyczona w ten sposób jest wąska i pełna zasadzek. Trzeba mieć dużo oportunizmu i mało talentu, aby w tych granicach się utrzymać. Wolność twórcza, indywidualizm, subiektywne patrzenie na fakty — potępione są w sposób jak najbardziej talmudyczny. Posądzenie o skłonność do formalizmu, o tendencje mieszczańskie lub kosmopolityzm w twórczości — równe jest przestępstwu najwyższego rzędu.

Nawet poznanie zasad marksizmu nie jest ratunkiem. "Marksizm — pisze Jerzy Andrzejewski — w rękach indywidualizującego inteligenta jest podobny do konia ze złym jeźdźcą na grzbiecie."

Myśl twórcy musi kształtować się według wzorów standardu, ustalonego przez twórczość sowiecką. Z tej twórczości wszyscy mają czerpać wzory, mają się na niej uczyć. Jakub Berman, podsekretarz stanu w Prezydium Rady Ministrów, na odprawie zorganizowanej dla literatów zaleca w ten sposób naśladow-

nictwo pisarzy sowieckich: "Moglibyśmy — powiedział — wiele się dowiedzieć, wiele sobie ułatwić pracy, gdybyśmy przeszledzili tę pełną szlachetnej pasji i uporu drogę poszukiwań pisarzy radzieckich". Berman zresztą takim stanowiskiem nikogo nie dziwi. Dziwi Tadeusz Borowski, który o tym naśladownictwie mówi niemal z egzaltacją: "Literatura radziecka jest dla nas kopalnią wiedzy estetycznej".

Nie ma na to rady. Sztuka, w każdym swym wyrazie ma być upolityczniona, gorzej jeszcze, bo "upartyjniona", ma być grzeszna i posłuszna.

Powojenny okres teatru w Polsce mógł łatwo wprowadzić w błąd. Nie było najmniejszego nacisku na wybór repertuaru. Na afiszach utrzymywały się sztuki zachodnie i polskie. Mówiono nawet głośno o bojkocie sztuk sowieckich. Aktorzy i dyrektorzy teatrów mówili z uznaniem i respektem o wiceministrze kultury i sztuki, który się zajmował teatrem.

Jest zupełnie zrozumiałe to pozostawienie teatru i jego repertuaru w spokoju. Rzeczą najbardziej istotną była w owym okresie czasu ogólna organizacja całego aparatu teatralnego, szkolnictwo artystyczne i zbliżenie publiczności proletariackiej do teatru. Do wszystkich tych spraw, przyznać trzeba, przystępowano z dużą rozważą, bez pośpiechu, ale z uporem.

Powstały nowe teatry w takich miastach jak m. in. Białystok, Częstochowa, Gdynia. Zorganizowane zostały objazdowe teatry dramatyczne. Teatr zjawiał się często tam, gdzie nigdy nikt nie marzył o dobrym przedstawieniu. W owym czasie organizowano i reorganizowano. Nawet cyrk uległ całkowitej reorganizacji. Aktorzy cyrkowi przeszli na pensje rządowe; poddane zostały gruntownej rewizji wszelkie teksty clown'ów i kuplecistów. W Warszawie powstało nawet liceum cyrkowe.

Na szkolenie nowych sił aktorskich położono duży nacisk. Wpajano te wszystkie zasady, które zakreślają granice sztuki w systemie życia sowieckiego. Uczono "realizmu socjalistycznego", sięgano do wzorów, a nawet do wykładów specjalistów od teatru w Związku Sowieckim. Wyniki tego szkolenia nie są jednak nadzwyczajne. Oficjalne na ten temat wypowiedzi są raczej bliskie pesymizmu. Podobno 800 aktorów powinno się dokształcić. Nie wiadomo tylko jaki to ma być rodzaj dokształcenia. Zresztą sam system szkolenia artystycznego nie został jeszcze ostatecznie ukształtowany. Jest w stadium tworzenia. W najbliższym jednak okresie czasu zyska on formę jednolitą, ostatecznie sprecyzowaną.

W zakresie upowszechnienia teatru dokonano jednak zmian naprawde rewolucyjnych. Chłop, robotnik, po raz pierwszy za czasów reżimu, widzieli prawdziwy teatr, widzieli grę dobrych aktorów. Nowy widz upodobał sobie teatr. Stary aktor upodobał sobie nowego widza. Było tak, jak w Moskwie w 1918-1921 r., gdy aktorzy ze wzruszeniem grali wspaniały repertuar dla wzruszonej widowni, przepełnionej robotnikami, żołnierzami i marynarzami. Ani aktor ani widz nie przypuszczali — tak jak nie przypuszczali w swoim czasie aktorzy teatrów Stanisławskiego, Tairowa i Meyerholda, jak nie przypuszczali ich oczarowani widzowie — że to wzajemne przyzwyczajanie się było również "w planie". Przyzwyczać widza do teatru poprzez sztukę dobra, by później oglądał już tylko polityczną.

Okres przygotowawczy w zakresie zorganizowania całego aparatu teatralnego zamyka się faktem upaństwowienia teatrów. Generalna Dyrekcja Przedsiębiorstw Artystycznych, która powstała przy Ministerstwie Kultury i Sztuki już miała zadanie ułatwione: pierwsze trudności zostały pokonane.

Teatr, w którym aktorzy stali się urzędnikami, płaconymi przez państwo przystępuje do wielkiej imprezy. Jest to Festiwal Sztuki Sowieckiej. Festiwal ten organizatorzy określają, jako "wielką bitwę o sztukę realistyczną". Był on jednocześnie dla aktorów i reżyserów formą próby i egzaminu. Próba ta wypadła źle dla aktorów i niektórych reżyserów. Impreza wykazała duże niedociągnięcia. Reżimowi strażnicy teatru orzekli, że teatr nie jest jeszcze przygotowany do grania sztuk politycznych. Dostało się przy tym niektórym reżyserom, którzy nie mogli zrozumieć realizmu socjalistycznego. Spotkali się z publiczną naganą. Tę gorycz niezdanego egzaminu reżyserskiego przeżyli Horzyca i Iwo Gall. Horzyca nie mógł sobie poradzić z Gorkim, Iwo Gall "oblał się" przy "Wiśniowym Sadzie" Czechowa. Skarcony został Teatr Polski w Warszawie, ale już ogólnie, bez nazwisk, za to, że kładzie z zasady Gorkiego i że nie wyszły mu "Odwety" Kruczkowskiego.

Nieudana impreza Festiwalu Sztuki Sowieckiej zaostriżyła uwagę reżimu. Postanowiono porzucić drogę ewolucyjną a przejść w sposób bardziej brutalny do przełamania w teatrze reakcyjnych nawyków i odchyleń. Przystąpiono do gruntownego burzenia dotychczasowych pojęć o teatrze, do stosowania nowych w Polsce form reżyserii i gry aktorskiej. Wypowiedziana została walka dotychczasowemu pojęciu znaczenia aktora. "Gwiazdatorów" ma zastąpić zespół. Przygotowanie sztuki i jej wykonanie ma odbywać się systemem kolektywnym.

Taki pierwszy kolektyw aktorski gra w Łodzi. Kolektyw ten został zorganizowany jeszcze w roku 1947 w teatrze Leona Schillera. Praca tego kolektywu polegała w pierwszym okresie na studiowaniu marksizmu-leninizmu, na analizie teatru Stanisławskiego i na nauce języków obcych. Po zdobyciu w ten sposób zaprawy politycznej, zespół rozpoczął przygotowywanie wybranej specjalnie sztuki pokazowej czeskiego pisarza Kani, pod tytułem "Brygada Szlifierza Karhana". Sztuka ta pomyślana jest jako model do naśladownictwa. Grana jest obecnie w Łódzkim Teatrze Nowym. Po każdym przedstawieniu odbywają się dyskusje. Sztuka poddawana jest krytyce. Robotnicy wypowiadają się co uważają za dobre a co za złe. W pewnym sensie robotnik staje się współtwórcą sztuki. Jeśli uwagi są słuszne, kierownictwo teatru jest obowiązane wprowadzić żądane zmiany. Wspomniana już "Brygada Szlifierza Karhana" dopiero po trzydziestu przedstawieniach, po trzydziestu dyskusjach, przybrała ostateczną formę.

I znów wszyscy są zachwyceni. Zachwyceni jest Schiller, który wygłasza dytyramby na cześć reżimu, otwierającego przed teatrem nowe drogi. Zachwyceni jest kolektyw, który nie rozumie że nowy system z punktu zabija w nim talent, czyni manekiny, naśladowujące fotograficznie życie. Zachwyceni jest widz-robotnik czy ogłupiały inteligent, któremu się wydaje, że współpracuje z teatrem. I nikt z nich — ani Schiller, ani aktor, ani widz — nie rozumie że to znów tylko etap przejściowy. Że

dziś, jutro lub pojutrze Schiller podzieli los Meyerholda czy Tairowa (za formalizm, za przerosty "intelektualizmu", Bóg wie zresztą za co!), że aktor nigdy już nie będzie miał prawdziwie artystycznych, aktorskich wzruszeń jakie daje rola zagrana a nie mechanicznie, naśladowniczo odtworzona i że widza zastąpi "partkom", który nie pozwoli na żaden "realizm", tylko wytłumaczy wszystkim — i następcom Schillera i aktorom, a przede wszystkim publiczności — że typ pozytywny ma być grany nie taki jaki jest w życiu, lecz taki jakim go widzi partia-państwo; że czarny charakter nie ma mieć ani jednej cechy ludzkiej lecz kapać od smoły i dziegciu. I dopiero wówczas gdy teatr stanie się teatrem białych i czarnych cieni, stanie się on teatrem "socjalistycznego, stalinowskiego realizmu".



Powojenny okres twórczości literackiej w Polsce w niczym nie naruszył tego porządku poprawnej przeciętności, jaki powstał, jeszcze przed wojną, po śmierci Żeromskiego i Reymonta. Pojawiły się tylko nowe nazwiska, przed wojną nieznane, lub mało znane, jak: Gołubiew, Dygat, Żukrowski, Dobraczyński, Borowski.

Rynek wydawniczy po okupacyjnym milczeniu był pełen ożywienia. Ale rzeczywistość polityczna wytworzyła klimat daleki od atmosfery, w jakiej każdy z tych piszących dojrzywał. To z kolei wymagało czujności, odrobiny oportunizmu. Możliwość drukowania trzeba było okupić jakimś sloganem o złej Polsce przedwojennej, o faszystmie i nie dobrej sanacji. Zresztą dominowała tematyka okupacyjna.

Ale pierwszy spontaniczny okres wydawniczy doznał w miarę upływającego czasu zahamowania. Warunki w jakich pisarz mógł tworzyć zmieniały się w sposób niepokojący. Pisać to mało, ale jak pisać, dla kogo pisać? Oto problem, który narastał przed każdym z piszących. Pisarz wobec przemian społecznych i politycznych zajął stanowisko wyczekujące. Stał na uboczu. Choć był wobec tej rzeczywistości politycznej w Polsce poprawny, nawet pozytywny — wiadomo było, że to jest za mało.

Jeśli nawet dojrzał do rewolucyjnych zmian społecznych, a dojrzał na pewno, bo rewolucja w Polsce zaczęła się w r. 1939, choć słyszał naokoło słowo "rewolucja", to widział przemoc i gwałt obcej siły, zatracił wycucie gdzie się zaczyna a gdzie kończy rewolucja właściwa. Znajdował się w samym środku powikłań, konfliktów, przeciwności i zawodów. Walił się w gruzy cały jego świat rzeczy dobrych i złych, świat dzieciństwa i młodości. Wiedział, że w tym świecie, który go otacza, nie ma miejsca na szczerość artystycznej wypowiedzi, lecz że zarazem nieporadnie-smieszny stałby się każdy odruch buntu przeciwko tym siłom, podobnym kataklizmowi.

Reżim się niecierpliwił. Polacy nie zdobywali się nawet na to, na co zdobyła się uniesiona rewolucją inteligencja rosyjska czy ukraińska lat "wojennego komunizmu". Konkurs z okazji zjednoczenia ruchu robotniczego w końcu roku 1947 był imprezą dla grafomanów. Żadna z nadesłanych prac nie mogła być nagrodzona, bo żaden z utworów na nagrodę nie zasługiwał. Na odbywającym się, mniej więcej w tym samym czasie, zjeździe

Związku Literatów Polskich w Szczecinie prowadzono spory ideologiczne, ale nie według ustalonych metod stalinowskich. Jak skarżą się reżimowi specjaliści od spraw kultury i sztuki — literaci polscy nie mogli się oderwać od wpływów "dekadencej" Młodej Polski, od skamandrytyzmu, od indywidualizowania, subiektywizowania. Według tej samej opinii pisarze polscy tkwili korzeniami w zatęchłym drobnomieszczaństwie.

Starano się wszelkimi środkami sprowadzić z tych dróg blakające się talenty. Kazimierz Wyka pisze, że krytycy literaccy ciągnęli wiele utworów i wielu pisarzy za uszy do realizmu socjalistycznego i dziś zauważyli, że zostały im w rękach tylko same uszy.

Właściwa batalia rozpoczęła się niedawno. Pozornie rozpoczęło się od dyskusji. Rozpoczął ją bodaj Czesław Miłosz, który wystąpił z krytyką współczesnej poezji. Krytyce poddał stronę formalną. Młody poeta Woroszyński, krytykując stan współczesnej poezji, wskazał za jedyną miernik poematy Majakowskiego. Zgromił go Kazimierz Wyka za ten pomysł już przestarzały. Woroszyńskiemu dostało się ponadto za krytykę wierszy starych marksistów jak Wygodzki. Organ partyjny "Trybuna Ludu" napisał, że w artykule Woroszyńskiego doszło do głosu drobnomieszczaństwo, ahistoryczność i negowanie postępowych tradycji Związku Sowieckiego.

Atmosfera gestniała i krytyka przerodziła się w samokrytykę a nawet w najbardziej klasyczny sposób "kajania" się. Oskarżał się redaktor "Kuźnicy" Hoffman, że pismo, którym kierował nie spełniło swego zadania w zakresie kształtowania nowej, rewolucyjnej poezji polskiej. Zażądano podobnej samokrytyki od "Odrodzenia", które taką pokutę już zapowiedziało.

Berman na konferencji zwołanej dla literatów, jak dobrotliwy wuj zachęca do samokrytyki, dając do zrozumienia, że to znowu nie jest takie straszne, nie trzeba tylko popadać w przesadę i utożsamiać jej z samobiczowaniem się, z ekshibicjonizmem.

W środku tej całej wrzawy odezwał się głos Jerzego Andrzejewskiego. Jest to niewątpliwie pozycja czołowa w literaturze powojennej w Polsce. Andrzejewski dokonał samokrytyki swej dotychczasowej ideologii i stanowiska pisarskiego. Potępił nie tylko swój debiut literacki, ideologię pisarza katolickiego, potępił nawet swoją książkę "Popiół i diament", napisaną już po wojnie. Rzuca przy tym hasło współzawodnictwa pracy w literaturze. "Współzawodnictwo — pisze Andrzejewski — to nie jest jedynie ilość, szybkość produkcji i jej sprawność. Zagadnienie współzawodnictwa pracy jest o wiele głębsze, gdyż sięga do podstaw ideologii. A ideologia jest motorem ułatwiającym pracę. Jeśli tak zrozumiemy tę sprawę, to zagadnienie współzawodnictwa pracy można postawić na naszym terenie... — Podstawa współzawodnictwa pracy w literaturze winno być poczucie pisarza, że klęska czy nieudane dzieło kolegi jest klęską nie tylko kolegi, ale również jego osobistą. Chodzi bowiem o to, że pisarze są zespołem, stojącym po jednej stronie barykady. Każde potknięcie kolegi, każdy brak jego dzieła, musi być przyjęte, jako własne potknięcie".

Niektórzy nie dokonali aktu kajania się w sposób całkowity. Brandys zrobił to tylko połowicznie. To samo Sandauer, Adolf Rudnicki. Tadeusz Breza sprzedaje się po kawałeczku, "naj-

pierw palec, potem dłoń, serce na samym końcu". Tak przynajmniej o tym wszystkim pisze Tadeusz Borowski. Tadeusz Borowski jest pisarzem młodym, który, — jak określa go Kisiel w "Tygodniku Powszechnym" — "znakomicie pisze, tylko nie wie o czym pisać". Borowski akt samokrytyki wypełnił w sposób niesłychanie emocjonalny. Może śmieszne i naprawdę ekshibicjonistyczne jest to samooskarżanie się Borowskiego z tego powodu, że nie umiał podzielić klasowo obozu koncentracyjnego, ale poza tym jego biczowanie się jest miejscami pełne szczerości, jest przeżyciem, przeżyciem głębokim i tragicznym.

Można dostać mdłości przy kajaniu się Konstantego I. Gałczyńskiego, może śmieszyć Iwaszkiewicz, nawołujący do zwalczania wśród pisarzy pychy, ale samej sprawy, zjawiska jako takiego nie można zbyć "świętym oburzeniem". Trudno przecież w danym wypadku ustalić granicę między oportunizmem, serwilizmem a konfliktem moralnym i ideologicznym. Łatwiej jest potępić niż zrozumieć.

A zrozumieć trzeba. "Samokrytyka" czy "kajanie" się pisarzy czy artystów polskich nie jest podobne do "samokrytyki" czy "kajania się" dzisiejszych literatów rosyjskich: Zoszenki czy Kajtajewa. Nie mają one właściwie precedensu w dotychczasowej praktyce sowieckiej kultur. Nie mówimy oczywiście ani o Tuwimie, ani o Słonimskim czy Gałczyńskim, tak jak nie mówimy o Horzycy. To są ludzie dla literatury i sztuki skończeni. Rewolucję pojmowali (jeżeli pojmowali!) jako kawiarniany, inteligentko-dekadencej bunt. Ale inaczej jest z Andrzejewskim, Borowskim, jak inaczej z Schillerem czy Kreczmarem. Ci albo przenieśli i zachowali dawną wizję rewolucji, albo wytworzyli w sobie tę wizję w okresie, gdy kataklizm zniszczył dawne podstawy życia, a na gruzach, zdawałoby się, można było zacząć budować nowe, własne, niezależne życie. Ich "samokrytyka" to zarazem próba obrony bodaj części tych własnych wizji. "Nie można oglądać nieba z dna studni" — powiada chińskie przysłowie i nie jest ich winą że nie widzą, a może nieraz boją się zobaczyć, że nie ma kompromisu pomiędzy ich wizją a "planem", pomiędzy "ich rewolucją" a tamtą rewolucją postulowaną. Jesienin czy Majakowski, Pilniak czy Chwylowyj ginęli bez kajania się, bo nie wymagano wówczas tego. Dziś inny okres, inne wymogi. Któż z nas tutaj wiedzieć może ile treści wkłada w "kajanie się" człowiek, który zachować pragnie odrobinę wiary w to co wierzył.

Krytyki i samokrytyki przewidziane były w planie. Miały one wytworzyć atmosferę, potrzebną do publicznego zebrania, poświęconego sprawom twórczości literackiej. Zebranie takie odbyło się z udziałem nie tylko przedstawicieli świata literackiego, lecz także przedstawicieli rządu, związków zawodowych, partii, instytucji i społecznych i wydawniczych.

Przemówienie programowe wygłosił Leon Kruczkowski, jako prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich. Kruczkowski — nasz polski Lunaczarski — do tego rodzaju przemówienia był predystynowany, gdyż on pierwszy rozpoczął twórczość upolitycznioną. Jego dwie sztuki sceniczne "Odwety" i "Niemcy" oparte są na problematyce aktualności politycznych. Ale rola pisarzy na tym zebraniu ograniczała się przede wszystkim do wysłuchania przedstawicieli rządu. Przemawiał Berman, Jędry-

chowski, Sokorski. Każdy z tych przemawiających ukazywał problematykę właściwą obecnej rzeczywistości politycznej i jej dynamie, jaka musi znaleźć wyraz w twórczości literackiej. Ta problematyka to plan 6-letni, to praca górnika, spółdzielnie produkcyjne, współzawodnictwo pracy. W tym świecie pisarz ma prawo obracać się, o tych sprawach pisać, dla tych ludzi tworzyć. Konflikt, przeżycie, osnowa artystycznego tworzywa muszą z tych spraw wynikać i ujęte w poprawne, sztuczne ramy "so-cjalistycznego realizmu", mają służyć walce polityczno-społecznej. Patronką literatury polskiej pod względem treści staje się odtąd Żdanow, pod względem formy — Klementyna z Tańskich Hoffmanowa z jej opowiadaniem o grzecznej Helence.

Konferencja literatów z przedstawicielami rządu i partii była jednocześnie odprawą przed wyjazdem na praktykę. Zaraz bowiem po tej konferencji przeszło 70 literatów wyjechało do różnych wsi, ośrodków przemysłowych, fabryk, w zależności od przydziału czy zgłoszeń, aby na miejscu, żyjąc w danym środowisku, szukać natchnień i poznawać zagadnienie z bliska. Spół-sób może sztuczny, brutalny, ale dla potrzeb propagandy wystarczający.

Na tym zdeklasowanym Pegazie, który zszedł do rzędu tucznika w akcji hodowlanej ("H"), daleko ujechać nie można. Kolektywizm pisarski Andrzejewskiego i jego współzawodnictwo pracy literackiej również utknęło gdzieś po drodze, za jakąś stodołą spółdzielni produkcyjnej. Jeśli kiedyś powstanie w tej smutnej rzeczywistości rzecz wielka, to na pewno przy jej narodzinach nie będzie stał ani urzędnik ani policjant. Tragedią literatury polskiej jest to, że w momencie styku dwu rewolucji: polskiej i obcej, narzuconej, nie ma ona wielkości typu Jesienina, Klujewa, Majakowskiego, Tyczyny, Kołasa, Tołstoja czy Szołochowa. Tragedią tej literatury jest to, że na naszą polską rewolucję, słabą i rachityczną, wieje od razu mrozem od tamtej, rzekomo światowej, lecz już dawno martwej rewolucji moskiewskiej.

Z.-W.

P O L S K A

PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. **KULTURY**, **WIADOMOŚCI** i **ORLA BIAŁEGO**.

Rubel narzędziem agresji

28 lutego rb. ogłoszono dekret Rady Ministrów ZSSR i Centralnego Komitetu Partii Bolszewickiej "O nowej niższej państwowej cen detalicznych na artykuły spożywcze i towary przemysłowe" oraz jednocześnie z tym postanowienie Rady Ministrów ZSSR "oparcia rubla na bazie złota i podniesienia wartości rubla". Oczywiście jest, że to drugie postanowienie ma nie-skończenie bardziej doniosłe znaczenie i stanowi punkt zwrotny w polityce gospodarczej Związku Sowieckiego zarówno na terenie kontrolowanym przez Sowietów, jak też i w stosunku do otoczenia kapitalistycznego. Prasa sowiecka — prawdopodobnie ze względów czysto propagandowych — ogłosiła jednakże dekret o niższej cen na pierwszym miejscu.

Postanowienie o oparciu rubla na bazie złota mówi, że z dniem 1-go marca rb. zaniechane zostaje określenie kursu rubla w stosunku do walut obcych na bazie dolara i wprowadzone zostaje określenie tego kursu na podstawie złota, stosownie do zawartości złota w rublu. Zawartość tę ustalono na 0,222,168 gr. czystego złota (rubel przedrewolucyjny zawierał 0,774,233 gr.). W związku z powyższym wyznaczony został nowy kurs na obie podstawowe waluty światowe: 4 rb. za 1 dolara am. (zamiast dotychczasowego kursu — 5 rb. 30 kop.) i 11 rb. 20 kop. za 1 funt szterling (zamiast 14 rb. 84 kop.).

Na podstawie tego postanowienia Państwowy Bank Sowiecki już 2-go marca opublikował pierwszą cedulę kursu walut cudzoziemskich, która m. in. ustaliła w rublach:

Franki francuskie (za 1.000)	rubli 11,46
Franki szwajcarskie (za 100)	„ 91,47
Lity włoskie (za 1.000)	„ 6,40
— — — — —	— — — — —
Złote polskie (za 1.000)	„ 10,00
Leje rumuńskie (za 1.000)	„ 26,74
Korony czeskie (za 100)	„ 8,00
Lewy bułgarskie (za 100)	„ 1,40
Forynty węgierskie (za 100)	„ 34,10

Jak wiadomo, rubel (a dawniej czerwonec) sowiecki był zawsze traktowany przez rząd sowiecki zarówno oficjalnie jak i praktycznie, jako waluta wewnętrzna. Sowieckie obroty zagraniczne

dokonywane były w walutach obcych. Zresztą nie były one duże i wynosiły m. in. w latach 1933-1938 od 2.600 do 3.600 milionów rb. rocznie (w cenach bieżących), wówczas, gdy obrót zagraniczny Rosji carskiej wynosił w ciągu ostatnich kilku lat przedrewolucyjnych ok. 12.000 milionów rb. rocznie (w cenach ówczesnych). Maksymalny eksport ZSSR wyniósł w 1930 r. 3,5% całej produkcji, a przeciętnie wynosił rocznie ok. 1% produkcji. Wywóz miał opłacać jedynie import i uzupełniać niezbędne zapasy waluty. Zarówno import sowiecki, jak też i cała sowiecka polityka finansowa czy walutowa nie kierowały się potrzebą mas ludności, lecz wymogami państwa.

System finansowy i pieniężny w Związku Sowieckim jest wysoce skomplikowany. Jako jeden z najważniejszych elementów gospodarczych jest on ściśle podporządkowany nie potrzebom ludności lecz wyłącznie potrzebom państwa, jako narzędzia generalnej polityki partii. Nie znaczy to jednak, by bolszewicy w jakimkolwiek momencie swej gospodarki stosowali posunięcia chaotyczne, względnie nie kontrolowali w każdym momencie efektów swych poczynań. W szczególności notowali oni zawsze z ogromną uwagą wahania nabywcze rubla i stosunek ludności do rubla jako środka płatniczego. W tym celu rubel był oparty o tę walutę zagraniczną, która w danym okresie była najmocniejsza i ulegała najmniejszym wahaniom. 29-go lutego 1936 r. rubel był przyrównany do 3 fr. fr. Francja w tym okresie była jedynym krajem kapitalistycznym, który zachował twardy kurs swej waluty na określonej podstawie złota. Lecz już 1-go listopada 1936 r. kurs rubla był zwiększony do 4,25 fr., a 19-go lipca 1937 r. rząd sowiecki uważał za potrzebne rozpocząć obliczanie rubla w przeliczeniu na dolar po kursie 5 rubli 30 kop. za dolara. Kurs ten utrzymany został do ostatniej chwili.

O ile poprzednio notowania rubla miały charakter czysto wewnętrzny i potrzebne były przede wszystkim dla zachowania wewnętrznej kontroli nad rublem, o tyle ostatnie postanowienie należy rozumieć inaczej. Wykracza ono daleko poza interesy właściwego Związku Sowieckiego.

By to zrozumieć trzeba przede wszystkim wziąć pod uwagę, że każde sowieckie posunięcie polityczne (a cała gospodarka sowiecka zwłaszcza zagraniczna — jest nasycona polityką i służą polityce), bez względu na to czy ma charakter ofensywny czy obronny, jest niezmiennie podporządkowane jednemu generalnemu celowi strategicznemu: zwycięstwu rewolucji w skali światowej, a praktycznie rzecz biorąc rozszerzeniu systemu sowieckiego na świat cały. I dopiero tak rzecz ujmując, możemy stwierdzić, że samo w sobie takie czy inne posunięcie polityczne może odpowiadać jednemu lub nawet kilku celom pośrednim. Politycy sowieccy specjalizują się w takich wielostronnych i wielocelowych pociągnięciach politycznych i administracyjnych, by za jednym zamachem osiągnąć kilka równorzędnych celów doraźnych. Tak jest i w tym wypadku.

Naczelnym zadaniem taktycznym sowieckiej polityki powojennej jest przeistoczenie sowieckiej sfery wpływów w zwarty, jeżeli nawet nie całkowicie scentralizowany, blok. Zwartość polityczno-wojskowa tego bloku może być osiągnięta oczywiście tylko w drodze maksymalnej unifikacji gospodarczej. Jesteśmy świadkami stale postępującej konsekwentnej i nieustępliwej sowiektyzacji gospodarczej i politycznej wszystkich państw i narodów okupowanych po r. 1939 przez Związek Sowiecki. Moskwa stosuje w tej sowiektyzacji cały ogrom swego doświadczenia z okresu 1917 - 1939, a stosując metodę dialektyczną nie kieruje się jednym uniwersalnym szablonem, lecz reguluje zarówno tempo jak i metody zależnie od okoliczności regionalnych. Stąd pozorna różnorodność, czy niekiedy nawet lokalne sprzeczności w poszczególnych planach gospodarczych poszczególnych krajów okupowanych. Pozorna jednak tylko, gdyż ostatecznie widzimy, jak z roku na rok, z miesiąca na miesiąc plany te są ze sobą coraz bardziej zsynchronizowywane i sprzęgnięte, a przede wszystkim coraz bardziej związane z gospodarką Związku Sowieckiego.

Tego rodzaju polityka tworzenia skoordynowanego ze Związkiem Sowieckim bloku "państw demokratycznych", a raczej rozszerzania systemu gospodarki sowieckiej na państwa okupowane, wymaga, rzecz prosta, zasadniczej reformy waluty sowieckiej, tak by rubel był nie tylko partnerem dla jednostek płatniczych poszczególnych państw bloku, lecz by był nadrzędną i orientacyjną walutą ogólnoblokową, absolutnie wolną od wszelkich wahań innych walut zagranicznych, chociażby najmocniejszych. Interes gospodarczy jest tu ściśle związany z interesem politycznym, a jednocześnie z celem psychologiczno-propagandowym: podważania zaufania do innych walut.

Należy wspomnieć na marginesie, że nowe przewalutowanie rubla zmienia zasadniczo zobowiązania poszczególnych państw bloku w stosunku do Związku Sowieckiego: w wyniku nowej kalkulacji, państwa te otrzymają mniej towarów, a będą zmuszone zwiększyć swój wywóz bezpośredni do Związku Sowieckiego. Z punktu widzenia Związku Sowieckiego obroty jego z tymi państwami nie są duże, ale inaczej rzecz wygląda z punktu widzenia odnośnych państw. Oto jak w procentach do całości obrotów przedstawiały się pozycje importu i eksportu 5 "państw demokratycznych" w relacjach ze Związkiem Sowieckim:

	IMPORT		EKSPORT	
	r. 1938	r. 1949	r. 1938	r. 1949
Polska	0,8	28,9	0,1	17,8
Rumunia	0,6	49,0	0,04	50,0
Czechosłowacja	1,1	15,7	0,7	16,5
Węgry	0,06	21,8	—	23,3
Bułgaria	0,9	60,0	0,08	51,0

W początkach 1950 r. dokonano rewizji sowieckich umów handlowych ze wszystkimi państwami satelickimi i zwiększono znacznie (od 20 do 40%) obroty. Zmniejszono poważnie — i bez tego już bardzo nisko — obroty handlowe tych państw z zachodnią Europą i Ameryką. Wprowadzenie zasady "pierwszeństwa" dla państw bloku sowieckiego przy zawieraniu przez te państwa umów dwustronnych z Zachodem praktycznie coraz bardziej zamyka blok sowiecki we własnych granicach i coraz większe otwiera możliwości dla bezkonkurencyjnego panowania rubla jako waluty nadrzędnej.

Jeszcze bardziej doniosłe znaczenie z punktu widzenia interesów Moskwy odegrać ma reforma podstawy rubla w stosunku do Ludowej Republiki Chińskiej (a w przyszłości i do nowych zdobyczy rewolucyjnych na terenie azjatyckim czy kolonialnym). Tu reforma ta nie tylko ułatwi Moskwie kontrolę gospodarczą w stosunku do "socjalistycznej" czy "komunistycznej gospodarki" planowej na tych terenach, lecz pozwoli Moskwie zachować stałe rolę czynnika nadrzędnego w tych państwach, nawet wtedy, gdy pod względem politycznym państwu tym będzie pozostawiona względna swoboda działania. Dla terenów tych rubel sowiecki, oparty na złocie, będzie wartością realną; nie ma bowiem wątpliwości, że Związek Sowiecki ma całkowite pokrycie w złocie dla rubla.

Inaczej mówiąc, nowa reforma sowiecka stara się uczynić z rubla walutę podstawową olbrzymiego bloku składającego się na razie z samego Związku Sowieckiego, "państw demokratycznych" Europy, Mongolii i całego obszaru Chin. Obszar ten wynosi obecnie 39.457.480 km.² i liczy 753.800.000 mieszkańców. Jeżeli bolszewikom uda się naprawdę stworzenie realnego bloku rublowego na tym obszarze, to oczywiście będzie to olbrzymie zagrożenie dla dwóch dotychczasowych bloków finansowych świata: sterlingowego, a przede wszystkim dolarowego.

Całą swą politykę "poszerzania rewolucji światowej" Moskwa prowadzi z wiarą w nieustanne pogłębianie się kryzysu gospodarczego i społecznego w świecie kapitalistycznym. Nie jest to z jej strony jedynie slogan propagandowy. Jest to najgłębsza, niemal religijna wiara, stanowiąca nieodzowną część doktryny leninowsko-stalinowskiej. Ale wiara ta nakłada na bolszewików według tejże doktryny ogromne obowiązki. Pozostawione same sobie kryzysy w świecie kapitalistycznym mogą mimo wszystko zdobyć się na całkowitą czy częściową regenerację. Baza rewolucji światowej, a więc Związek Sowiecki ze wszystkimi nabytymi przyległościami, musi całą swą polityką oficjalną i podziemną, wszystkimi swymi pociągnięciami propagandowymi, całą swą dywersją, a rozumie się, również i całą swą polityką gospodarczą uderzać nieustannie w najsłabsze miejsca systemu kapitalistycznego, by uniemożliwić mu nie tylko regenerację, nie tylko wytworzenie własnych rewolucyjnych sił rekonstrukcyjnych, lecz nawet by nie pozwolić mu na przejściową bodaj ogół-

ną czy lokalną stabilizację. Do takich pociągnięć dywersyjnych zaliczyć należy niewątpliwie i ostatnią reformę walutową.

Skierowana ona jest przede wszystkim przeciwko wrogowi głównemu Związku Sowieckiego — Stanom Zjednoczonym. (Nawiasem mówiąc propaganda sowiecka nawet nie ukrywa jak dalece nowa reforma jest skierowana przeciwko Stanom Zjednoczonym: pisma sowieckie, państw satelickich i Chin przepełnione są mniej lub więcej szczegółową analizą "wzrastania kryzysu gospodarczego w Stanach Zjednoczonych"). Sowieckie pisma gospodarcze z radością konstatują fakt, że w czasie od 18 września do 6 października 1949 r. "30 kapitalistycznych państw zmuszonych było dokonać dewaluacji", a w szczególności, że kurs dolara "stał się niewspółmiennie wysoki" do swojej nominalnej wartości w złocie (0,888,671 gr.) Moskwa stale podkreśla, że obecny dolar przedstawia 50% wartości przedwojennego i około 33% wartości dolara ze stycznia 1934 r. Procesy dewaluacyjne i polityka Stanów Zjednoczonych w stosunku do bloku sterlingowego były uważnie śledzone przez Moskwę, która uważała, że "dewaluacja walut, dokonana w większości krajów kapitalistycznych, musi doprowadzić do pogłębienia sprzeczności, zarówno wewnątrz tych państw, jak też i pomiędzy tymi państwami a St. Zjedn.".

Wydaje się, że zagadnienie ustalenia wspólnej waluty nadrzędnej dla całego bloku sowieckiego musiało być pomyślane znacznie dawniej, w chwili gdy przystąpiono do narzucania poszczególnym państwom bloku sowieckiego przepracowanych w Moskwie, względnie ściśle z Moskwą uzgodnionych, planów gospodarczych. Lecz realizacja tego zamierzenia została odłożona do chwili obecnej, która się wydała Moskwie najbardziej sprzyjającą w wyniku osłabienia przez politykę gospodarczą amerykańską bloku sterlingowego, w wyniku zarysowania się dużych sprzeczności gospodarczych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią i w związku z pogłębiającymi się trudnościami gospodarczymi i konfliktami społecznymi na terenie Europy Zachodniej, a przede wszystkim w związku z zaognieniem na całym świecie problemu narodów kolonialnych i półkolonialnych.

W zestawieniu z postanowieniem w sprawie waluty, dekret o nowej obniżce cen na artykuły spożycia i towarów przemysłowych posiada znaczenie drugorzędne, aczkolwiek pod względem propagandowym Moskwa stara się go nie tylko wygrać jak najefekowniej, ale nawet wysuwa go na plan pierwszy, przed reformą rubla. Istotnie, trzeba stwierdzić, że na tle kryzysów gospodarczych świata, taka poważna obniżka cen detalicznych może poważnie oddziaływać psychicznie na pesymistycznie usposobione masy pracujące Europy i Ameryki. Nie jest to zresztą pierwsza obniżka cen w Sowietach od czasów wojny. Już w grudniu 1947 r., wraz ze zniesieniem systemu kartkowego i pierwszą, wewnętrzną, reformą rubla, ustalono nowy cennik deta-

liczny, który według danych statystycznych sowieckich miał dać ludności w ciągu jednego roku oszczędność w wysokości 86 miliardów rubli. W marcu 1949 r. zarządzona została druga obniżka cen, która miała dać znowu ludności w ciągu roku oszczędność w wysokości 71 miliardów rubli. Obecna obniżka cen — jak kalkuluje rząd sowiecki — ma dać ludności co najmniej 110 miliardów rubli oszczędności.

Bolszewicy, jak zresztą prawie zawsze, tak i w tym wypadku nie ukrywają celów nowego dekretu. Najważniejsze są następujące: wzrost siły nabywczej rubla, wzrost wartości rubla radzieckiego w porównaniu z kursem walut obcych, podwyżka realnej wartości płac urzędników i robotników, wzrost dochodów ludności rolniczej wskutek znacznego zmniejszenia się wydatków na zakup towarów przemysłowych. (Nawiasem mówiąc nowy cennik, bardzo po reklamiarzku sprezentowany na pierwszej stronie "Prawdy" i "Izwestii", — jest wielce, szczegółowy. Dowiadujemy się z niego, że masy pracujące sowieckie będą miały duże możliwości taniego nabywania elektroluksów, wyrobów ze złota i srebra, aparatów fotograficznych, win deserowych — które bajecznie, bo aż o 49% potaniały — stu-percentowej wełny płaszczowej itp.).

Gdybyśmy nawet założyli, że nowa obniżka cen w Związku przyniesie poprawę bytu masom pracującym, to w żadnym wypadku poprawa ta nie wpłynie zasadniczo na tę nędzę w jakiej te masy się znajdują i niewiele zmniejszy różnice pomiędzy bytem obywateli w ZSSR a na Zachodzie. Wskaźnik siły nabywczej przeciętnego zarobku robotnika przemysłowego w ZSSR i w innych krajach wynosi wciąż: ZSSR — 100, Italia — 133, Francja — 194, Anglia — 394, Stany Zjednoczone — 556, Australia 606. Na zakupienie 1 kg chleba robotnik musi pracować w Anglii — 11 minut, w St. Zjedn. — 13,2 min., we Francji — 22 min., w Italii — 37 min., a w ZSSR — 55 min.

Jak to już wspomnieliśmy, Moskwa śledzi uważnie wahania siły nabywczej rubla. Jednym ze sprawdzianów tej siły jest m. in. tzw. "rynek kochożniczy", którego obroty wynoszą od 12 do 20% sowieckiego handlu wewnętrznego.

Zakres notatki niniejszej nie wyczerpuje całości zagadnienia związanego z obu uchwałami. Nie mamy również miejsca na omówienie całego szeregu celów pośrednich lub ubocznych, jakim niewątpliwie oba te postanowienia mają służyć, jak np. propaganda wyborcza do władz Związku sowieckiego, jak chęć skaptowania nastrojów sowieckich mas włościańskich itp. W każdym bądź razie, ograniczając się do podkreślenia momentów najważniejszych, chcieliśmy przez to stwierdzić, że uważamy oba te pociągnięcia za jedno z najdonioślejszych w polityce rządu sowieckiego lat ostatnich.

R. WRAGA.

Najnowsza historia Polski

Bereza Kartuzka z innej strony

Po zamachu na ministra Pierackiego, organizatora słynnej pacyfikacji w 1930 roku, przysłała wielka fala aresztowań. Aresztowania te przeprowadzano według specjalnego klucza tzw. "kontyngentów", to znaczy, że każdy wojewoda i starosta miał dostarczyć do obozu, stworzonego przez Kostka-Biernackiego, tych działaczy politycznych, których policja uważała za "niebezpieczne elementy wywrotowe".

Aresztowano mnie w połowie maja 1934 roku, w trzy miesiące po przyjeździe z zagranicy. Jednak po trzech miesiącach śledczego więzienia, przy czym ani razu nie byłem przesłuchany, zwolniono mnie w sierpniu tegoż roku. Właśnie w chwili załatwiania formalności, związanych z opuszczeniem więzienia przy ulicy Kazimierzowskiej we Lwowie, zjawił się w kancelarii więziennej profesor Starosolskyj, znany z procesów politycznych obrońca, aby zobaczyć się z jednym ze swych licznych klientów. Zorientowałem się od razu, że cały ceremoniał mego zwolnienia należy do wypróbowanego zespołu psychicznych metod śledczych i że natychmiast za bramą więzienną zostaną ponownie aresztowani, co potwierdzała obecność dwóch agentów policyjnych, starannie mnie obserwujących, a właściwie nie mających tam nic do roboty. Zwróciłem się więc do prof. Starosolskiego z prośbą, aby wyszedł z więzienia i zawołał taksówkę, przy pomocy której chciałem zniknąć z oczu agentów. Rzecz była najzupełniej legalna, gdyż dokument zwolnienia miałem już w rękach, a jako człowiekowi wolnemu przysługiwało mi prawo udania się taksówką, gdzie mi się żywnie podobało. Dr Starosolskyj był jednak zdania, że taki skomplikowany sposób opuszczenia z więzienia jest niepotrzebny, gdyż, gdyby mnie chciało wysłać do Berezy, uczyniono by to bez zbędnej ceremonii zwalniania. To mnie uspokoiło, ale po wyjściu z bramy więziennej spostrzegłem jednego ze szpiclów. Próbowałem "ulotnić się",

ale, niestety, nie przejeżdżał żaden tramwaj, do którego mógłbym skoczyć w biegu. Mimo to, udało mi się, na pół biegnąc, przedostać się aż na ulicę Jagiellońską, gdzie dogonili mnie zadyszani i źli agenci. Od razu też wytknęli mi moje zachorowanie, na co odparłem, że jestem sportowcem i wolno mi trenować biegi na wytrzymałość. Agenci nie zareagowali na tę uwagę, gdyż najwidoczniej byli zadowoleni, że udało im się uniknąć gorszej nieprzyjemności. Tak zaczęła się moja droga do Berezy Kartuskiej.

Do Berezy odwoziło mnie dwóch policjantów. Przyjęcie w obozie koncentracyjnym nie odznaczało się niczym specjalnym, gdyż spodziewałem się czegoś znacznie gorszego. Jednakże przy pomocy regulaminowych rękojmi dano mi do zrozumienia, że całe moje dotychczasowe doświadczenie, wyniesione z polskich więzień, nie nadaje się do nowych warunków. Przeświadczenie to jeszcze wzmocniło się po całonocnej mustrze w izolowanym pokoju. Rankiem następnego dnia wprowadzono całkowicie wyzbytego z sił do mycia się wraz z innymi więźniami Berezy. Pierwszym znajomym, na którego wpadłem z rozbiegu (wszystkie w Berezie robiło się biegiem), był inżynier Milanycz ze Lwowa. Zapytałem go niezbyt równym słosem, ile rozstrzelań przypada w obozie na dobę, na co otrzymałem odpowiedź z wysoką, że jestem typowym "szuwaksem". Był to najwidoczniej, jego rewanż za rok 1930, kiedy to Milanycz, jako świeżo upieczony inżynier gdańskiej politechniki, przybył prosto z kolejowego dworca do celi 109, gdzie musiał przejść przez cały ceremoniał przyjęcia, odprawiony przeze mnie, Mycyka, nieboszczyka Romana Bidoja (zm. w Kijowie 1942), Kruszelniczego (zm. 1932 w Kijowie) i całą resztę mieszkańców celi.

Koncentracyjny obóz w Berezie Kartuskiej znajdował się w dawnych rosyjskich koszarach, rozłożonych w dwóch kompleksach bloków po obu stronach szosy Berestje-Kobryń. Obydwa kompleksy otoczone były wysokim drewnianym parkanem. W południowym zespole znajdowała się komenda obozu, w północnym przebywali więźniowie i stu wartowników. Ta część obozu była mocno odrutowana, a naprzeciw bramy wyjściowej znajdowało się policyjne pogotowie. Więźniów rozmieszczano po trzydziestu na izbę. Każdy więzień miał do dyspozycji wojskowy koc, dwa prześcieradła, menażkę, łyżkę i manierkę — wszystko wojskowego typu. Chustki do nosa były zabronione, natomiast wolno było posiadać mydło i ręcznik.

Cały regulamin obozu polegał na biciu i bezmyślnej pracy. Prócz tego wynaleziono cały szereg mało inteligentnych szykan, jak np. znienawidzony "lufcik", który dbał o to, by powietrze w izbach było możliwie najbardziej zanieczyszczone.

Osobne znaczenie miał głód, który w pierwszych miesiącach istnienia Berezy gruntownie ludzi wycieńczał. Wszystko to jednak były jedynie rytualne dodatki do tego "demokratycznego" obozu koncentracyjnego, gdyż główny nacisk kładziono na czło-

wieka, zarówno w stosunku do więźnia — obiektu eksperymentu, jak policjanta — bezpośredniego wykonawcy pomysłów warszawskich polityków i interpretatora obozowego regulaminu.

Już samo prawne położenie więźniów stwarzało sytuację, nieznaną nawet stałym bywalcom polskich więzień. Deportacja do Berezy Kartuskiej odbywała się nie na podstawie decyzji sądowej, czy choćby nawet zarządzenia policyjnego, obowiązującego na czas śledztwa, ale na podstawie administracyjnego postanowienia pana starosty, lub pana wojewody. Nawet my, starzy działacze podziemia, którzyśmy nie uznawali polskiego prawodawstwa w jego politycznym aspekcie, odczuwaliśmy całe bezprawie pozbawienia nas wolności i to przy tym w formie jak najbardziej jaskrawej. Możliwe, że to właśnie leżało w intencji chrzestnych ojców Berezy. Ale eksperyment ten okazał się niewdzięczny zarówno z punktu widzenia ludzi, którzy za drutami siedzieli, jak i tych, którzy drutów pilnowali.

Główny kontyngent więźniów Berezy stanowili Ukraińcy, prawie wyłącznie członkowie OUN. Bezwarunkowo Berezy nie można zestawiać z Sołówkami, czy też Oświęcimiem, ale osiedlem wypoczynkowym również nie była. Uważam, że głównym błędem chrzestnych ojców Berezy było ograniczenie deportowanych do elity organizacyjnej OUN. Tych niespełna dwustu nacjonalistów stworzyło tak zwarty moralnie blok, że wszelkie próby "reedukacji" ze strony administracji obozowej musiały się załamać. Pomijam już fakt, że w ciągu pierwszych trzech najgorszych tygodni Berezy ukraińscy nacjonaści sabotowali rozkazy policjantów, "służbowo" używali wyłącznie ukraińskiego języka i nie reagowali na prowokacje. Akcji tej zaprzestano po stwierdzeniu, że fizyczne maltretowanie czyni coraz większe wyłomy w szeregach. Pewnego poranka wszyscy przeszli na polski język, gdy trzeba było zwracać się do policjantów, ale poza tym wszyscy mówili po ukraińsku. Było to poważne zwycięstwo: administracja obozu i policjanci udawali, że nie zdają sobie z tego sprawy. Prawda, kary mnożyły się nadal, ale już nie za używanie ukraińskiego języka, lecz w ogóle za "rozmowy", które regulaminowo były zabronione. Może to i nie była sprawa zbyt ważna, owa narodowa "pryncypialność", miała ona jednak swoją wymowę. Realściści może tego nie rozumieją, nie był jednak pozbawiony znaczenia fakt, że żadne bicie podczas pracy nie było w stanie nas zmusić, byśmy przestali rozmawiać głośno i po ukraińsku. Była to zawzięta walka "słowem" i o "słowo", która zakończyła się naszym zwycięstwem.

W okresie głodowania nie tylko nie było żadnych objawów psychicznego załamania, ale wręcz przeciwnie, nigdy nie brakowało brawury i dobrego humoru. Brawura przejawiała się głównie w próbach zdobycia za wszelką cenę codziennej prasy, i tu pomysłowość szła w parze z odwagą. Pamiętam takiego S. z Gajów Wielkich pod Tarnopolem. Któregoś dnia przyniósł świeży numer "Ilustrowanego Kuriera Krakowskiego" i, wrę-

czając go do przeczytania, soczyście zaklął. "Cały czas — powiada — udawałem, że poluję na chleb i policjant tak był zajęty pilnowaniem go, że gazetę ściągnąłem przepisowo. A chleb — dodał — był biały i świeży". Inżynier S. z Gdańska wpadł na inny pomysł: założył "ETB", czyli "Enten Telegraphen Büro", fabrykując polityczne wiadomości i bawiąc nimi cały obóz oczywiście, na koszt naiwnych, którzy im wierzyli.

Najgłodniej bywało każdej niedzieli i każda izba zabawiała się układaniem pomysłowych "menu", przy czym znawcy przedmiotu cieszyli się wielkim wzięciem. Wytworzył się swoisty "bon ton" obozowy, polegający na kpinach z dozorców, w czym celowali dwaj młodzi studenci z Przemyśla, Pik i Beric, którzy też z tego powodu byli najczęstszymi gośćmi w karcerze. Ów styl konwersacji z policjantami wydawał się zrozumiały sam przez się, tak, że nikt nie darował żadnej okazji, by podkreślić go jeszcze dosadniej. Nawet i mnie trafiła się taka okazja. Kiedyś poprosiłem o zwolnienie w celu udania się za swoją potrzebą. Po powrocie chciałem zgłosić go regulaminowo, ale starszy posterunkowy wciąż odwracał się do mnie plecami, zmuszając do biegania w koło niego. Wobec tego zatrzymałem się i, nie zwracając uwagi na plecy pana posterunkowego, wyrecytowałem przepisową formułkę. Na to policjant krzyknął: "A cóż to? Aresztowany mówi do dupy?" "Tak jest!" — odparłem przepisowo. Wszyscy w śmiech i mój prześladowca również, ale po chwili spostrzegł się, że powodem śmiechu jest on sam. Ponieważ jednak najbardziej i najgłośniej śmieli się jego koledzy-policjanci, tym razem uszło mi na sucho.

Byli wśród nas również i nie-nacjonalisti; wszyscy oni wyjawiali małoduszność i słabość charakteru, czego nawet postawa otoczenia nie była w stanie zmienić.

Inny element ludzki stanowili więźniowie Polacy, poza nielicznymi wyjątkami, młodzi inteligenci, studenci i robotnicy z ONR-u. Większość z nich uważała się za kategorię pośrednią między policjantami i nami, zachowując się odpowiednio do takiej postawy. Ci zaś nieliczni, którzy właściwiej oceniali swoją sytuację, wprawdzie nie szukali z nami zbliżenia, ale ustosunkowywali się do nas poważnie i często wdawali w dyskusję na aktualne tematy.

Komuniści — Żydzi, Ukraińcy i Białorusini — tworzyli liczne i niedobre towarzystwo. Nieco lepiej trzymali się Ukraińcy i Białorusini, którzy ciężyli bardziej do nas, swoich "wrogów klasowych", niż do własnych towarzyszy partyjnych. Wśród komunistów Żydów było zaledwie kilku ludzi z charakterem, jak np. doktór R. ze Stanisławowa i Feldblum, warszawski robotnik. Inni stroszyli się mocno na nas, ale padali plackiem przed policjantami. Pamiętam pewnego komunistycznego intelektualistę, zdaje się, że był to poeta Żołotow z Warszawy. Możliwe, że z naganem w rękę i pięcioramienną gwiazdą na czapce byłby zupełnie inny, ale w Berezie zachowywał się jak moralna po-

kraka. Nawet jego własni partyjni towarzysze odetchnęli z ulgą, gdy go zabrano z Berezy do więzienia na odsiedzenie wyroku.



W skład policji i administracji obozowej wchodziły bardzo różne elementy. Nie mam pojęcia, czym kierowano się przy dobieraniu policyjnego personelu do Berezy, ale stwierdzam, że był on mocno niedobry pod każdym względem. Obok znanego sadysty, inspektora Grefnera z Poznania, był obozowy lekarz, major W. P., który w sposób ostentacyjny wypowiadał swe oburzenie z powodu złego traktowania więźniów (zmarł w Berezie na udar serca, w listopadzie 1934); obok kretyńskich typów, zatrudnionych na awans przy pomocy policyjnej pałki, byli tacy ludzie, jak posterunkowi Ryś, Rafałowicz, Nowak, czy Malareczy, którzy wyraźnie szli więźniom na rękę, niekiedy, jak w wypadku Rysia, narażając swą opinię dobrego policjanta. Zdarzali się i tacy, którzy mówili: "Ja ich tu będę katować, a oni mnie później zastrzelą", — coś w rodzaju typowej mentalności "współzycia" ze światem "kryminalistów".

Większość policjantów były to młodziki, świeżo wypuszczone z policyjnej szkoły i jeszcze bez zawodowej rutyny stróżów bezpieczeństwa. Trzeba podkreślić, że prawie wszyscy policjanci z biało-niebieskim sznurkiem cenzusowca od razu odzegnali się od używania gumowej pałki. Prawda, był wśród nich niejaki Komorowski — zwracano się doń per "hrabia", — który, choć z racji stanowiska intendenta nie miał obowiązku noszenia pałki, nigdy nie opuszczał okazji wypróbowania na więźniu swej pięści czy kopniaka. Toteż więźniowie Berezy strzegli się go jeszcze bardziej, niż np. takiego Sitka, którego twardą łapę każdy poznał na sobie.

Stosunki między policjantami i więźniami charakteryzowały się w pierwszym okresie przede wszystkim wzajemną obserwacją. Przewaga była po stronie uwięzionych, czego policjanci — element w większości inteligentny — nie mogli nie dostrzec. To pociągnęło za sobą wyraźną demoralizację więziennego personelu, tak, że już po pół roku większość sabotowała dyrektywy komendanta obozu. Bicie stało się zjawiskiem wyjątkowym, zaś przymusowa praca zamieniła się w zabawę "kopania dołków" przy niemal powszechnej tolerancji naszych stróżów. Gdy po upływie pół roku nastąpiła częściowa zmiana policyjnego personelu, Bereza wykończyła nowicjuszy już po dwóch tygodniach. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że Bereza nie była żadną "szkołą" dla więźniów, za to stanowiła teren, na którym łamały się charaktery adeptów policyjnego powołania.

Zachowanie się policjantów wobec więźniów-Polaków budziło w nas niejednokrotnie sentymentalne refleksje. Przypominam sobie pewne wydarzenie: było to w lecie 1935 roku, przypadało właśnie jakieś święto rzymsko-katolickie, ale o charakterze wyłącznie kościelnym, to znaczy, że nie było zaznaczone w kalen-

darzu czerwoną datą. Jak zwykle, wypędzono nas na roboty. Znalazłem się wraz z kilkoma Polakami w grupie kopiącej rów. Pewien młody robotnik z Łodzi, członek ONR-u, niezbyt przykładał się do pracy i na okrzyk dozoruującego policjanta odpowiedział: "Dziś święto". Rozgniewany posterunkowy podbiegł i przeciągnął go gumową pałą przez plecy. Uderzony głośno zaprotestował: "Panie, jestem Polak i katolik!", na co policjant zdzielił pobożnego oponenta jeszcze kilka razy, skandując przy każdym uderzeniu: "To masz za Polaka, a to za katolika!"

Cała scena uczyniła niesłychanie przykre wrażenie, nie przez sam fakt znęcania się, ale przez okoliczności, w jakich to znęcanie odbywało się: — oto polski policjant bijący własnego rodaka za wyznanie polskości. Dla nas ów młody robotnik był przede wszystkim towarzyszem niedoli, i już po incydencie, który wywołał w nim szok nerwowy, wy tłumaczyliśmy mu, jak należy zachowywać się w takich wypadkach. Nie wiem, czy pobity zrobił z tego jakiś użytek. Sam incydent wskazywał przecież, że w ocenie zagadnienia obozów koncentracyjnych nie należy robić zasadniczych rozróżnień. Brutalny policjant nie miał zapewne intencji wyładowywać złego humoru (dzień był bardzo upalny i pracowaliśmy na słońcu) w tak niezwykle, nawet jak na Berezę, formie, i wątpię, czy komukolwiek przyszło do głowy szukać wytłumaczenia w sadyzmie lub religijnej obojętności posterunkowego. Wyjaśnienie jest o wiele prostsze: zasada koncentracyjnego obozu jest zawsze ta sama, a tylko kształt zewnętrzny zmienia się w zależności od warunków, przyzwyczajęń i kulturalnego poziomu. Treść jednak jest zawsze taka sama.

Na specjalną uwagę zasługują dwaj kolejni komendanci obozowi: inspektor Grefner z Poznania i inspektor Kamala ze Lwowa. Grefner był typem inteligentnego sadysty, lubiącego się w wymyślaniu coraz to nowych szykan. Gdyby wśród policjantów było więcej ludzi tegoż pokroju, Bereza na pewno wytrzymałaby konkurencję z Oświęcimiem. Natomiast Kamala był przykrym durniem, którego mało wybredne pomysły denerwowały nawet policjantów. Ulubioną ich rozrywką stało się naśladowanie tonu i postawy swego szefa, co niekiedy czyniło wrażenie wystudiowanych kabaretowych występów. Pewnego razu Kamala przyszedł na inspekcję izb, czego raczej nie lubił z uwagi na "lufcik", obrzucił wszystkich okiem Sherlock Holmesa i zapytał: "A dlaczego muchy siadają na stole?" Niemal do końca pierwszej Berezy pytanie to stało się głównym tematem kawałów; nieraz niezwykle dowcipnych, ze strony policjantów. Taka to była nieoficjalna atmosfera nastrojów wśród policyjnego personelu.

Najwidoczniej były jeszcze inne, obiektywne powody szybkiego rozkładu policyjnego "ducha". Bereza Kartuska — to typowa poleska dziura, o beznadziejnym krajobrazie i nie lepszych mieszkańcach. Doglądanie więźniów przy pracy, która nie miała

żadnego sensu — to drugi powód niezbyt pochwalnych nastrojów wśród policjantów. Wprawdzie co sobotę urządzano dla nich zabawy, na których obtańcowywali miejscowe krasawice, ale za to istniał zakaz używania alkoholu. Doszło więc do tego, że nasi dozorczy szukali rozrywki i porady u samych więźniów. Mistrzem od takich "porad" stał się śp. Łopatyński ze Stryja, który z niezwykłą swadą opowiadał Räubergeschichten o wyczynach OUN i o nieszczęśliwych halickich policjantach. Nam samym czyniło się nieraz markotno od podobnych fantazji, ale policjantów to "brało". Gdy pierwsza zmiana odchodziła z Berezy, policjanci usprawiedliwiali się przed nami, a nawet prosili o "listy żelazne". Wiem, że Tymczij Łopatyński dawał im owe "zaporuky" pod warunkiem "błatowania" przed odejściem nowych policjantów. I rzeczywiście, tak ich błatowali, że nowi byli zastraszeni od pierwszego dnia, co znowu odbijało się na nas. Jeden z takich zbłatowanych dzień w dzień przez dwa tygodnie z rządu nie wypuszczał przy dozorowaniu nas rewolweru z ręki, aż wreszcie Ryś czy też Nowak wyjaśnili mu "prywatny", niepisany regulamin Berezy. W rezultacie każda następna zmiana policjantów przynosiła nam polepszenie, gdyż kanale szybko odchodziły z awansem, a "zwariowani" Rysie i Nowaki zostawali "za karę" na dalszy pobyt w Berezie.

Nie brakowało wśród policjantów ludzi z poczuciem humoru. Przez pewien czas dowódcą eskorty głównego robotniczego oddziału do "kopania dołków" był pokraka, którego nazwiska już nie pamiętam. Gruby, czerwony na gębie kurdupeł wysilał się w wynajdywaniu coraz to nowych szykan, za co odpiłacaliśmy się fatalnym wykonywaniem musztry. Wystarczało, aby wydał jakikolwiek rozkaz, aby natychmiast zaczęło się paniczne zamieszanie. Każdy udawał przerażenie i wszystko wychodziło na odwrót. Wówczas interweniował Ryś albo Nowak, podawał komendę "aść" — i wszystko szło jak na defiladzie. Ową zabawę w musztrę prowadziliśmy tak długo, aż kurdupla zabrano ze stanowiska dowódcy eskorty. Za udział w tej zabawie szli do paki zarówno więźniowie jak policjanci, i to urozmaicało jedynym i drugim jednostajny pobyt w Berezie.

Swoiste poczucie humoru posiadał pewien poznaniak z białoniebieskim sznurkiem, o nazwisku — zdaje się — Wieczorek. Był on dyżurnym na bloku, na zmianę z ordynusem Sitką. Wieczorek przyłapał Myrowycza na dyrygowaniu "własną orkiestrą" w pace. Myrowycz dostał za to coś siedem dni paki — jak sam mówił, po to by nie pracować na deszczu — założył tam "małą scenkę" i odstawiał tanga. W sobotę przy raporcie Wieczorek zameldował Kamali, że "Myrowycz dyryguje w pace orkiestrą", i ten dostał ponownie siedem dni. Tak trwało przez siedem tygodni pod rząd: Myrowycz w dalszym ciągu dyrygował swoją orkiestrą i dostawał nowe siedem dni. Aż wreszcie, gdy skończyły się ostatnie deszcze, Wieczorek oświadczył Myrowyczowi: "Teraz na dworze już sucho; podam aresztowanego do

następnego raportu, gdy nastąpi zmiana programu, bo stary umiem już na pamięć".

Wieczorek nie miał szczęścia, i gdy w kwietniu 1936 roku wychodziłem z Berezy, ciągle jeszcze tkwił w obozie. Przy odejściu powiedział mi, że zna jeden tylko sposób na wydostanie się z Berezy: wstąpienie do OUN. Inspektor Kamala uważał Wieczorka za swego wroga nr 1. Policjant ten był niewyczerpanym źródłem anegdót na temat swego szefa i, być może, koledzy donosili o tym Kamali. Gdy stan obozu zmniejszył się do czterdziestu ludzi, Wieczorek wybierał "starą gwardię" z 1934 roku, prowadził niby do pracy, przeważnie do rąbania drew, co zawsze odbywało się w którejś z pustych izb, przy czym należało opowiadać wesołe kawały. Kurs miały nawet przestarzałe wice. Rzecz prosta, Wieczorek nie zapominał stawiać pytań w rodzaju: "Dlaczego muchy siadają na stole?"

To dziwne: Bereza Kartuska, jak to już pisałem, nie była przecież żadnym miejscem wypoczynkowym i została ciemną plamą na polsko-ukraińskich stosunkach. A jednak, trudno mi przypomnieć sobie nazwiska notorycznych sadystów, jak nprz. syna dyrektora gimnazjum w Tarnopolu, natomiast pamiętam doskonale takiego Rysia. Był on naszym pierwszym dozorcą przy pracy na szosie i pod jego kierownictwem 150 ludzi zbudowało w ciągu trzech miesięcy pół kilometra drogi, która też rozlażała się wraz z pierwszymi jesiennymi slotami tego roku. Rysia stać było na odwagę nawymyślenia koledze-policjantowi za brutalne zachowanie się wobec więźniów, za co zwykle szedł do paki. Albo znów taki Nowak — był to prawdziwy Nowak, bo poza służbą całymi godzinami grywał na skrzypcach. Po cóż ukrywać prawdę! — nawet lubiono go powszechnie. Nowak nie narażał się, jak Ryś, ale zawsze zachowywał się poprawnie wobec wszystkich bez wyjątku więźniów. Wieczorek nie lubił Żydów, zwłaszcza podkreślając swą antypatię do Żydów-komunistów. Nowak znowu w jednym nie mógł sobie odmówić przyjemności: w wydawaniu rozkazów i komendy głosem obliczonym na przerażenie. Ten prawdziwie inteligentny człowiek chciał najwidoczniej podkreślić w ten sposób całą absurdalność takiej instytucji, jak obóz w Berezie Kartuskiej.

Wspomniałem już nazwisko Rafałowicza. Ten również miał biało-niebieski sznurek. Był to młody jeszcze człowiek. Zaraz na wstępie sprecyzował w dosadny sposób, jaki jest jego stosunek do Berezy, i postępował zgodnie w tym oświadczeniem. Rafałowicz zwykle otrzymywał niewielką grupę więźniów do pracy lub do suszenia bielizny. Sam kładł się na trawie i zasypiał, uprzedzając, by go obudzono, gdy zjawi się któryś z oficerów lub ich zauszników. Rafałowicz miał słabość do Żydów. Zwykle zabierał się ze swoją grupą Żyda-komunistę z Warszawy, Feldbluma, i oddawał mu komendę. Ceremonia wyglądała następująco: "Feldblum przy wojsku był?" "Tak jest, panie komendancie!" "Jaki miał stopień?" "Kaprala, panie komendancie!"

"Strzelać umie?" "Wyborowy strzelec, panie komendancie!" "Feldblum, wzięć karabin i pilnować mi tych wywrotowców!" Feldblum brał karabin i odgrywał rolę policjanta z prawdziwie warszawskim humorem. Rafałowicza wkrótce zwolniono z Berezy i, zdaje się, w ogóle z policji, zaś zwrot — "panie komendancie" — pozostał w oficjalnym użyciu do końca Berezy. Używaliliśmy go z wielką satysfakcją i dziwić się jedynie należy, że nikt z posiadających władzę w Berezie nie zorientował się co do całej niewłaściwości tego zwrotu, który powstał w nieco godniejszych warunkach: na szlaku Pierwszej Kadrowej w 1914 roku.

Życie więźniów unormowało się dość szybko. Nasi dozorczy również zorientowali się po niedługim czasie, że nadawanie "stylu" należy do nas. Nprz. sakramentalne "biegiem" wykonywaliliśmy z taką precyzją, że, gdy istotnie chodziło o pośpiech, policjant dodawał: "Ale nie biegiem, psiakrew!" Byli wśród policjantów i tacy, którzy, pragnąc podkreślić swój ludzki do nas stosunek, proponowali nam chleb i inną żywność, przy czym wielką była obraza, gdy głodny więzień ostro odmawiał. Powstało wreszcie coś w rodzaju "dyplomatycznego porozumienia", mianowicie więźniowie kradli chleb, zaś policjanci udawali, że tego nie dostrzegają. Pewnego razu nastąpił wpadunek. Więźniowie otrzymywali czarny chleb, policjanci — biały. Przy kontroli wyszło na jaw, że czarnego chleba wychodzi, zgodnie z rozrachunkiem, natomiast białego przypada po trzy kilogramy dziennie na policjanta. Wobec tego zabroniono więźniom wstępu do piekarni, ale i tak konsumpcja białego chleba przewyższała wyznaczoną normę.

Inną nowością, wprowadzoną już przez samych więźniów, stała się specjalizacja. Pierwszym specem został inż. M., uznany oficjalnie za obozowego inżyniera. Swoje pomiary prowadził niezwykle skrupulatnie, gdyż, jak zwykły mawiać, "dobrą pracę należy szanować". Ja osobiście zostałem "specjalistą" od łaźni i dezynfekcji, posada, którą pozostawił mi mój poprzednik, inżynier B., wtajemniczywszy mnie uprzednio we wszystkie zawodowe tajniki. Kiedyś zajrzał do łaźni inspektor Kamala i zapytał, czy para wodna może spowodować wybuch kotła. Żadnego kotła tam nie było, prócz wielkiego baniaka do grzania wody. Zrobiłem mu cały wykład teoretyczny z powołaniem się na wszelkie zasady termodynamiki. Z graficznego przedstawienia cyklu Carnot'a inspektor zrezygnował, ale następnego dnia podał w porannym rozkazie, że "aresztant W. jest odpowiedzialny za łaźnię i dezynfekcję, i że nikomu innemu nie wolno dotykać żadnego kranu. Wszyscy mieli wielką frajdę, a Rafałowicz nie odmówił sobie przyjemności złożenia mi wylewnych gratulacji. Właściwie wszyscy stali się w obozie specjalistami. śp. Tymczysz został murarzem i dłubał dziury w ścianach, podobno potrzebne dla jakichś rur czy przewodów; potem inż. M. na podstawie swoich pomiarów dochodził do wniosku, że dziury

należy ponownie zamurować, co równie powoli wykonywał tenże Tymczij. Śp. Hrycaj został brukarzem i we wszystkich kierunkach przeprowadzał brukowane ścieżki. B. z Krzemieńca awansował na szklarza, wyjmował szyby z jednych okien, by je wstawiać do drugich, a ponownie szklić puste ramy. W wolnych zaś chwilach dekorował policyjną świetlicę w stylu Butowycza. Wkrótce Bereza zaludniła się "specjalistami" i z dawnych "wywrotowców" nie pozostało ani śladu. Nie, jeden nim pozostał aż do samego uwolnienia. Był to chłop z Sokalszczyzny, stary, sześćdziesięcioletni działacz "Proświty". Kiedyś, powracając z pracy dość późno, potknął się w korytarzu o wystawiony kociołek z kaszą i wywrócił go; w konsekwencji nazywano go aż do końca Berezy "wywrotowcem".

W międzyczasie specjalizowałem się coraz bardziej i zostałem "kowalem". Wyglądało dość zabawnie, gdy na rozkaz: "Kowale wystap!" — wychodził przed szereg dwumetrowy Łysiuk z Kowla i ja. Starszy przodownik, komendant bloku, przyglądał się naszej parze spoje i pokaszliwaniem usiłował pokryć zmieszanie. Ale ceremonia, ceremoniałem, pozostałem na posadzie kowala, gdyż na uwagę st. przodownika — "Wygląda za słaby na kowala..." — inspektor Kamala odpowiedział: "Kuźnia znajduje się w sąsiedztwie łaźni". Któż miał dawać dalsze wyjaśnienia? Jedynie Wieczorek zdobył się na uwagę, że w kuźni pali się węglem, węgiel potrzebny jest do wytwarzania pary, zaś łaźnia bez pary nie może istnieć.

Kuźnia znajdowała się tuż obok jednego z zewnętrznych posterunków i do pilnowania nas przydzielano zwykle policjanta z pistoletem maszynowym, o nazwisku, zdaje się, Malarczyk. Swoją specjalność od broni maszynowej Malarczyk brał równie poważnie, jak my nasze kowalstwo. Często rozbierał w kuźni swój pistolet, ucząc nas, jak należy go składać i z niego strzelać. Były to dla mnie pierwsze lekcje obchodzenia się z bronią maszynową. Na moją prośbę Malarczyk zrobił szereg zdjęć "rodzajowych" z Berezy, wyłącznie niecenzuralnych, zgadzając się ze mną, że jest rzeczą konieczną zachować te zdjęcia dla historii.

Reedukacja policjantów w Berezie sięgała aż do podstaw. Przypominam sobie, że przed odejściem grupy policjantów, wyznaczonych na stację do Ziemi Czerwieńskiej, poszczególni policjanci odwoływali nas na stronę, usprawiedliwiając się i bezzatając inicjatorów Berezy. Policjant Oliwka, który dał się we znaki wielu więźniom, wywołał mnie, inżyniera Krawcewa i śp. Tymcziję do tajni i prawie ze łzami w oczach usprawiedliwiał się, mówiąc, że jedynie wykonywał rozkazy. Tymczij go pocieszał, ale Oliwka po tych pocieszeniach stał się jeszcze markotniejszy. Krótko mówiąc, sam pomysł obozu koncentracyjnego był poroniony, gdyż policjanci, wyznaczani do Berezy, całkowicie się do tego nie nadawali. W większości było to ludźmi w policyjnych mundurach.

Z perspektywy kilkunastu lat, wiele tragicznych chwil wygląda zupełnie inaczej, tym bardziej, że przyszły po nich przeżycia jeszcze tragiczniejsze. Moi towarzysze z Berezy zgodzą się ze mną, że nie przyjmowaliśmy wówczas żadnych heroicznych póz w otoczeniu, które tego w żaden sposób nie wymagało. Nasza moralna przewaga nad oficjalnymi panami położenia była tak oczywista, a niechęć przeciwnej strony do stawiania na kolumny obrońców "całości i niepodzielności" tak widoczna, iż nikt nie może dziwić się, dlaczego Bereza nie stworzyła żadnej legendy. Nic też dziwnego, że wyszło stamtąd tyle tang i fox-trotów. To także miało swój styl. Pozbawienie wolności odczuwaliśmy bardzo boleśnie, ale czyż można było brać tragicznie całą imprezę, jeśli jej główni inicjatorzy robili wszystko, aby ośmieszyć samych siebie. Bardzo szybko Grefner przestał imponować, a zresztą on sam nie omieszkiał "zabezpieczyć się" na wszelki wypadek. On pierwszy zaczął robić różnice między przywódcami OUN-u i ogółem więźniów, puszczając mimo uszu donosy swych hajduków na temat "spisków", "nauczania w nacjonalistycznym duchu" itd. Odnosiłem wrażenie, że przy całym swoim sadyzmie ten diabeł był zwykłym tchórzem. Nic więc dziwnego, że policjanci również unikali stawiania ludzi do raportów za "intelektualne przestępstwa".

A panowie z Warszawy? Zdaje się, że ci w ogóle nie wiedzieli, co robić z tym fantem. Takich rzeczy, jakie działy się w Brześciu, w Berezie nie było. Wspomniany już syn dyrektora polskiego gimnazjum w Tarnopolu, który w mundurze policjanta chciał odrobić to, czego nie umiał osiągnąć w mundurku uczniowskim pod ręką swego taty, próbował naśladować Kostka-Biernackiego swoimi interwencjami w klozetach. Ale i to skończyło się bardzo szybko. Miałem właśnie kolejny dyżur w ustępie i dyrektorski syn stał nade mną podczas płukania wiadomego naczynia. Rzecz zrozumiała, że we własnym interesie robiliśmy to bardzo starannie, ale, gdy policjant oświadczył, że naczynie śmierdzi, zaproponowałem mu, by go powąchał, co też uczynił. Ceremonia mycia i wachania powtarzała się wiele razy. Ponieważ akcja ta była skierowana przeciw mnie, cała dyżurna grupa wraz z policjantem pilnie śledziła ceremoniał. Dopiero za piątym czy szóstym razem st. posterunkowy zorientował się, że wszyscy przyglądają się jego ruchom przy wachaniu, i czerwony na twarzy, wyszedł z ubikacji.

Rzecz prosta, do raportu mnie nie postawił, gdyż nie był na tyle głupi, by wystawiać się na śmiech. Za to Wieczorek zaczął używać jeszcze jednego "służbowego" zwrotu: "Czy pan komendant już wachał?"

W listopadzie 1934 roku przyjechał do Berezy szef Departamentu Bezpieczeństwa przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Był to elegancki panek około czterdziestki, o wykwinnych manierach. Zapraszał do siebie po kolei najbardziej znanych

działaczy podziemia. Byłem dość daleko na liście i miałem czas zaznajomić się z atmosferą tych "tête-à-tête". Gość z Warszawy przyjął mnie sam w kancelarii komendanta bloku i poprosił, bym usiadł. Chciałem stwierdzić identyczność tego warszawskiego gościa i przeprosiłem go, że muszę ograniczyć się do tytułowania go po prostu "pan", gdyż nie znam jego stanowiska ani godności. Dygnitarz zaśmiał się na moje dyplomatyczne zachody i odpowiedział, że mimo wszystko zachowa incognito, rewanżując się jednak w ten sposób, że i do mnie będzie mówił per pan, z pominięciem nazwiska. Protokółowi stało się zadość.

Gość z Warszawy przystąpił od razu do rzeczy, zaglądając co chwilę do grubego maszynopisu. Exposé trwało blisko godzinę i ja nie przerywałem mu ani jednym słowem. Od razu zorientowałem się, że — niewiädomo dlaczego — identyfikuje mnie z doktorem Martynćem z Pragi. Podał mi cały "mój" życiorys, działalność, podróże, pseudonimy, przy czym nie szczędził sensacyjnych informacji policyjnych, dotychczas mi nie znanych. Wreszcie, gdy już uznał, że wykazana przezeń znajomość działalności OUN powinna mnie być "wykończyć", zapytał: "I cóż pan na to?" Odpowiedziałem, że nie mogę wypowiedzieć się w tej sprawie, gdyż od samego urodzenia nigdy doktorem Martynćem nie byłem. To była p o i n t e 'a i po krótkim milczeniu urzędnik zakończył rozmowę słowami: "A bodaj pana szlag trafił!" O mojej osobie mowy już nie było i dalszych "tête-à-tête" nie urządał. Po jego wyjeździe zwiększono nam raczej żywnościowe.

Ukoronowaniem systemu, stworzonego przez inicjatorów Berezy, była obozowa biblioteka. Najwidoczniej jakiś ministerialny rabin wyobraził sobie, że z ukraińskich nacjonalistów można zrobić polskich patriotów w bardzo prosty sposób, a mianowicie przy pomocy propagandowej literatury. W bibliotece, z której można było korzystać tylko w niedzielę, polska literatura niepodległościowo-rewolucyjna znajdowała się niemal w komplecie. Administracja obozu była zachwycona naszą pilnością w studiowaniu tych książek, wśród których nie brakło pełnego wydania dzieł Piłsudskiego. To zupełnie tak, jakby złodziejom na czas ich pobytu w więzieniu dano do dyspozycji fachową literaturę. Nic dziwnego, że niektóre książki czytane były przez podziemnych działaczy po dwa i trzy razy. I czyż po tym wszystkim można dziwić się, że policjanci napraszali się u więźniów wychodzących na wolność, by ci pozwolili im, oczywiście poza służbą, odprowadzić się na stację?

Myślę, że udało mi się uzupełnić obraz Berezy z nieco innej perspektywy, która wymowniej, niż opisy wszelkich ekscesów, wyjaśnia dysproporcję moralnych sił obydwu walczących stron.

E. WRECIONA.

(Tłum. z ukraińskiego Józef ŁOBODOWSKI).

Klub trzeciego miejsca

Zgadzam się z majorem Polejka

"Gdy dwóch mówi to samo, to nie jest to już to samo".

"Nie łudźmy się, panowie — dowodziłem z siłą przekonania właściwą dopiero co osiągniętej pełnoletności — że sojusz Hitlera ze Stalinem, to małżeństwo koleżeńskie zawarte na parę miesięcy czy choćby na parę lat. Dla obu partnerów był to zbyt wielki, zbyt trudny odskok od dotychczasowej polityki, zbyt poważne konieczności musiały ich do tego skłonić, abyśmy mogli sądzić, że chodziło tylko o jakiś chwilowy "bluff" z jednej czy z drugiej strony. Anglia wspomagana przez Amerykę, to dosyć jak na jednego Hitlera. Szaleństwem by było z jego strony pchać się na Rosję, przynajmniej zanim nie upora się on z Anglią. Raczej zgodziłbym się już z przypuszczeniem, że to Stalin uderzy na Hitlera, powiedzmy — wtedy, gdy Niemców spotkają pierwsze niepowodzenia. No, ale na te niepowodzenia wcale się nie zanosz. W tej chwili sojusz rosyjsko-niemiecki daje Niemcom i Rosjanom to czego im najbardziej potrzeba: Jednym — ropę i żarcie, drugim — pokój. Pokój, to znaczy możliwość nabrania sił, które będą potrzebne w chwili podziału łupów po bardzo prawdopodobnym pobiciu Anglii przez Hitlera i przy zawieraniu jakiegoś kompromisowego pokoju z Ameryką..."

Tak się zatokowałem, że nawet nie zauważyłem, jak się robi koło mnie pusto; od owej chwili najlepsi koledzy zaczęli ode mnie stronić, po baraku poszedł szept, że "albo wariat albo kapuś". Działo się to jesienią 1940 r. w "san-gorodku" dla "dochodiagów". Znaczny ich odsetek stanowili Polacy, których delikatne organizmy nie mogły znieść atmosfery socjalistycznego współzawodnictwa i z reakcyjnym uporem odmrażały swe kończyny przy głupich kilkudziesięciu stopniach mrozu, jak mawiał nasz "wospitatel". Choć gazet nie było, tenże "wospitatel" zdążył już nas z nietajonym zadowoleniem uświadomić o upadku Francji i z dnia na dzień przepowiadał zajęcie Londynu.

Polskie "dochodiagi" puchły, ropiały, pluły krwią, dogorywały i — wierzyły. Niezłomnie, uparcie, *contra spem*. Że wiosna lub lato, a najpóźniej już wrzesień (notariuszowi z Mołodeczna

śniły się samoloty z białoczerwonymi znakami uformowane w kształt liter: W-R-Z-E-S-I-E-N) przyniesie nam wolność. Że Hitler uderzy znielacka na Stalina. Że Stalin zaskoczy Hitlera. Że alianci pogodzą się z Niemcami i pójda razem z nimi na Rosję. Że dojdzie do sojuszu angielsko-sowieckiego. Że w Niemczech będzie rewolucja. Że w Rosji. Że ofensywa ruszy od stro-ny Persji (nafta, panie, rządzi światem). Że od Japonii przez Syberię. Że przez Alpy na Kraków. Że w całej tej wojnie chodzi o otwarcie rynku rosyjskiego dla kapitału. Że Żydzi, Że papież...

W czerwcu Hitler uderzył na Stalina, we wrześniu wyszliś-
my na wolność. "Oni mieli rację, choć ich optymistyczne prze-
powiednie (było ich zresztą tyle, że szansa trafienia na jedną,
która się sprawdzi, musiała, być spora) opierały się na prze-
słankach wprost żadnych, niepomiarne słabszych od kruchych,
ale bądź co bądź nie całkiem bzdurnych, przesłanek mojego pe-
symizmu.

Z bajki nauka: Nie zawsze czarnowidztwo jest ostrowidztwem
i nie zawsze myślenie pod prąd prowadzi do słusznych wniosków.



Dawno już nie czytaliśmy po polsku tak pobudzającej rozpra-
wy (także od: "rozprawiać się z czymś") jak "Klub Trzeciego
Miejsca". Należy ona do tych rzeczy, po przeczytaniu których
człowiek nie poprzestaje na chwilce zastanowienia, na west-
chnieniu: "mój Boże, jakie to miłe (ciekawe, mądre...), albo:
"ale mu dał bóbula!", ale zaczyna chodzić po pokoju, potykać
się o stołki, palić papierosa za papierosem. Czuje, jak mawiał
Irzykowski, że mu ktoś meble w głowie przestawia. Redaktor
"Kultury" powiada, że "świetne i wstrząsające studium M. Wań-
kowicza zajmie niewątpliwie jedno z czołowych miejsc w lite-
raturze narodowej". Może to trochę za dużo, jedno wszakże
jest pewne: gdyby nasi liczni publicyści emigracyjni (myślę o
szeregowych, nie kilku czołowych) nic innego nie robili tylko
rozwijali myśli tego literata "bez temperamentu politycznego"
lub z nimi dyskutowali, mieliby dość tematów na długi, długi
czas i bardzo by podnieśli przez to przeciętny poziom naszej
prasy na emigracji.

Redakcja "Kultury" nie po to jednak otwiera dyskusję nad
rozprawą Wańkowicza, abyśmy mu prawili same dusey, choć
to może i wdzięczniejsze byłoby zajęcie niż polemika. Miałbym
np. ochotę na mały szkic literacko-krytyczny o tym, jak cel-
nie Wańkowicz posługuje się anegdotą, albo jak się to dzieje,
że jego polszczyzna nic a nic nie ucierpiała na tyloletnim oder-
waniu od gleby. Polemizować zaś — jest bardzo trudno. Nie
tylko dlatego, że, jak Wańkowicz sam mówi, "list" jego ma
luki myślowe, że cechuje go obrazowy styl pisania, (powiedział-
bym nawet: mozaikowy styl myślenia), że obfituje w momenty
osobiste... Przede wszystkim z powodu rozległości i rozpiętości
spraw w nim poruszonych, potrąconych, muśniętych. Dyskutuj
tu z... panoramą!

Nie czując się na siłach do dyskusowania punkt po punkcie
spornych dla mnie twierdzeń Wańkowicza, chciałbym się ogra-
niczyć po postawieniu mu jednego, dość istotnego dla przyszło-
ści całej dyskusji, zarzutu dotyczącego metody, przy pomocy

której, jak mi się wydaje, autor dochodzi do swych wielokrot-
nie słusznych, ale i nieraz ryzykownych tez. Otóż **podejrzewam**,
bo dowieść tego nie byłbym w stanie, że Wańkowicz popełnia
tu, na wyższym oczywiście poziomie, ten sam grzeszek, w jaki
ja wpadłem w jesieni 1940 r. **Z czarnowidztwa i myślenia pod
prąd robi metodę** — "pod-prądyzm". Powiedzmy to krótko i
węziłowo, może nawet trochę niegrzecznie: Podejrzewam, że
Wańkowicz nie dlatego np. przewiduje zwycięstwo Rosji, bo to
jest nieuniknioną konsekwencją wyteżonej rozpoznawczej pracy
jego myśli, ale dlatego, że ogromna, jak w stalinowskich plebi-
scytach — 99%-wa, większość jego rodaków z p. Prztyprztykim,
z majorem Polejką*), z oboma poetami B. — pragnie klęski So-
wietów, uważa ją za jedyny dla nas ratunek i w nią wierzy. Nie
potrafię powiedzieć, kto w tej sprawie ma rację: Wańkowicz
czy Polejko, ale też nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż autor
"Klubu Trzeciego Miejsca" dorabia przesłanki do wniosków, co
nie znaczy niestety, że wnioski muszą być mylne.

Na jakich poszlakach opieram ten zarzut?

Gdyby, jak się to robi w dziełach naukowych, do rozprawy
Wańkowicza dodać indeks poruszonych zagadnień, to skrowidz
taki rozpoczynający się od Armii Krajowej, Ameryki, Andersa,
Andrzejewskiego, Anglii, Apokalipsy, atomowej bomby, Atylii i
autokratyzmu, a kończący się na Zachodzie, Z.S.S.R., Związku
Pisarzy, żelaznej epoce, Żydach i Zymierskim — zająłby kilka
bitych stron. Otóż nie łatwo mi uwierzyć, by nawet pisarz tego
formatu co Wańkowicz, ale zajmujący się historią i publicysty-
ką tylko dorywczo, mógł takie mnóstwo zagadnień na prawdę
solidnie przestawić, w każdej sprawie mieć mocno podbudowa-
ne, a przy tym zazwyczaj odbiegające od utartego, zdanie.

Wydaje mi się znamienne, że w wielu wypadkach, kiedy Wań-
kowicz ma bezspornie rację, argumenty jego są zadziwiająco
słabe. Takie wrażenie robią np. jego "niezmiernie proste prze-
słanki" prowadzące go kiedyś do wniosku, że druga wojna świa-
towa potrwa sześć lat (str. 11). Dlaczego nie — pięć albo sie-
dem? Trwała sześć, ale opieranie, mniejsza o to, że **ex post** —
tej pewności na kalkulacji biorącej pod uwagę cyfrowy tylko sto-
sunek zmagających się koalicji w pierwszej i drugiej wojnie
(Ameryka czy Włochy w tamtej i tej wojnie, to zupełnie inne
wielkości) traci Ossowieckim. Albo czyż na twierdzenie, że dziś
w kraju "przetaczanie krwi wyzwala niespodziewanie wiele uta-
jonych sił, do których wyzwolenia na próżno wzywał autor
"Przedwiośnia" (str. 21), nie ma na prawdę mocniejszego do-
wodu niż "rewelacyjny" spadek liczby samobójstw? Jeśli nawet
pominąć nieufność do statystyk obecnego reżimu, ten spadek
nie musi się tłumaczyć tak prosto, jakby chciał korespondent
Wańkowicza, któremu pisarz chyba przytakuje. By znowu sięg-
nąć do wspomnień "łagiernych", nikt w polu mego widzenia i
słyszenia nie popełnił w łagrze samobójstwa, choć żadne się tam
utajone siły nie wyzwalały, a sposobności nie brakło, jako że
w przeciwieństwie do więzień, w których konfiskowano szelki,
sznurowadła i sprzączki, w obozie można było dojść nawet do
posiadania brzytwy. Ludzie odbierają sobie życie, gdy jest im

*) Z "Podróży na horyzonty" Z. Florczaka.

źle, natomiast kiedy jest im **bardzo źle**, kurczowo się go nieraz trzymają. Komu by tam w głowie były tragedie miłosne!

Wreszcie — sprawa, którą poruszam z dużym wahaniem. Niemal każdy z mych znajomych, którzy czytali studium Wańkowicza, wykrywał tam różne "sprzeczności". Temu się zdawało, że rozdziały "Arogancja wobec Anglików" i "Kompleks niższości" wobec tychże Anglików przeczą sobie, tamten zwracał uwagę, że nie łatwo pogodzić opinię o "rozhisteryzowanej" Ameryce z licznymi przytoczeniami wyjątkowo trzeźwych opinii wygłaszanych właśnie przez amerykańskich specjalistów, ów nie bardzo rozumiał, jak w parze z uwagami o "historycznym Polaku" (str. 46 i 47) może iść hasło: w wojnę nie lećcie... Cała bieda w tym, że te i inne "sprzeczności" w wywodach autora, mogą być właśnie odbiciem sprzeczności tkwiących w samym materiale. Poza tym: słusznie mówi Wańkowicz, że luk myślowych nie ma tylko w komunach: dodajmy, że także — "sprzeczności". Nie mniej jednak sądzę, że są i pewne sprzeczności zbędne. Dla przykładu: przypisek o gen. Andersie, nawiasem mówiąc, utrzymany w bardzo szlachetnym tonie, trochę się przecież kłóci z ostrą krytyką przegranych takich spraw, jak pomoc wrześnieowcom, jak dwustronna umowa demobilizacyjna, jak przekazanie Funduszu Społecznego, na które to sprawy, jak niewtajemniczonym sądzić chyba wolno, gen. Anders nie był pozbawiony wpływu.



"La vraie façon de ce trouver, c'est de marcher toujours à contre-courant" — napisał kiedyś Daniel Rops. Wnioskuję nieśmiało małą poprawkę: nie **zawsze**, raczej **zazwyczaj**. Czasem bowiem myślenie pod prąd, gdy staje się jedyną lub główną metodą, nie różni się niczym od przekory. Niekiedy prawda skryta przed umysłami samotnych myślicieli objawia się tłumowi maluczkich. Zdarza się, że w tej czy owej sprawie panowie Prztyprztycki, Polejko i notariusz z Mołodeczna mogą mieć słusność wbrew Wańkowiczom, Florczakom i bliskim. To samo odnosi się do czarnowidztwa, które u nas, przy naszym powszechnym, samobójczym optymizmie, pokrywa się bez reszty z pod-prądyzmem.

Z bogatej Wańkowiczowej kolekcji pod-prądowych opinii wybieram dla przykładu trzy sprawy, w których chciałbym stanąć po stronie majora Polejki, co oczywiście nie znaczy byśmy mieli przyjąć jego sposób myślenia, czy raczej — bezmyślności.

Zabawmy się w udratyzowanie tego sporu pod-prądowców z opinią większości, uosobioną — nie bez uproszczeń — w postaci Polejki:

Kopać w Anglii czy w Polsce

Wańkowicz: "...Górnikom mówiłem, że lepiej kopać w Polsce niż w Anglii..." (str. 64).

Polejko: "Przejadł ci się boczek angielski, jedź gryźć korę w "Polsce": Obrzydło ci "God save the King", pokrzyżysz sobie do woli: "Niech żyje Najjaśniejszy Obywatel Prezydent Bierut". Będziesz kopał 16 godzin na dobę, a co wykopiesz, prościutko

pojedzie do Sowietów. Jeśli zresztą w ogóle zamiast na Śląsk nie trafisz wprost na Kołymę. Poza tym: na wiosnę się zacznie, przekujemy kilofy na miecze itd.

Wańkowicz (mógłby na to odpowiedzieć): Na wiosnę nic się nie zacznie. Więzienia безпеکی są pełne, ale nie wypełniają ich górniczy. Z wywożenia na Sybir robią w kraju skecze (zob. reportaże Janty). Po spłaceniu haraczu, część węgla idzie jednak na odbudowę. Pokolenia równie dobrych Polaków, jak Pan, Panie Majorze, śpiewały "Boże caria chrań" i "...Przy cesarzu mile włada cesarzowa pełna łask..." bez żadnej ujemy dla swego honoru. Pomijając emigracje po-powstaniowe, kto w XIX wieku, w okresach najgorszego nawet ucisku, dobrowolnie opuszczał kraj, aby "nie żyć w niewoli", choć wielu mogło to zrobić, bo świat był wtedy otwarty? Czy Pan na prawdę w to wierzy, że w Polsce ciastka jedzą tylko pepeerowcy?

Autor (próbuję zająć "trzecie miejsce"): Tadeusz Nowakowski słusznie wytknął nam w jednym ze swych artykułów w "Życiu" głupi nawyk myślowy wyrażający się w przeciwstawieniu: Emigracja — Kraj tak jakby 50% Polski było tu a 50% tam. Cała Polska jest tam. "Ich" są miliony, "nas" tysiące. W tej perspektywie powrót do kraju garstki górników, inżynierów czy lekarzy nie ma istotnego znaczenia dla wydobycia węgla, dla odbudowy, dla zdrowotności. Dają sobie radę bez nas. A my jednak mamy tu do spełnienia pewną misję, o czym za chwilę. Ale nie tylko to.

Najlepszym ujęciem tego co robią bolszewicy, wydaje mi się rzucone kiedyś mimochodem przez Józefa Czapskiego zdanie: "Stalin buduje nową "egipską" cywilizację". Nie **zbudował**, ale **dopiero buduje**. My tymczasem jesteśmy skłonni do patrzenia na Sowiety jak na dzieło dokonane, potworne, ale nie zmieniające się już na gorsze. Nie mówmy o Polsce, która dopiero przeżywa swoisty N.E.P., ale nawet "na nieludzkiej ziemi" rosyjskiej istnieją jeszcze ciągle spore marginesy **ludzkości**. Są wprawdzie miliony niewolników budujących nowoczesne piramidy^{*)}, są metody śledcze zdolne złamać już nie tylko Rubaszowych, ale nawet Midszentych, jest sowiecka **hitlerjugend**, jest "doublethink" — mimo to jednak daleko jeszcze bolszewikom do urzęcowistnienia ponurej wizji Orwella, oczywiście w innym, mongolskim, nie anglosaskim stylu. Na niektórych odcinkach już Hitler wyprzedził był Stalina. Nie ma jeszcze w Rosji zorganizowanej nienawiści odpowiadającej hitlerowskiemu żydożerstwu (choć słyszy się już o idących z dołu i z góry nastrojach antysemitycznych), a zorganizowana **miłość** do wodza ciągle jeszcze znajduje wyraz raczej zewnętrzny i narzucony, w monstualnych wąsatych ikonach, niż wewnętrzny i samorządny — w sercach fanatycznych rabów. Ale już żołnierz czerwonej armii nie dający sobie przewiązać arterii, bo "nas mnogo", jeśli wzgardził życiem w imię idei, to — nie w imię idei ludzkiej. Takie "idee" mogą się rodzić tylko w kopcu termitów.

"Ludzi, dla których imponderabilia są droższe nad życie widziałem przy umieraniu polskich żołnierzy... Sawczuk umierał

^{*)} "Pod każdym progiem położę człowieka, ale linię kolejową wybuduję do jesieni" — miał się wyrazić naczelnik "Workutstroju".

pewny, że mu nie zostanie odjęte jego najdroższe impoderabillium — dusza” — pisze Wańkowicz (str. 27 i 28). Czy namawiając braci, kolegów, a zwłaszcza synów Sawczuka do powrotu, Wańkowicz był pewny, że im to “najdroższe imponderabillium” nie zostanie odjęte? Że gdy przyjdzie im kiedyś umierać — w najlepszym razie — “w grenadzkim powiecie”, znając wtedy jeszcze w sobie inne słowa niż tylko “nas mnogo”?

Niech każdy, kto myśli o powrocie teraz do kraju, a zwłaszcza ten, kto do powrotu namawia, odczytuje sobie co wieczór jeden urywek z tak obfitej już literatury o okrucieństwach hitlerowskich, tej literatury, której już rzekomo “mamy dosyć”. Powiedzmy — wstrząsającą opowieść J. Mackiewicza “Ponary-Baza”. Parę stron zaledwie. Daleki jestem od demagogii stawiającej znak równania pomiędzy zbrodniami hitlerowców i stalinowców. Siedziałem w sowieckim łagrze i porównując to co przeżyłem z relacjami Morcinka czy Szczuckiej nie mógłbym twierdzić, że “to było właściwie to samo”. Ale w łagrze “kolegowałem” z pewnym Żydem niemieckim, który przed wojną był parę miesięcy w osławionym Dachau. Skazany w 1939 na osiem lat za przejście Bugu, dość rzewnie wspominał panujący w niemieckim obozie “porządek”, higienę, margarynę i marmeladę. Na pewno nie łatwo by mu było uwierzyć, jak w ciągu mniej niż dziesięciu lat hitlerowcy “udoskonali” swe metody “likwidacji niepożądanych elementów”, tak samo jak nam dziś brak wyobraźni, by zgruntować otchłań, w jaką za parę lat może się jeszcze stoczyć nieludzka ziemia i jej nieszczęśni satelici.

Sprawa “misji”

Polejko: Pozostajemy na emigracji, aby trwać na posterunku, zaświadczać swoim istnieniem, stanowić żywy protest, nie dać zabić się sumieniu świata, ot co i basta!

Wańkowicz: Wszelkie fikcje lubią mieć akcesoria. Chłopcy polujący na Komanczów noszą indyjskie pióropusze. Emigranci — w dziewięciu dziesiątych ludzie, którzy albo nie mogli, albo nie śmieli wracać, albo sądzili, że tu będą mieli lepszy chleb — na gwałt musieli sobie posprawić takie pióropusze. Znane to zjawisko, że brzydka kobieta, której nikt nie chce, tłumaczy, że bez miłości nie chciałaby wyjść za męża, grafoman — że nie może znaleźć wydawcy, bo za nic nie obniży poziomu, zły urzędnik — że nie awansuje, bo nie jest wazelinierem, zły doktor — że nie uprawia blagi, a zły kupiec — bo za nic nie będzie paskarzem.

Dlaczegożby więc pułkownik, urzędnik, którzy nie przydatnego na tę sytuację nie umieją, prokurator, policjant, dwójkarz, pisarz, którzy wracać nie mogą, pan Iks, który wracać nie chce, bo ma tu inną kobietę, pan Irek, który był już na Kółmie i obawia się powtórki, robotnik, który znalazł znośny zarobek, dlaczegożby oni wszyscy nie mieli sobie też stworzyć ideowego uzasadnienia, że pozostają na emigracji, aby... (patrz wyżej...) (str. 56).

Autor (usiłuje rozbroić zaperzających się antagonistów za pomocą dość nieoczekiwanego twierdzenia): Oba ujęcia, choć nie grzeszą nadmiarem precyzji, są w zasadzie słuszne, gdyż

każde z nich ujmuje co innego. “Dlaczego” i “po co” to są dwa różne pytania, a “misja” historyczna nieraz przerasta możliwości rozpoznawcze tych, co ją spełniają. Europejczycy emigrowali do Ameryki, bo dostali gorączki złota, bo im groził stos za nieortodoksyjne wierzenia albo kryminał za długi, bo nie mieli w starym świecie co do gęby włożyć, bo im jakiś agent naopowiadał banialuków o nowej ziemi obiecanej, bo wreszcie mieli tysiąc innych osobistych powodów emigracji... Dziś jednak widzimy, że jechali szlakiem Kolumba (n. b. szukającego drogi do Indii!) po to, by spełnić wielką dziejową misję: przeniesieć cywilizację europejską na drugą półkulę i w szczególności sprzyjających warunkach rozwinąć tam technologiczną stronę tej cywilizacji do takich rozmiarów, że — na złe czy na dobre — zmienia ona teraz oblicze całego świata. To jest tak jak z małżeństwem: człowiek się żeni, bo się zakochał, albo dlatego że ma katar żołądka i stos niepocierowanych skarpetek — ale wstąpiwszy w związki małżeńskie zakłada rodzinę, czyli spełnia szczytną misję nie mającą nic albo nie wiele wspólnego z motywami, które pchnęły go na tę drogę. A dorabianie “nadbudowy ideologicznej” w wyjątkowych tylko wypadkach jest cwaniniactwem. Normalnie jest jedną z najgłębszych potrzeb człowieka. Ładnie wyraziła się Maria Dąbrowska w “Nocach i dniach”: “Biedny człowiek, czemuśkolwiek był służył, chce wiedzieć, że służy czemuś wielkiemu i wiecznemu. I nie wiadomo, co jest większą rzeczywistością: czy wiedzione samolubnym interesem czynny, czy tęsknota ducha, co je usiłuje osłonić ideałami i podnieść do godności obowiązku”.

Nie wiem czy słusznie, za najważniejszy obowiązek emigracji uważa się zazwyczaj robienie propagandy, boć do tego sprowadzają się wszystkie hasła “żywego protestu”, świadczenia “swoim istnieniem” itp. Dużo by się tu dało powiedzieć o tym, jak skłonni jesteśmy przecenić rolę argumentów etycznych w propagandzie, wpływ jej na opinię publiczną i z kolei wpływ opinii publicznej na politykę, wreszcie — nikłe możliwości naszej propagandy nie mającej i bodajże nie mogącej mieć bezpośrednio dostępu do radia, filmu, wielkich dzienników, nie mówiąc już o niedośćwie tej propagandy zarówno “oficjalnej” (wspomina o tym Wańkowicz) jak i nieoficjalnej (dość przypomnieć, że w Anglii spotyka się “ambasadorów sprawy polskiej”, którzy mimo wieloletniego tam pobytu nie raczyli się nauczyć języka tubylców; nie bardzo wyobrażam sobie propagandę na migi). Mimo to wszystko jednak trudno zaprzeczyć, że pozostanie na Zachodzie wielotysięcznych rzesz emigrantów, bez względu nawet na “istotne” pobudki niewracania, miało i ma doniosłą wymowę polityczną. Inaczej np. trudno byłoby sobie wytłumaczyć furie, w jaką wpadają sowieciarze, ilekroć w U.N.O. dyskutuje się sprawy opieki nad uchodźcami.

Z zagadnieniem propagandy kojarzy się sprawa innego zadania emigracji, jakim jest informowanie kraju o sytuacji międzynarodowej, którą tylko stąd, przynajmniej w teorii, można wyraźnie zobaczyć. Utaił się frazes, że emigracja ma być “ustami zmuszonego do milczenia kraju”. Nie mniej ważna jest jej rola jako jego oczu i uszu. Słyszymy dziś często, ile Polskę kosztowało niewłaściwe pojmowanie tej roli przez rządy gen. Sikorskiego i p. Mikołajczyka. Jak się zachować na najbliższym

zakręcie historii, postanowić może tylko kraj, ale obowiązkiem emigracji jest dostarczyć mu elementów tej decyzji, w postaci rzetelnej, trzeźwej, wolnej od "wishful thinking" informacji. Kraj nie może być zdany na czytanie między wierszami prasy sowieckiej w języku polskim, ani na "Głos Ameryki", którego krzykliwa antysowieckość nie powinna przysłaniać faktu, że służy on oczywiście interesom Stanów, rażąco nieraz sprzecznym z naszymi. Do jakich schorzeń doprowadza stałe i wyłączne korzystanie z zatrutych źródeł informacji, można zobaczyć w niektórych artykułach "Tygodnika Powszechnego" na tematy polityki międzynarodowej. Obok dających się po fałszywym tonie dość łatwo rozpoznać chwytów "asekuracyjnych", czytamy tam niekiedy oceny różnie idące po linii propagandy sowieckiej, ale głoszone z takim akcentem szczerości, że niesposób je uważać za jeszcze jeden "diabłu ogarek".

Nie jest także bez znaczenia fakt, że oto po raz pierwszy w swych dziejach Polska wysłała na Zachód, czy raczej na Zachodzie zostawiła, masową, nie elitarną, można by powiedzieć — ludową emigrację polityczną. Nigdy dotąd tylu i tak różnych Polaków nie otarło się tak blisko o ten Zachód, od którego, na przekór naszej megalomanii narodowej, mamy przecież tyle do nauczania się w każdej dziedzinie. Brak porywającej idei do przeciwstawienia komunizmowi, obłudna moralność polityczna i społeczna, niedojrzałość kulturalna Ameryki, wyprzedaż Imperium brytyjskiego itd., itd. — to jedna strona medalu, ale Zachód, to nie tylko to, to także asfaltowe szosy i uregulowane rzeki, elektryczność na zapadłej wsi, fotele w mieszkaniach robotniczych, fantastyczny zbyt mydła^{*)}, szczoteczki do zębów, papieru toaletowego, porady w szpitalach, zastrzyki, szczepienia, sterylizowane smoczki, pasteryzowane mleko, obuci pastuszki, uśmiechnięci policjanci, uprzejmi urzędnicy, dobrze wychowani dygnitarze, zamożni literaci, porządek na przystankach autobusowych, pewność i zaufanie w interesach, "time-saving devices", pasja do szczegółów, zdolność do mądrych kompromisów i tysiące innych rzeczy, których nam tak rozpaczliwie nie dostawało. Jak szary emigrant polski w Anglii tego Zachodu się uczy, a raczej jak nim nasiąka, bo z dobrymi chęćmi do świadomej nauki jest już gorzej — pokazał świetnie Zygmunt Nowakowski w doskonałym artykule pt. Przemienieni kołodzieje^{*)} ogłoszonym nie dawno w "Wiadomościach". Gdy do tego otarcia się o Zachód dochodzi jeszcze oswajanie się z kulą ziemską (iluż to rodaków łatwiej się dziś decyduje na przejażdżkę z Kenii do Kanady i ze Szkocji do Australii niż przed wojną na wyprawę z Piotrkowa do Tomaszewa!) i z warunkami życia dość niezwykłymi i ciężkimi na to, by wyrobiły u emigranta nowe i ważne cnoty, a dość znośnymi na ogół, by nie dały mu się załamać — można zaryzykować twierdzenie, że na emigracji powinien się narodzić nowy typ Polaka, który, gdy i jeżeli Bóg pozwoli przymusowym obywatelom wrócić, przy-

^{*)} Warto tu przytoczyć pyszną przedwojenną fraszkę nieodżałowanego Jerzego Paczkowskiego:

Są dwa poważne powody,
Dla których Polska mi zbrzydła:
Za dużo święconej wody,
Za mało zwykłego mydła.

czyni się walczyć do uzachodnienia i rozruszania Polski, do wyplenienia zaściankowoci i niemrawosci jako naszych cech narodowych wyniklych m. in. z braku okna na swiat, floty, kolonij... Potwierdzenie tych przypuszczen znajduj nieoczekiwanie w czytanej wlasnie ksiazce prof. Stanislaw Pigionia "Z Komborni w swiat", w uwagach autora o tym, ile zycia wniosili do jego rodzinnej wioski reemigranci z "Hameryki".

Kto, mowi, ze zycie umyslowe nie moze sie rozwijac w niewoli i ze wobec tego Bog nam, emigrantom, powierzyl prawdziwa kulture Polakow — popelnia nie tylko to co krewki Waniewicz nazywa "chamstwem wobec kraju", ale i — ogladnie mowiac — grubą niecislosc. Po pierwsze, popularne twierdzenie, ze do rozwoju kultury trzeba wolnosci, przyjac mozna tylko z dosc daleko idacymi zastrzezeniami. Listy sw. Pawla, jeden z filarów kultury chrzescijanskiej, powstaly w okresie przesladowania, a niektore z nich pisane byly w wiezieniu. Po drugie, chocby nawet "Czytelnik" mial juz monopol na wydawnictwa w Polsce, nie zmonopolizuje tak rychlo mysli polskiej, skrytej w nie-napisanych dziełach, moze nawet w niecenzuranych rekopiach, rodzacej sie w ciszy i szukajacej potwierdzenia w nocnych rozmowach, do ktorych podsluchiwanie bezpieka ma za malo (jeszcze?) szpiclow. Po trzecie, jak prawie wszystko na tym swiecie, niewola nie wystepuje nigdy w chemicznie czystej postaci, zawsze sa w niej przymieszki wolnosci; dopoki wiec po uiszczeniu haraczu w postaci milczenia lub nawet prawomyslnych wypowiedzi na pewne tematy, tworcami wolno sie ze wzgledna swoboda poruszac w neutralnym pasie, dzis jeszcze wcale rozleglym, dopoty beda oni wzbogacac kulture narodowa, co oczywiscie nie jest rownoznaczne z jej harmonijnym rozwojem, ale jest rownie dalekie od ponurego obrazu pustyni kulturalnej, jaki w swych notatkach "z Kraju" maluja niektorzy emigracyjni "splyciarze". Ba, dzieki wyjatkowemu zesrodkowaniu najlepszych sil na tym pasie neutralnym, moga sie tam dziazac rzeczy dziwne i podnoszace na duchu. Jeden przyklad: krakowski "Tygodnik Powszechny". O piśmie katolickim w tym rodzaju, na takim poziomie i z takim zespolem, wspolpracownikow, nie mozna bylo nawet marzyc w dwudziestolecu niepodleglosci, a londyńskie "Zycie" redagowane przeciez "w atmosferze wolnosci i swobodnych kontaktow z mysla Zachodu", to prawie ze... "Gazeta Niedzielną" w porownaniu z tym pismem krajowym. Po czwarte, nie wszystko co w dziedzine kultury powstaje pod znakiem marksizmu i "demokracji ludowej" nalezy bez sledztwa wykluczyc z kultury narodowej. Trzeba bedzie zrobic niejeden wyjatke: np. dla prac literacko-krytycznych Andrzeja Stawara, rozumnego "przedwojennego" marksisty, albo dla studiow socjologicznych prof. Chalasinskiego, mimo, ze sie ukazywaly w "Kuznicy", albo dla teatrów objazdowych, dla wieczorow autorskich stolecznych pisarzy na zabitej deska mi prowincji, dla bibliotek wiejskich, w ktorych przecie utworzy czterech ewangelistow komunizmu nie zajma wszystkich polok... Po piate, jako srodek przeciw zarozumialstwu emigranckich frazesowiczow przylozmy do dzieł pisarzy naszych

^{*)} Termin Witkacego, powstaly ze skrzyzowania "sprytu" i "plytkosci".

zagranicą tę surową, ale sprawiedliwą miarę, jaką jeden z rozmówców Pawła Hostowca mierzył wartość niemieckiej literatury, tworzonej przez antyhitlerowską emigrację: — proszę wymienić choć jedną książkę, dla przemycenia której do kraju warto by na prawdę narażać życie!

Dopiero z tymi zastrzeżeniami można mówić o misji kulturalnej, którą emigracja ma do spełnienia i którą zresztą już spełnia na tyle, na ile ją stać. Misję tę trzeba określić skromnie, jak najskromniej, jako — powiedzmy — **uzupełnianie** pracy kraju. W tych zwłaszcza dziedzinach, na których najbardziej ciąży nacisk zabiorcy (myśl polityczna i społeczna, „najnowsza historia Polski”, wiązanie naszej kultury z Zachodem...), zadania, możliwości a nawet osiągnięcia emigracji są bezsporne.

Sprawa nie tylko smaku, ale i... instynktu samozachowawczego

Wańkowicz (wyraża się uszczypliwie o Prezydencie R. P., str. 82).

Polejko (protestuje przeciw szarganiu świętości, uzewnętrzniając swe oburzenie za pomocą nieartykułowanych dźwięków).

Autor (robiąc z dialogu monolog): Rozumiem całą „smakowitość literacką historyjki o dwóch panach „ubraniach w takie krawaty, kapelusze, spodnie, jak właśnie trzeba”, a jednak zapominanie o tym, że jeden z tych panów jest na prawdę, bez cudzysłowu, Prezydentem R. P. uważam za niewłaściwość. Że też my zawsze musimy się miotać między skrajnościami! Albo wszystko jest dla nas święte i nietykalne („Święty LOPP i Święty COP” — jak drwił przed wojną Hemar), albo nic. Szkoda, że Wańkowicz, który okazał tyle zrozumienia dla „nieumówionych a silnych imponderabiliów” angielskich (str. 27), w odpowiedniej chwili nie przypomniał sobie tego pogardliwego wzruszenia ramion, z jakim cała brytyjska opinia publiczna przyjęła nie tak dawno wyskok, stojącego już wówczas nad grobem, H. G. Wellsa przeciw rodzinie królewskiej.

Argumenty, które, ochłonawszy, mógłby wytoczyć major Polejko (że „władza to władza”, że obecny prezydent jest mężem opatrnościowym, że uznaje go przytłaczająca większość Polaków i kilkanaście państw z Watykanem na czele, że gorsząca wojna sukcesyjna po zgonie śp. Władysława Raczkiewicza była tylko objawem warcholstwa partyjników itd.), a nawet najinteligentniejsze argumenty „legalistów” wysunięte swego czasu przez Stanisława Mackiewicz (że urząd Prezydenta R.P. chroni sprawę polską przed wpadnięciem w sidła obcych agencji i że prawdziwa dojrzałość polityczna wymaga czasem ustąpienia nawet wtedy, gdy się ma formalnie rację) — nie trafiają jeszcze, moim zdaniem, w samo sedno zagadnienia, czy się z nimi zgodzimy czy nie. Do tego sedna zbliżył się właśnie Wańkowicz, gdy w innym kontekście zadumał się nad sprawą „pierwotków irracjonalnych”, bez których „ludzie tworzą luźne zbiorowiska, nie zdolne do czynów na wielką skalę”. „L'obeissance de tous à des règles, même absurdes, — stwierdza Bergson — assure à la société une cohésion plus grande”.

Każda społeczność emigracyjna, pozbawiona tyłu przyrodzonych więzi łączących członów normalnych społeczeństw, jest szczególnie zagrożona rozbięciem, dochodzącym często aż do zatamizowania, któremu zapobiec może tylko powszechne przyjęcie kilku prostych reguł, powiedzmy brutalnie: przestrzeganie pewnych „tabu”. Nie obejdzie się tu bez udziału „pierwotków irracjonalnych”, nawet przy regułach opierających się na tak mocnych rozumowych przesłankach, z jakich wywieść można konieczność uznawania p. Augusta Zaleskiego za Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Podobno w Meksyku był niegdyś w modzie pojedynek na pistolety, który staczano w zupełnie ciemnym pomieszczeniu, z tym, że cel wyznaczały tylko ogniki papierosów tkwiących w zębach przeciwników. Tak się to miało odbywać przez dłuższy czas, aż znalazł się spryciarz, który zamiast w ustach, trzymał papierosa to w jednej to w drugiej ręce, to bliżej to dalej od głowy, zmniejszając przez to znacznie szanse swych przeciwników. Nowa metoda przyjęła się wkrótce powszechnie. Rewolucję w tym obyczaju zrobił z kolei pewien sławny zabijaka, który najprościej w świecie (genialne pomysły bywają pono bardzo proste) znów nie wyjmował papierosa z ust, śmiejąc się z kul wysyłanych w kierunku, w którym według reguł poprzedniej metody „mogła się” znajdować jego nieprzeciętna mózgownica. Postępował on więc tak samo jak pierwsi naiwni pojedynkowicze, ale... *si duo faciunt idem, non est idem*. W rozumowaniu swoim doszedł on do tego samego wniosku co oni, ale oparł go na innych przesłankach, na **przewycięzeniu** poprzedniej metody.

W dziejach myśli ludzkiej pełno jest takich pojedynków meksykańskich. Raz po raz zajmujemy jak gdyby na nowo stare stanowiska, które okazały się kiedyś nie do utrzymania, dochodzimy jednak do nich nową drogą: przez przewycięzenie tego, co niegdyś zmusiło nas do ich porzucenia. Oczywiście nie są to już właściwie te same stanowiska. Dlatego nie jest to cofanie się, lecz — rozwój. Naiwny realizm — idealizm — realizm filozoficzny w teorii poznania, romantyzm — realizm — neoromantyzm i „nowy realizm” w literaturze, oto dwa z nielicznych przykładów tych ustawicznych nawrotów w historii kultury.

Wracając się do przenośni o posuwaniu się pod prąd, można powiedzieć, że odpowiada ono drugiej fazie naszego pojedynku meksykańskiego będącej rewolucją, pójsiem pod prąd, w stosunku do pierwszej fazy — naiwnej. „Zgadanie się z majorem Polejką” jest w intencji autora tych uwag fazą trzecią, mającą popchnąć sprawę naprzód. Pójsie pod prąd jest fazą konieczną, ale nie zawsze można i należy na niej poprzestać. Kajakowiec płynący tylko w górę lub tylko ku jej ujściu, nie dozna nigdy uroku dobrze zaplanowanej wycieczki, którą zaczyna się pod prąd a kończy z prądem.

Ograniczywszy się do „metodologicznego” sporu na przykładzie trzech zagadnień wybranych niekoniecznie gwoli ich waż-

ności, z zalem musiałem zostawić na boku centralny problem rozprawy Wańkowicza, a zarazem — najistotniejsze zagadnienie naszej epoki. Jest nim oczywiście to, co optymiści nazywają kryzysem, a pesymiści — zmierzchem cywilizacji europejskiej. W zakończeniu chcę o ten problem potrącić, bo nadarza mi się ku temu wyjątkowa sposobność. Przylapałem mianowicie Wańkowicza na tym, że i jemu się raz zdarzyło... zgodzić z majorem Poleją. Myślę o tym trochę naiwnym, a arcyarmackim, przeobrażeniu, z jakim Wańkowicz na str. 47 żegna wstępującego do klasztoru przyjaciela. Jest to reakcja Zagłoby na wieść o nowicjacie pana Michała.

Czy człowiek, który porzuca "vita activa" dla "vita contemplativa" jest rzeczywiście stracony dla świata? W cytowanym już raz dziele Bergsona ("Les deux sources de la morale et de la religion") znajduję odpowiedź, której podobną trudno by było szukać w literaturze naszego kraju, gdzie tak rzadko rodzą się mistycy i święci, niestety nie tylko dlatego, że nie mamy protekcji w Watykanie:

"Pourquoi des saints ont-ils ainsi des imitateurs, et pourquoi les grands hommes de bien ont-ils entraîné derrière eux des foules? Ils ne demandent rien, et pourtant ils obtiennent. Ils n'ont pas besoin d'exhorter; ils n'ont qu'à exister; leur existence est un appel".

Zapomnianą lub lekceważoną prawdę, że "musimy wchłaniać w siebie dobra wieczne, aby móc ze siebie dawać dobro doczesne" czyli że bez kontemplacji nie ma "prawego i skutecznego działania" i dlatego "mistycy są ową solą ziemi zapobiegającą gniciu ludzkich społeczności" — przypomina i uzasadnia, w oparciu o wypowiedzi największych mędrców i świętych chrześcijaństwa i wschodnich religii, Aldous Huxley w ostatnim rozdziale swej "The Perennial Philosophy".

W zasadniczym dla naszej "między-epoki" sporze pomiędzy "the Yogi" i "the Commissar" staję po stronie pierwszego i uważam, że właśnie, że tylko, tacy ludzie jak ów przyjaciel Wańkowicza mogą się stać ramieniem siły zdolnej wywyższyć cywilizację europejską z upadku. Wierzę ("jako Polak i chrześcijanin" — mógłby się tu uśmiechnąć Wańkowicz), że siłą tą będzie chrześcijaństwo, w swej najmniej, nieistotnej, skażonej postaci, więc katolicyzm. Nie wcześniej jednak chyba, aż większość dzisiejszych rzeczników myśli katolickiej dojdzie do pełnego zrozumienia tego, że chrześcijaństwo jest wielką, największą, religią m i s t y c z n ą, "nieziemską, przede wszystkim kontemplacyjną" (mimo, że nie lekceważąc swoich pojętego czynnego życia "w świecie"), w której takie, bądź co bądź ziemskie, skądinąd zresztą ważne i zajmujące, zagadnienia, jak trafność poglądów filozoficznych św. Tomasza z Akwinu, jak solidaryzm, korporacjonizm, szkolnictwo katolickie, różnica między rozwodem a separacją, właściwe i niewłaściwe sposoby zapobiegania ciąży — mają znaczenie drugorzędne. No, ale to już inna historia.

Michał SAMBOR.

Krytyka chłopskiego rozumu

W "Kulturze" Nr 2/28-3/29 p. Antoni Krystek zamieścił artykuł pt. "Chłopski rozum w polityce". Artykuł jest dalszym ciągiem dyskusji na temat "Klubu Trzeciego Miejsca" Wańkowicza oraz głosów jakie w tej sprawie ukazały się na łamach "Kultury".

Nie podzielałem entuzjazmu autora dla "chłopskiego rozumu" mimo, że wychowałem się na wsi. Myślę również, że przeżywamy czasy w których "chłopski rozum" jest instytucją niewystarczającą. Jestem daleki — podobnie jak p. Krystek — od jakichkolwiek tendencji kastykowych. Przez "chłopski rozum" rozumieliśmy zresztą w Polsce nie ściśle chłopskie, czy rolnicze rozumowanie lecz tzw. "trzymanie się faktów" bez bujania po obłokach. Dalszą cechą tego typu rozumowania była zdecydowana niechęć do szukania nowych, nie szablonowych rozwiązań, ogranicziny wstręt do improwizacji, nieufność do jakichkolwiek zmian, zakamieniały konserwaryzm.

P. Krystek pisze, że "chłopski rozum wyrósł z chłopskiego życia". Istotnie. Nie ma na świecie zawodu czy typu zajęcia, które byłoby bardziej konserwatywne i wrogię wszelkiemu nowinkarstwu jak tradycyjny i piękny fach rolnika.

Angielskim odpowiednikiem określenia "chłopski rozum" jest "Common sense" czyli tzw. zdrowy rozsądek. Ilekroć czytam o "chłopskim rozumie" czy o jego angielskim odpowiedniku przychodzi mi na myśl kapitalne powiedzenie Lorda Balfoura: "Lepiej zrobić rzecz niedorzeczną, którą robiło się zawsze, niż rzecz mądrą której nie robiło się nigdy".

Czy istnieje na świecie powiedzenie, które by pełniej charakteryzowało "chłopski rozum"?

Jak długo toczy się wszystko w normalnych i naturalnych koleinach — "chłopski rozum" działa i funkcjonuje poprawnie. Jak długo po ziemi następuje wiosna — jak długo "skutki i przyczyny" — o których pisze p. Krystek — następują po sobie składnie a zwyczajnie — jak długo dokładnie wiadomo co jest "zyskiem" a co "stratą" — tak długo "chłopski rozum" wystarcza zarówno w życiu prywatnym jak w polityce.

Epoki w których "chłopski rozum" świecił w Europie triumfy — to lata pokoju, pomyślności, "stabilizacji". To okresy stałej waluty, bezpieczeństwa, unormowanych warunków i uświęconych tradycji.

Ale "chłopski rozum" zawodzi gdy kończą się tzw. "normalne czasy". Gdy mechanika "skutków i przyczyn" nie jest już tak klasycznie prosta jak zmiany pór roku — gdy trudno ocenić i rozróżnić co okaże się "stratą" a co "zyskiem" — gdy na decyzjach waży potężniej niż kalkulacje — uczucia, emocje, instynkty.

W obecnych wyborach w Anglii jedynie konserwatyści odwołali się do "chłopskiego rozumu". Afisze konserwatystów nawoływały: "Oddaj głos na konserwatystów bo jest to nakazem "Common sense" (zdrowego rozsądku)".

Większość obywateli brytyjskich głosowała na Partię Pracy. W sytuacji w jakiej znajduje się dziś Anglia (i nie tylko Anglia) gdy ktoś ma "zdrowy rozsądek" do zaferowania jest to za mało. Grubo za mało. Dziś trzeba nie tylko zdrowego ale wielkiego, nieprzeciętnego rozumu aby sprostać wymaganiom chwili.

Historia uczy nas setkami przykładów, że trudne, nieprzeciętne sytuacje wymagają nieprzeciętnych, wybitnych ludzi a gdy tych brak i ich miejsce zajmą posiadacze "chłopskiego rozumu" — katastrofa jest nieunikniona.

Zarówno wśród Polaków jak i wśród obcych spotyka się dziś sporo niegdyś bardzo trzeźwych i dzielnych reprezentantów "chłopskiego rozumu", którzy nie zdają sobie sprawy, że zawiśli w próżni. Nie zdają sobie sprawy, że to co kiedyś było "trzymaniem się faktów",

logiką, trzeźwością itp. dziś jest — mrzonką. Albowiem cechą wspólną tych gentlemenów bez względu na narodowość i wyznanie jest całkowita niezdolność spostrzegania faktów, które nie mieszczą się w ich "chłopskim rozumie". Katastrofalną wadą "chłopskiego rozumu" jest niestety jego mała pojemność.

W londyńskiej po-wojskowej gwarze określa się takich panów przymiotnikiem "wykołowani". Wykołowani bywają byli ministrowie, dyrektorzy banków, przemysłowcy, rolnicy — ludzie, którzy w normalnych czasach i w normalnych warunkach swoim tegim "chłopskim rozumem" dawali sobie znakomicie radę w życiu. Na pożytek swój i kraju.

W okresach trudnych i niebezpiecznych — to "chłopski rozum" rzuca kamieniem na tych, którzy widzą nieco dalej i dostrzegają grożącą katastrofę. Nie wolno bowiem burzyć mitu o... pokoju i "normalnych czasach".

Ci wszyscy, którzy jeszcze dziś marzą o dogadaniu się ze Stalinem, którzy nie tracą nadziei, że jakaś "Super-Jaśta" ustabilizuje stosunki — powołują się z reguły na "zdrowy rozsadek".

Dlaczego nikt nigdy nie pisze o "chłopskim rozumie" Stalina?? Dlaczego nie pisze się, że polityka sowiecka wykazuje wiele "Common sens'u"?

Niestety, gra polityczna Sowietów wykazuje coś znacznie więcej niż "Common sense" — wykazuje bowiem wielki plan, konsekwencję i siłę.

W obecnym okresie historycznym jakże często słyszymy o swoich i o obcych, że ten czy ów "nie dorósł do swego stanowiska", albo, "że nie stanął na wysokości zadania".

Co mamy na myśli formułując taki zarzut? Nie myślimy przecież, że minister X miał za mało "chłopskiego rozumu". Podnosząc taki zarzut mamy natomiast na myśli, że minister X okazał się człowiekiem, którego rozum nie był w stanie ogarnąć sytuacji, innymi słowy zarzucamy ministrowi X, że nie był jednostką wybitną a sytuacja takiego człowieka wymagała.

Prezydent Stefan Starzyński do dnia 1 września 1939 roku dokonał wielu rzeczy, które brały swe źródło z jego zdrowego rozsądku i energii, która go zawsze cechowała. Ale któż dziś o tym myśli wymawiając jego nazwisko? Naród wielbi go nie za to, że Warszawę zbudował ale za to, że ją "zburzył". Wielbi go za decyzje, które nie "chłopski rozum" dyktował ale które były wielkie i na miarę chwili.

Gdyby wojny nie było, gdyby nieprzerwanie trwały "normalne czasy" może nigdy nie powstałaby sytuacja, która wymagałaby od prez. Starzyńskiego wielkości. I pewnie niktby się nie dowiedział, że tkwiły w nim możliwości sprostania największej próbie. Natomiast wielu innych uznawano by do dziś dnia za wielkich. W czasie wojny nie ma wielkości i sławy na kredyt i każdy musi stawiać czoło sytuacji zredukowany do właściwych proporcji.

Wojna jest wielkim sitem. Nie mniejszym sitem są okresy poprzedzające wielkie rozstrzygnięcia. Stąd też na całym świecie jest dziś zapotrzebowanie nie na "chłopski rozum" lecz na ludzi wybitnych. Potrzebni są bardziej niż kiedykolwiek wybitni politycy, wybitni uczeni, wybitni wojskowi, wybitni mężowie stanu.

"Common sense" to dziś za mało. "Chłopskim rozumem" nie sprostą się obecnemu kryzysowi świata.

Sytuacja nie zmaleje. Muszą się znaleźć mężowie stanu, którzy do niej dorosli.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Książki

Począwszy od bieżącego numeru przystępujemy do rozbudowania działu „Książki”. Niezależnie od działu recenzyjnego, który w miarę naszych możliwości postaramy się prowadzić systematyczniej i obszerniej, wprowadzamy bibliografię nowości francuskich, angielskich oraz — od maja — amerykańskich, z głównym naciskiem na literaturę, historię i zagadnienia polityczne.

Ponieważ notki bibliograficzne nie wystarczają dla ogarnięcia i zorientowania się w ogromnej produkcji wydawniczej, rozpoczynamy druk cyklu reportaży-wywiadów naszego współpracownika Józefa Ursyna o domach wydawniczych paryskich.

W dzisiejszej rzeczywistości książka jest traktowana jako towar i podlega również reglamentacji, cłu, przepisom dewizowym, etc. co praktycznie uniemożliwia jej nabycie lub ją czyni luksusem. Przebywając we Francji podejmujemy się załatwiać zamówienia naszych czytelników na książki francuskie po cenach nominalnych doliczając jedynie koszt przesyłki. Może to choć w małym stopniu pozwoli rozproszonej inteligencji polskiej nie odrywać się od nurtu myśli i kultury europejskiej.

Czytelnicy pragnący nabywać książki francuskie powinni przesyłać zlecenia wraz z pieniędzmi wprost do redakcji „Kultury” lub do przedstawicielstw pisma, których spis znajduje się na przedostatniej stronie okładki każdego numeru.

Spacer po domach wydawniczych francuskich

Mój spacer po domach wydawniczych paryskich rozpoczynam od Calmann-Lévy. Jest w tym przypadek, ale jak się później okazuje i pewna logika. Wychodzi bowiem na jaw, że Calmann-Lévy jest najstarszym domem wydawniczym w Paryżu. I dlatego może należy mu się pierwsze miejsce w tym sprawozdaniu.

Calmann-Lévy mieści się w dużej, szarej i smutnej kamienicy tuż koło Opery. W tych stronach Paryża domów wydawniczych nie ma i Calmann-Lévy robi wrażenie odosobnionego, kogoś, kto o bliskie sąsiedztwo swych współzawodników nie dba, może się od nich odsuwać, chce stać na uboczu. Myślę jednak, że wrażenia te są nieuzasadnione. Wewnątrz tej dużej i ciemnej kamienicy, gdy wchodzi się po drewnianych i szerokich schodach, a potem gdy zwiedzam biura i urzędowania, mam ciągle uczucie, że wszędzie jest kurz, że wszystko jest przykryte grubą warstwą kurzu. A tymczasem posadzki w biurach świecą się jasno i skrzypią przyjemnie pod nogami, wszystko lśni od czystości i porządku. A wrażenie kurzu pozostaje. Myślę, że w tym wrażeniu kurzu jest mój cały szacunek dla starości i szacowności tego domu wydawniczego.

Najpierw kilka danych z przeszłości.

W 1836 przybywa z Phalsburga do Paryża Michał Lévy i zakłada tutaj swój warsztat pracy, który w jakiś czas później prowadzić zaczyna do spółki ze swym bratem Calmannem Lévy. Po śmierci Michała (1875) dom wydawniczy przechodzi na synów Calmanna, nazwa jego ustalona zostaje na Calmann-Lévy i w chwili obecnej stoją na jego czele dwaj bracia, wnukowie w prostej linii Calmanna — Robert i Pierre. Kiedyś wydawnictwo to było najpotężniejsze we Francji. W pierwszych latach III-ej Republiki rzucało na rynek około dwu milionów tomów rocznie. Na owe czasy była to potęga. Ale nie tylko ilością drukowanych książek było ono swych współzawodników. Wszystkie największe nazwiska dziewiętnastego wieku znajdziemy w jego katalogach wydawniczych. A więc Balzac, Dumas, Dickens, Lamartine, Stendhal, Poe, Eugeniusz Sue, Baudelaire, Flaubert, Theofil Gauthier, Gerard de Nerval, Merimée, Michelet, Heine, George Sand, Sainte-Beuve, Ernest Renan, Quinet, Alfred de Vigny itd. A nieco później cały Anatol France, René Bazin, Pierre Loti, la comtesse de Noailles, z cudzoziemców d'Annunzio, Gorkij, Johan Bøjer, Pirandello, Galsworthy itd.

Dzisiaj tempo wydawnicze braci Calmann-Lévy zmaleło. Poza przedrukami utworów dawnych autorów, które nie przeszły jeszcze do dziedzictwa narodowego, nowych rzeczy drukuje się obecnie znacznie mniej niż przedtem. Lecz to co pod firmą tą się ukazuje nosi znamię nie tylko pewnej dbałości o formę literacką, lecz i tego co można by nazwać pewnym klasycyzmem językowym. Surrealiści, awangarda literacka, tak modny dzisiaj egzystencjalizm w domu tym nie cieszy się powodzeniem.

Powieści u Calmann-Lévy drukuje się obecnie niewiele. Najciekawszą serią ich wydawnictw, poza główną (CL), jest chyba seria "Liberté d'Esprit" pod kierownictwem Raymond Aron, w której ukazały się tłumaczenia książek Burnhama, książki Lucien Morice ("Vers l'Empire du Monde") i szereg innych. Są to rzeczy poświęcone aktualnym zagadnieniom politycznym, historycznym i socjologicznym. Wydaje się też, że te właśnie zagadnienia skupiają głównie w chwili obecnej uwagę braci Calmann-Lévy. Wydali oni nie tylko całego Koestlera, ale także Manès Sperbera (książka poświęcona historii partii komunistycznej w Niemczech), Margolina, Imre Kovácsa (okupacja niemiecka i rosyjska na Węgrzech), wspomnienia Anfuso o Mussolinim, Trévor-Ropera ("Les derniers jours d'Hitler") itd.

Trzecia najpoważniejsza seria wydawnicza u Calmann-Lévy — to seria nazywająca się "Traduit de" i w której ukazują się przekłady z obcych języków. W serii tej znajdują się "best-sellery". Kilka lat temu Koestlera "Le zero et l'infini" (po polsku wyszło to nakładem Instytutu Literackiego pt. "Ciemność w południe" w przekładzie T. Terleckiego) osiągnęło rekordową, jak na stosunki francuskie, ilość sprzedanych egzemplarzy — bo ponad 350 tys.; "best-seller" roku 1949 trylogia Mary O'Hara, "Mon ami Flick", "Le

fils de Flick" i "L'herbe verte de Wyoming" — pogodne i nieco naiwne opowiadanie o życiu w Ameryce.

Z Polaków Calmann-Lévy wydał "Bez Dogmatu" Sienkiewicza, Kraszewskiego i w okresie międzywojennym "Z dnia na dzień" Goetla.

Obecnie tempo wydawnicze domu, nie licząc przedruków opublikowanych już uprzednio książek, a mówiąc tylko o rzeczach nowych — osiąga około 50 książek rocznie.

Gdyby zapytano mnie o charakterystykę wydawnictwa Calmann-Lévy wydamy mi się, że powiedziałbym — jest to spokojna, pełna tradycji działalność, kładąca duży nacisk i mająca poważne wymagania w dziedzinie formy artystycznej danego utworu i której główne zainteresowanie skupia się w chwili obecnej na palących zagadnieniach politycznych, historycznych, socjologicznych i ideologicznych oraz na teatrze. Odcinek powieściowy jest stosunkowo skromny.

Plon — to już nie ruchliwe, gwarne i międzynarodowe centrum koło Opery, ale samo serce przemysłu książkowego. Cicha ulica obok Place St. Sulpice. Śliczny pałacyk w stylu Ludwika XIII-go, którego budowę ukończono za Ludwika XIV-go, a który nosi nazwę Hôtel de Léon. Jest tutaj dużo światła, dominuje kolor biały i wszystko jest jasne. W saloniku, gdzie siedzę, stoi pod ścianą oszklona gablotka, a w środku małe, dziecinny warsztat drukarski. Czytam napis — *Imprimerie construite par Henri Plon, imprimeur de l'Empereur pour l'instruction et l'amusement du Prince Impérial — 1865*. Zabawnie i śmiesznie wygląda ta mała drukarenka.

Historia Plonu jest odmienna od dziejów Calmann-Lévy. Tutaj początki — to rok 1583 i zaistnienie się w Paryżu duńskiego uchodźcy politycznego Jehana Plon, który pracę swą zaczyna od założenia drukarni. Wyrasta z tego całe pokolenie drukarzy, z których Pierre Plon otrzymuje w 1746 tytuł *Imprimeur du Roi*, a drukarnia jego z tytułu ogromnej pracowitości nazwana zostaje popularnie *Imprimerie des Abeilles*. I dzisiaj jeszcze na papierze firmowym Plonu widnieje winieta przedstawiająca krzątające się przy pracy w drukarni pszczoły. Drukarnia rodziny Plon przekształciła się w dom wydawniczy w roku 1852.

Początkowa działalność obejmuje tylko prace historyczne i pamiętniki historyczne. Nakładem Plonu ukazują się w tym czasie Pamiętniki Generała Marbot, Pamiętniki Generała Thiébault i wiele innych. Z czasem Plon kontynuując działalność w dziedzinie historycznej rozszerza swe zainteresowania i na pole literackie. Wydaje więc szereg rzeczy Paul Bourget, Huysmansa, E. M. de Vogüé, Henry Bordeaux itd.

Dzisiaj jest to chyba druga na terenie Francji firma wydawnicza, jeżeli chodzi o żywotność, ruchliwość, rozmiar i zasięg różnego typu wydawnictw, ilości drukowanych rocznie tomów. Mamy więc szereg wydawnictw o wyraźnie sprecyzowanym obliczu i specjalności takich jak: wydawnictwa przeznaczone dla szerokich mas i bardzo tanie — *La bibliothèque Plon*, *La Liseuse*, *Le Film*; wydawnictwa przeznaczone tylko dla młodych autorów — *l'Aubier*, wydawnictwa dla młodzieży — *Nobles vies - Grandes Oeuvres; Vies exemplaires*; wydawnictwa historyczne — w którym wyszło na przykład ogromne dzieło pt. "Histoire de la Nation française", napisane pod kierownictwem Gabriel Hanotaux, wydawnictwo *Présences* pod kierownictwem Daniel-Rops, w którym wychodzą książki pisane przeważnie zbiorowo, a omawiające jakieś poszczególnie zagadnienie — cytuję dla przykładu — "Le communisme et les chrétiens" napisane przez François Mauriac, R. P. Ducatillon i N. Bierdiaew, "Problème de la sexualité" przez J. de Lacratelle. R. P. Lavaud, M. Zundel i Peter Wust, "La France veut la liberté" przez Paul Valéry, *Le Cour*

Grandmaison, Thierry-Maulnier i R. Lacoste, "Le mystère animal" przez Colette i Edmond Jaloux itd.; dalej wydawnictwo pod tytułem *Bibliothèque Spirituelle du Chrétien Lettré* pod kierownictwem Ojca Omer Englebert, poświęcone przeważnie zagadnieniom mistyki chrześcijańskiej; wydawnictwo pt.: *Les témoignages*, gdzie między innymi wyszły takie książki jak: "Les archives secrètes du Comte Ciano", "L'Amerique en Europe" Bertrand de Jouvenel (omawia zagadnienia związane z Planem Marshalla i współpracy międzynarodową), świetna książka o Rosji "La vraie Russie des Soviets" Davida J. Dallina, "Le coup de Prague" Huberta Ripki (historia zamachu komunistycznego w Czechosłowacji), "Le viol de la Pologne" Mikołajczyka itd., i wreszcie wydawnictwo pt. *Feux Croisés — Ames et terres étrangères*, w którym ukazują się przekłady z obcych języków.

Nakładem *Plonu* z wielkości francuskich ukazała się całość prawie książek Bordeaux, większość rzeczy braci Tharaud, większość książek Bernanosa. *Plon* wydaje poza tym najlepszy obecnie francuski miesięcznik literacki "La table ronde" pod redakcją Mauriaca i Jean Le Marchand.

"Best sellers" *Plonu* są w serii przekładów *Feux Croisés* — są to: powieść autora kanadyjskiego Mazo de la Roche pt.: "Jalna" i wszystkie następne utwory tego autora ("Jalna" przekroczyła nakład 100 tysięcy egzemplarzy) i znakomita książka młodego pisarza rumuńskiego, rozchwytywana obecnie przez całą Francję, "La vingt-cinquième heure" C. Virgil Gheorghiu, której *Kultura* poświęci w najbliższym czasie dłuższe omówienie. Jest to surowe, może nawet prymitywne opowiadanie, pozbawione wszelkiej ozdoby literackiej, lecz wstrząsające w swym autentyzmie i prawdziwości o dziejach chłopstwa rumuńskiego, który przez trzynaście lat przerzucany jest naprzemiennie z więzień do obozów koncentracyjnych. Dwa lata temu natomiast "best sellerem" była nie powieść w serii *Feux Croisés*, lecz książka historyczna pt. "Le bilans de l'histoire" René Grousset, rzecz pisana dosyć ciężko i naukowo o migracjach ludów, a dziejach cywilizacji i prawach nimi rządzących. Jest na prawdę rzecz zdumiewająca, że książka o tym typie rozejść się mogła w szerszych masach i wydaje się, że tego rodzaju zjawisko jest do pomyślenia chyba tylko we Francji.



W swoim czasie istniała pewna kategoria młodych ludzi (obecnie jest ich coraz mniej i racja ich bytu staje się coraz mniej uzasadniona), których nazywano łowcami posagów. W sferach wydawniczych odpowiednikami łowcy posagu jest łowca nagród literackich. Tutaj jednak polowanie na nagrody literackie nie przestało być ważne, istotne i w dalszym ciągu złapanie nagrody jest nie tylko zaszczytem, lecz i poważną korzyścią materialną. Znakomitym zaś kolekcjonerem tych intratnych nagród literackich jest dom wydawniczy René Julliard.

We Francji istnieją zasadniczo cztery nagrody literackie, za powieści, które mają znaczenie. Są to: Prix Goncourt, Prix Théophraste Renaudot, Prix des Critiques i Prix Fémina. Najważniejsze z nich są dwie pierwsze. O historii tych dwu nagród można by napisać dłuższe i ciekawe studium, w którym między innymi można by udowodnić, że wyróżnienie młodego talentu jedną z tych nagród nie pociągało w większości wypadków wykrystalizowania się z niego wielkiego pisarza, że nie są one wobec tego ani naprawdę odkrywcze, ani nie usankcjonowały rzeczywistych talentów, że większość znakomitych pisarzy francuskich o sławie wszechświatowej, takich jak André Gide, Mauriac, Malraux itd. nigdy nagród tych nie dostali. Jest jednak tradycją we Francji, że przyznanie jednej z tych nagród stwarza autorowi markę pewnej znakomitości, wydawcy zaś

przynosi automatycznie nieomal poważne zwiększenie nakładu i sprzedaży. Cała prowincja francuska, tysiące rentierów, notariuszów, lekarzy, proboszczów i starych panien kupuje dwie książki rocznie i to bez względu na to jaką one wartość przedstawiają. Są to Prix Goncourt i Prix Renaudot. Jest to prawo, od którego odstępstw jak do tej chwili nie ma. Prix Goncourt przynosi przeciętnie przeszło 100 tys. sprzedanych egzemplarzy, Prix Renaudot około 80 tys.

René Julliard jest bardzo młodym domem wydawniczym. Powstał on w 1922 r., początkowo nazywał się Sequana, obecnie zaś występuje pod nazwiskiem swego właściciela. Kilka lat temu nastąpiła fuzja między tym domem a wydawnictwem Robert Laffont i teraz pracują wspólnie.

O Julliard można by powiedzieć, że dewizą jego jest paralela — młody dom wydawniczy, młodzi autorzy. Z ustalonych wielkości francuskich Julliard nie ma na swym rozkładzie chyba nikogo. Ma natomiast ambicję wyszukiwania i wykrywania młodych talentów, ma też w swym katalogu całą plejadę tych początkujących pisarzy, ciekawych, dobrze zapowiadających się, często śmiałych i odważnych, często takich, którzy błysną na horyzoncie jak meteor i w chwilę potem zgasną. Ma też w konsekwencji całą kolekcję nagród literackich. By nie cofać się zbyt daleko podam zestawienie z trzech ostatnich lat. A więc rok 1946 — Prix Goncourt otrzymuje Jean Jacques Gautier za "Histoire d'un fait divers" i Prix Fémina — Michel Robida za "Le temps de la longue patience", rok 1947 — Prix Goncourt otrzymuje Jean Louis Curtis za "Les forêts de la nuit" (książka poświęcona resistance francuskiej, wzbudziła ogromne zainteresowanie, wywołała szereg polemik, napaści, sporów) i Prix des Lecteurs — Françoise d'Eaubonne za "Comme un vol de Gerfaux", oraz Prix du Renaudot — François-Elisabeth Barbier za "Les gens de Mogador", wreszcie rok 1948 — Prix Goncourt dostaje Maurice Druon za "Les grandes familles" (ciekawa książka będąca jednocześnie obrazem stosunków społecznych, obyczajów i szkicem szeregu problemów psychologicznych) i Prix Renaudot — Pierre Frisson za "Voyage aux Horizons". W 1949 obie główne nagrody świsnął Julliardowi spod nosa Gallimard. Jak widzimy więc kolekcja nagród jest dosyć poważna.

Poza powieściami i poezją Julliard wydaje mało. Wydał on m. in. pamiętniki Generała Giraud pt. "Un seul but, la victoire", które w swoim czasie wywołały całą burzę polemik i zaogniły dawne spory między gaullistami i ich przeciwnikami. Pod firmą Robert Laffont (jest to jednak ten sam dom wydawniczy) ukazały się pamiętniki Churchilla i "best-seller" roku 1949 Graham Greene'a "La fond du problème". Poza tym Julliard i Laffont mają ciekawą serię wydawnictw pt. *Pavillons* i *Capricorne*, w której ukazują się przekłady z obcych języków. W 1949 roku ukazała się też u Julliarda powieść młodego pisarza belgijskiego, José André Lacour pt.: "Le châtiment des victimes", będąca odważnym, realistycznym odmalowaniem młodości wojennej z jej problemami, trudnościami i zagubieniem. Książka ta wzbudziła we Francji ogromne zainteresowanie.



Gallimard jest dzisiaj we Francji największą, najbogatszą i najruchliwszą firmą wydawniczą. Początki jej — to rok 1909 i miesięcznik wydawany przez Gallimard pod tytułem "Nouvelle Revue Française" (N.R.F.). Skupia się w owym czasie naokoło miesięcznika tego wszystko co jest młode, co jest rewolucją, awangarda, dynamizmem — André Gide, Roger Martin du Gard, Claudel, Jacques Rivière, Maurois, Jean Schlumberger, L. Paul Fargue. W jakiś czas potem N.R.F. przekształca się w dom wydawniczy.

Wyda się, że Gallimard ma największą rozpiętość zainteresowań, najszerzą gamę różnego typu książek, najciekawszą skalę talentów.

Należy jednak powiedzieć, że dynamiczne początki tego domu wydawniczego zaciążyły w pewnym sensie na jego linii postępowania. Gallimard patronować więc będzie wszystkim nowym kierunkom i prądom literackim, będzie je popierał i wspomagał, będzie drukował utwory surrealistów z André Breton na czele, potem wesprze grupę egzystencjalistów z Jean-Paul Sartre'm i Simone de Beauvoir i w końcu, ostatnio, drukować będzie nieobliczalne rzeczy Izidora Issou na temat nowej poezji i nowej muzyki. Ale obok tego Gallimard wydawać będzie prawie wszystkich pisarzy francuskich, którzy przed pierwszą wojną światową, między wojnami i po drugiej wojnie zyskali sobie imię na całym świecie. U Gallimard wyjdzie cały Proust, Appolinaire, Claudel, André Gide, Lacretelle, Péguy, Maurois, Roger Martin du Gard, Giraudoux, Montherlant, Malraux, Giono, St. Exupéry, część Bernanosa, Camus, J.-P. Sartre itd.

Trudno bardzo ująć w kilku słowach i opisać poszczególne typy wydawnictw Gallimard. Jest ich bowiem aż 74. Są takie, jak *Bibliothèque des Idées*, gdzie wyszedł Spengler ("Le declin de l'Occident"), Bertrand Russel, Gabriel Marcel, Sartre itd., *Genie de la France*, gdzie znajdziemy wszystkich pisarzy francuskich od Balzaca aż do Voltaire, *Mémoires du Passé pour servir au temps présent*, gdzie ukazały się pamiętniki Sully, Tocqueville, Napoleona, *Vie des hommes illustres*; *Psychologie*; *Problemes et documents*; *Peintres, Sculpteurs et Graveurs* itd. Jest też *collection Polonaise*, w której ukazały się książki Berenta, Norwida, Prusa, Sieroszewskiego, Weysenhoffa.

Żeby wskazać jak wielka jest rozpiętość między poszczególnymi typami wydawnictw Gallimarda wspomnę tzw. *Série Noir*, pod kierownictwem Marcel Duhamela, w której ukazują się powieści kryminalne i detektywistyczne, przeważnie tłumaczenia autorów amerykańskich i angielskich. W poprzednio omówionych przeze mnie domach wydawniczych takiej *Série Noir* nie ma. Książki w tej serii to zupełny prymityw literacki. Bohaterowie ich piją tylko nieprawdopodobne ilości whisky, uwodzą ładne dziewczyny, przeważnie zboczone seksualnie, wzajemnie się knock-outują lub strzelają do siebie z rewolwerów. A mimo to książki te cieszą się tutaj dużym powodzeniem i przelotny ich nakład dochodzi do 60 tys. egzemplarzy, co na stosunki francuskie jest ilością olbrzymią.

Wydawnictwa Gallimard cieszą się we Francji ogromną wziętością. Do autora, który drukuje tam swe rzeczy ludzie odnoszą się z szacunkiem. Poprzednie "best sellery" Gallimarda to Margaret Mitchell: "Autant en emporte le vent" (przeszło pół miliona egzemplarzy), a sam Gallimard opowiadał mi jak długo wahali się nad wydaniem tej książki, potem Lawrence'a, "Kochanek lady Chatterley", André Maurois "La vie d'Israël", St. Exupéry "Vol de nuit", Camusa "La peste". W 1949 "best sellerem" jest Prix Goncourt — książka Robert Merle pt. "Le week-end à Zuydcoote", która osiągnęła już nakład 185 tys. egzemplarzy co przekracza zwykłą normę i Prix Renaudot — książka Louis Guilloux "Le jeu de patience", około 50 tys. egzemplarzy.

Gallimard wydaje przeciętnie 250 do 300 książek rocznie, są więc miesiące, w których wypuszcza na rynek od jednej do dwu książek dziennie.

Z ciekawych miesięczników literackich Gallimard wydaje "Les cahiers de la Pleiade" pod redakcją Jean Paulhan i "Temps modernes" pod redakcją J. P. Sartre'a.

Na zakończenie tej pierwszej części sprawozdania o domach wydawniczych we Francji chciałbym kilka słów jeszcze powiedzieć o najlepiej sprzedawanych tutaj książkach.

Ze sprawozdań wydawniczych i księgarskich wynikają dosyć cie-

kawe wnioski, jeżeli chodzi o zainteresowania publiczności francuskiej. Jeżeli więc wyłączmy książki nagrodzone przez jedną z czterech wspomnianych nagród, którymi rządzi specjalne i że się tak wyrażę automatyczne prawa — to okaże się, że powodzeniem cieszą się we Francji przede wszystkim autorzy zagraniczni. W miesiącach listopadzie, grudniu i styczniu najlepiej sprzedawanymi książkami były: Graham Greene'a "Le fond du problème", C. Virgil Gheorghiu "La vingt-cinquième heure", Mazo de la Roche "Mary Wakefield" i książki Mary O'Hara.

Książki te reprezentują dwa najzupełniej odrębne typy. Jest to albo bolesny, wstrząsający, pogrążony w pesymizmie dokument epoki (jak "La vingt-cinquième heure"), albo pogodny, naiwny, proste opowiadanie o nieskomplikowanym życiu, w którym dzieje się bardzo mało i które płynie swą codzienną falą niezbyt tragicznych wydarzeń (książki Mazo de la Roche i Mary O'Hara). To zestawienie wskazuje, że publiczność francuska szuka z jednej strony autentyzmu, z drugiej zaś całkowitej, lecz pogodnej ucieczki od rzeczywistości. To jedna uwaga.

A druga jest nieco odmienna. Mówi się ogólnie, że czytelnicy przesyleni są już zupełnie opowiadaniem o przeżyciach wojennych, cierpieniach w obozach koncentracyjnych i więzieniach, prześladowaniach i zgrozie. A tymczasem listy najlepiej sprzedawanych książek mówią nam co innego. Na pierwszych miejscach znajdują się właśnie rzeczy, omawiające te zagadnienia: Gheorghiu, "Le week-end à Zuydcoote", wspomnienia wojenne kapitana Mouchotte, wspomnienia wojenne lotnika Clostermana, "Casabianca" majora l'Herminier itd. Publiczność francuska do przeżyć wojennych i cierpień w obozach koncentracyjnych wraca, nimi się pasjonuje, w nich się zagłębia. A jedna z moich znajomych powiedziała mi niedawno — "czy uwierzy pan, że nie potrafisz czytać innych książek, jak tylko te, które ostatniej wojnie i cierpieniom wojennym są poświęcone".

Jak to zjawisko wytłumaczyć? Czy chęcią zrozumienia tego co wszyscy z nas tak niedawno przeszli, czy samobiczowaniem się i masochizmem, czy tęsknotą za atmosferą silnych wzruszeń i mocnych doznań, czy pragnieniem wytłumaczenia sobie wydarzeń bolesnej i trudnej epoki, w której żyjemy? Nie wiem.

Józef URSYN.

Wierzyński o Chopinie

Z okazji roku chopinowskiego ukazało się ostatnio bardzo wiele nowych prac i książek o Chopinie. Większość z nich ma charakter koniunkturalny, obliczony na większy popyt w roku jubileuszowym, i nic nowego nie przynosi. Tego zresztą można było się spodziewać. Olbrzymia literatura chopinologiczna, zdawałoby się, wyczerpała już zasadnicze zagadnienia i, zwłaszcza w dziedzinie biograficznej, większość autorów nie zdobyła się na nic innego jak na nowe wariacje na tematy: Chopin — piewca uściśnionej ojczyzny, Chopin a George Sand, Chopin a suchoty, Chopin a romantyzm. Nowych ujęć a nawet odkryć na-

leżało raczej oczekiwać w dziedzinie czysto muzycznej, gdyż ta strona problemu była dotąd traktowana za mało i przeważnie w sposób niewłaściwy.

Właśnie jednak w tej dziedzinie chopiniana jubileuszowe przynoszą całkowite rozczerowanie. Twórczość Chopina jest jedynie tematem nielicznych zresztą artykułów muzykologicznych; w roku 1949 nie ukazała się żadna k s i a ż k a poświęcona temu zagadnieniu, i najlepsze nowe prace na ten temat ukazały się p r z e d rokiem jubileuszowym: trzy tomiki L. Bronarskiego¹⁾, oraz dwie angielskie monografie A. Hedleya²⁾ i G. Abrahama³⁾. Dodać tu można jeszcze wcześniejszą interesującą pracę rosyjską W. Paschałowa⁴⁾, z którą jednak nie we wszystkich szczegółach można się zgodzić.

Natomiast właśnie w dziedzinie biograficznej ukazała się książka, która bardzo korzystnie odbija się od reszty publikacji jubileuszowych: "Życie i śmierć Chopina" Kazimierza Wierzyńskiego⁵⁾. Jest to nie tylko pierwsza tak poważna biografia chopinowska wydana przez Polaka w języku angielskim; jest to poza tym praca przynosząca szereg naprawdę nowych szczegółów i naświetleń, praca będąca, zwłaszcza na tle niepolskiej literatury chopinologicznej, pewnego rodzaju rewelacją.

Dla szeregu nawet najpoważniejszych, niepolskich badaczy Chopina problemem najtrudniejszym do właściwego przedstawienia była polskość Chopina, problem jego związania z polską kulturą i polskimi tradycjami. Brak bezpośredniego wycucia tych spraw powodował niemal z reguły przesadę w negatywnym albo pozytywnym kierunku: mieliśmy bądź zupełne zbagatelizowanie polskości Chopina (np. przez C. Gray'a), albo walkowanie zawsze tych samych ogólników o "armatach ukrytych w kwiatach", o "Etiudzie rewolucyjnej" lub powierzchowne banały o źródłach ludowych natchnienia chopinowskiego. Wprawdzie np. wspomniany wyżej Hedley, zdając sobie sprawę z tych braków, specjalnie w celach chopinologicznych nauczył się po polsku, udał się jeszcze przed wojną do Polski, by na miejscu zbadać źródła i atmosferę, w której się Chopin wychował. Ale nawet tak dalece posunięta sumienność nie potrafi zastąpić tego intuicyjnego wycucia tradycji i atmosfery, jakie może mieć Polak, zwłaszcza jeśli Polakiem tym jest jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów. A w dodatku książka Wierzyńskiego nie jest po prostu przekładem polskiej pracy, lecz monografią, pisaną przez Polaka dla cudzoziemców, z wyraźną myślą uświadomienia im i pokazania tego wszystkiego-

go, co dla zrozumienia polskości i specyficzności Chopina jest ważne i istotne.

Zadanie to spełnia Wierzyński znakomicie, a przy tym czyni to bez żadnej pedanterii i łatwej propagandy, z literacką plastycznością pełną prostoty i umiaru. Oczywiście i on nie pomija problemu wpływu muzyki ludowej na twórczość Chopina, znajdując zresztą dla tego problemu naświetlenie świeże i oryginalne. Przede wszystkim jednak poświęca bardzo dużo uwagi młodzieńczemu okresowi biografii chopinowskiej, nie tylko wrażeniom ze wsi, lecz atmosferze, w którą Chopin trafił w Warszawie. Jest to okres niezmiernie ważny dla zrozumienia twórczości chopinowskiej. Artur Rubinstein w przedmowie poprzedzającej książkę słusznie zwraca uwagę na to, iż właśnie w tym okresie młodzieńczym, jeszcze przed osiągnięciem dwudziestki, indywidualność Chopina została całkowicie sformowana. Z okresu tego pochodzą oba koncerty fortepianowe, pierwsze etiudy, zarysy pierwszego Scherza i pierwszej Ballady, a więc dzieła już w pełni oryginalne, zdumiewające swoją odkrywczością i dojrzałością, zawierające już wszystkie cechy niepowtarzalnego stylu chopinowskiego. Tajemnicy tego stylu, który kompozytor zachował już bez zmian do końca życia, należy szukać w młodzieńczym okresie, który większość biografów traktuje nazbyt pobieżnie. Ciekawą próbą odtworzenia atmosfery warszawskiej, w której ukształtowała się indywidualność kompozytora, była wydana przed wojną książka Nowaczyńskiego "Młodość Chopina". Nie była to jednak praca naukowa, lecz sugestywna impresja literacka, w której autor intuicją, a częstokroć po prostu fantazją zastępował brak źródłowych danych. Natomiast monografia Wierzyńskiego, przy całym swym literackim uroku, jest równocześnie bardzo sumienną i dokładną biografią i nie podaje żadnych szczegółów nie opartych na dokumentach. Wśród monografii wydanych w niepolskim języku jest pierwszą, która tyle miejsca poświęca okresowi młodzieńczemu.

Drugim rewelacyjnym n o v u m książki Wierzyńskiego jest szerokie uwzględnienie świeżo odkrytej korespondencji Chopina z Delfiną Potocką. Dokumenty te, nieznanе żadnemu z dotychczasowych biografów, mają bardzo wielkie znaczenie nie tylko dla zrozumienia sylwetki psychicznej Chopina, lecz również dla poznania jego poglądów muzycznych i artystycznych. I tu znowu z właściwym dla całej książki taktem i umiarem umie Wierzyński zachować równowagę pomiędzy stroną intymno-erotyczną, którą ta korespondencja odsłania, a wypowiedziami dotyczącymi poglądów na problem twórczości, ocenami współczesnych Chopinowi muzyków, bardzo ciekawymi fragmentami dotyczącymi Mozarta i Bacha. W listach do Delfiny Potockiej Chopin, licząc na to, iż ta intymna korespondencja nigdy nie zostanie ujawniona, wypowiadał się o wiele swobodniej niż zazwyczaj, zajmując zdecydowanie krytyczne stanowi-

1) *Études sur Chopin*, 2 tomy, Lozanna 1944 i 1946 oraz praca *Chopin et l'Italie*, Lozanna 1947.

2) *Chopin*, Londyn 1947.

3) *Chopin's Musical Style*, Londyn 1946.

4) *Chopin i polska narodna muzyka*, Moskwa-Leningrad 1941.

5) Książka ukazała się od razu z przekładzie angielskim N. Gutermana: *The Life and Death of Chopin*, z przedmową Artura Rubinsteina, New York 1949.

sko wobec twórczości Schumana, Berlioza, Liszta — czołowych przedstawicieli romantyzmu muzycznego, a podkreślając swoje uwielbienie dla klasyków: Bacha i Mozarta. Znajdujemy w tych wypowiedziach nareszcie niezbite potwierdzenie tezy, wyprowadzanej dotychczas głównie z analizy twórczości Chopina, a mianowicie, iż traktowanie jego jako kompozytora romantycznego jest nieporozumieniem. W pewnym sensie, zwłaszcza w doborze środków formalno-muzycznych, jest Chopin wprawdzie jednym z najwybitniejszych twórców kierunku, który później w historii muzyki otrzyma nazwę szkoły romantycznej. W całej swej postawie twórczej jednak, w pojmowaniu zadań kompozytorskich, w niechęci do romantycznego ekshibicjonizmu i literackości, w niezmordowanym dążeniu do klasycznie nieskazitelnej formy, odsuwa się on zdecydowanie od współczesnych mu kompozytorów romantycznych. Obcy mu był zresztą wszelki doktrynaryzm, wiązanie się z jakąkolwiek grupą czy szkołą artystyczną; nie był on ani klasykiem ani romantykiem, ale jednym z wielkich w dziejach muzyki twórców, którzy potrafili się wzniesić ponad przemijające hasła epoki i tworzyli po prostu wielką muzykę.

Niedostrzeganie tego aspektu muzyki chopinowskiej, upatrywanie w niej jedynie romantycznej melancholii i tklivości, przeraźliwienia i "kobiecości" jest jedną z największych krzywd wyrządzanych Chopinowi, niestety bardzo często, nie tylko przez pisarzy, lecz również przez wykonawców. Wynika to w wielkim stopniu z fałszywego ujęcia biografii chopinowskiej: sprowadzenie jej prawie wyłącznie do choroby, tęsknoty za krajem, romansu z George Sand, lub zawodu miłosnego z Marią Wodzińską pociągą za sobą całkowicie błędną interpretację sylwetki duchowej kompozytora i w rezultacie końcowym naczyni również interpretacje jego dzieł. Równie fałszywe jest lansowane obecnie "za żelazną kurtyną" nowe ujęcie Chopina, które, sprzeciwiając się "arystokratyczno-salonowej" charakterystyce, traktuje Chopina przede wszystkim jako wyraziciela muzyki ludowej i czyni z niego niemal bojownika demokracji. Pomijając już ten humorystyczny wniosek końcowy, ujęcie to nawet w swych słusznych twierdzeniach (sublimacja twórczości ludowej) jest jedynie ujęciem częściowym.

Metoda analizy powinna być odwrotna: kluczem do poznania sylwetki duchowej Chopina powinna być przede wszystkim jego muzyka; a muzyka ta jest tak wszechstronna, przy całej swej subtelności i artystycznym wyrafinowaniu tak męska i żywiołowa, tak pełna powagi i poczucia odpowiedzialności, iż absurdem psychologicznym byłoby upatrywanie w człowieku, który ją stworzył, jedynie, melancholijnego amanta George Sand lub pożeranego przez nostalgię neurastenika. Chopin był człowiekiem bardzo wrażliwym i subtelnym, w ostatnich latach swego życia, po zerwaniu z George Sand, w okresie natężenia choroby, był również neurastenikiem, szukał ucieczki przed tą neu-

rastenią w życiu salonowym, do którego go zresztą wciągała jego ogromna popularność. Ale przy tym wszystkim był to człowiek o zdumiewającej woli i wytrwałości, człowiek o niezrównanym poczuciu humoru, któremu nieraz dawał całkiem rubaszny wyraz, jednym słowem człowiek z krwi i kości, a nie z mgły i galarety.

Wierzyński nie jest muzykologiem i w pracy swej nie próbuje dawać fachowej analizy muzyki chopinowskiej. Odczuwa ją jednak w sposób właściwy, pełny i wszechstronny i poprzez to odczucie wnika w psychikę Chopina o wiele lepiej niż wielu dotychczasowych biografów. Daje sylwetkę naprawdę żywą i wszechstronną. Przywiązuje słusznie dużą wagę do epizodu z Delfiną Potocką, który ukazuje Chopina w zupełnie innym świetle niż dotychczasowe dane; ale wnikliwe zbadanie tych innych danych pozwala autorowi również wyznaczyć właściwe proporcje innym "romansom". Stosunek z George Sand prze staje zajmować miejsce centralne, schodzi na drugi plan w porównaniu ze stosunkiem do Delfiny. Delfina była jedyną kobietą w życiu Chopina, wobec której nie czuł on żadnych zahamowań psychicznych, z którą chciał mieć dziecko, i której miłość dawała mu natchnienie twórcze. W porównaniu z tą miłością romans z Marią Wodzińską staje się epizodem dla życia Chopina znacznie mniej ważnym.

Zaletą monografii Wierzyńskiego jest nie tylko nowe ujęcie roli poszczególnych kobiet w życiu Chopina, lecz przede wszystkim odebranie tym romansom znaczenia, jakie im się zazwyczaj przypisuje. Zajmują one w biografii właściwe miejsce, nie spychają jednak na drugi plan innych, nieraz istotniejszych elementów. Książka nie staje się przez to mniej interesująca, ani mniej wzruszająca, a postać Chopina staje się o wiele pełniejsza i wszechstronniejsza. Czyta się książkę Wierzyńskiego jak porywającą powieść, a jednocześnie jest to jedna z obszerniejszych i najbogatszych w szczegóły biografii największego polskiego muzyka. Dobrze się stało, iż tak piękna praca ukazała się właśnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie do niedawna głównym źródłem popularyzacji życiorysu Chopina był głośny film, będący swoistym rekordem nonsensów historycznych i artystycznych.

J. ZAWADZKI.

«Stalintern»

Pod takim tytułem wydawnictwo "La Table Ronde" wydało tłumaczenie książki angielskiej o Kominternie, która w oryginalnym nosi tytuł "Pattern of a world revolution" (Schemat rewolucji światowej). Autorem, ukrywającym się pod mało efektywnym pseudonimem, jest ponoć "jeden z najodpowiedzialniejszych kierowników Kominternu". Trudno to ustalić na podstawie treści książki na którą składają się aż trzy relacje: towarzysza X — Francuza, towarzysza Y — Niemca i towarzysza Ypsilon'a — samego autora, czy raczej kompilatora materiału. Kompilacyjny charakter książki i wyraźny pośpiech z jakim została ostatecznie zredagowana sprawia, że materiał przedstawia się dość różnorodnie i nierówno. Niektóre okresy są przeładowane najdrobniejszymi anegdotami i drugorzędnymi szczegółami, niektóre rażą powierzchownością. Lecz mimo to książkę czyta się z największym zainteresowaniem. Jest to w swoim rodzaju "Vie romancée" Kominternu. Specjalnie szczegółowo i zajmująco przedstawiony jest okres schyłkowy historii Kominternu.

Zainteresowania czytelnika nie są w stanie zmniejszyć nawet wyraźne nieścisłości i uproszczenia, zwłaszcza jeżeli chodzi o komunistów francuskich i polskich. Lecz ogólny obraz jest dość prawdziwy: tak właśnie powstawał, rozwijał się i powoli obumierał olbrzymi aparat — machina rewolucji, który początkowo miał wielkie ambicje nie tylko traktowania siebie na równi z aparatem partyjnym zwycięskiej rewolucji bolszewickiej, lecz nawet sięgał po władzę nad tą partią a tym samym i nad kierowanym przez nią państwem. Upaństwowienie, stotalizowanie, schematyzowanie rewolucji i rola Stalina w tym sprowadzaniu Kominternu do rządu jednego z aparatów wykonawczych Związku Sowieckiego jako państwa — oto temat książki. Jako motto do niej mogłoby służyć popularne powiedzonko rosyjskie: "za-częto toastem za zdrowie a skończono wiecznym odpoczynkiem". "Stalintern" nie jest książką dokumentacyjną i nie może służyć jako przyczynek do poważnych studiów nad historią rewolucji i organizacją międzynarodowego ruchu komunistycznego, ale jest doskonałą lekturą dla tych, którzy wierzą jeszcze w jakąś autonomiczność czy suwerenność narodowych partii komunistycznych.

W.

*) YPSILON: "Stalintern", Paris 1948, str. 446 (cena: 600 fr.).

Nowości francuskie

DOKUMENTY CHWILI

- MARGOLINE (J.). La condition inhumaine. P. 452. (Calmann-Lévy, 630 fr.).
 MARKHAM (Reuben H.). La Roumanie sous le joug soviétique. P. 330. Calmann-Lévy, 450 fr.).
 KOESTLER (A.). Analyse d'un miracle. P. 374. (Calmann-Lévy, 600 fr.).
 GHEORGHIU (C. V.). La vingtième heure. (Plon, 390 fr.).
 YPSILON. Stalintern. P. 446. (Ed. "La Table Ronde", 600 fr.).

HISTORIA, PAMIETNIKI, BIOGRAFIE

- BOURBON (Prince X. de). Les accords secrets franco-anglais de décembre 1940. P. 118. (Plon, 150 fr.).
 BAUDOUIN (P.). Neuf mois au gouvernement. Avril-décembre 1940. P. 429. (Ed. "La Table Ronde"-Plon, 480 fr.).

- CHARLES-ROUX (F.). Cinq mois tragiques aux Affaires Etrangères (21 mai-1^{er} novembre 1940). P. 404. (Plon, 480 fr.).
 RIPKA (H.). Le coup de Prague. Une révolution préfabriquée. P. 372. (Plon, 450 fr.).
 MIKOLAJCZYK (St.). Le viol de la Pologne. P. 371. (Plon, 420 fr.).
 BAINVILLE (J.). Journal 1901-1918. P. 221. (Plon, 300 fr.).
 BAINVILLE (J.). Journal 1919-1926. P. 274. (Plon, 420 fr.).
 BORSCHAK (E.). La légende historique de l'Ukraine. (Istoria Rusov). P. 195. (Institut d'Etudes Slaves, Paris).

POWIEŚĆ I NOWELA

- FARJALLAH HAIK. Abou Nassif. P. 242. (Plon, 180 fr.).
 FARJALLAH HAIK. La fille d'Allah. P. 227. (Plon, 210 fr.).
 HOSTOVSKY (E.). La maison sans maître. P. 256. (Plon, 270 fr.).

Nowości angielskie

POLITYKA I SOCJOLOGIA

- EDEN (Anthony). Days for Decision. Pp. 239. (Faber, 9s.6d.).
 CLAPHAM (Sir John). A Concise Economic History of Britain. From the Earliest Times to 1750. Pp. 324. (C.U.P., 12s. 6d.).
 JONES (Mary E.). The Redskin Trail. Nomad Readers S. Illus. Pp. 96. (F. Warne, 2s. 6d. non net.).
 LIDDELL (Helen), Edmond VERMEIL and B. SUCHODOLSKI. Education in Occupied Germany. Pp. 148. (Royal Inst. of International Affairs, 5s.).
 GLUCKMANN (Max). An Analysis of the Sociological Theories of Bronislaw Malinowski. Rhodes-Livingstone Papers No. 16. (O.U.P.).

LITERATURA

- PRIESTLEY (J. B.). Three Time Plays. Dangerous Corner. Time and the Conways. I Have Been Here Before. Pp. 270. (Pan Books, 2s.).
 WILLEY (Basil). Nineteenth Century Studies. Coleridge to Matthew Arnold. Pp. 288. (Chatto & W., 15s.).
 HISTORIA I BIOGRAFIE
 CHILDE (V. Gordon). Social Worlds of Knowledge. L. T. Hobhouse Memorial Trust Lecture. No. 19. Pp. 26. (O.U.P., 2s.).
 COLE (Margaret). Growing Up Into Revolution. Pp. 224. (Longmans, 15s.).

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{re}

C.C.P. 4955-03

Bibliografia

Polonica niemieckie od 1.IX.1939 do 31.XII. 1948 roku

Dziennik zarządzeń Centralnego Komitetu dla Spraw Szkolnych i Oświatowych. Tekst polski. Str. 70. 9 Tabl. Tekst angielski 50 str. 8 Tabl. Wdawnictwo Informacji Prasowej Quakenbrück 1948. (Nakł. 8000 egz.).

DZIURZYŃSKI, ADAM. *O życiu zwierząt i budowie zwierząt.* Podręcznik Zoologii dla I-szej klasy gimnazjalnej. Wydawca Zw. Polaków Hamburg — Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych. Nakładem UNRRA, München 1946 (?).

EPPELSHEIMER, W., HANNS. *Deutsche Bücher 1939-1945.* Eine Auswahl. Unter Mitwirkung zahlreicher Fachgelehrter herausgegeben von... Buchhändler-Vereinigung GmbH Frankfurt am Main 1947. Str. 141 + 3 nlb. (Nakł. 5000 egz.). (Zawiera następujące polonica: Pozycje: 220, 357, 405, 510, 517, 521, 560, 993).

Exhibition «The polish work abroad» München 1947. Wydał Komitet Wystawy «Praca Polska na Obczyźnie». Monachium 1947. Str. 15 + 1 nlb.

FALSKI, MARIAN. *Elementarz.* Nakł. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1945. (Przedruk wydania jerozolimskiego). Str. 2 nlb. + 118 + 8 nlb. (Nakł. 10.000 egz.).

FALSKI, MARIAN. *Elementarz.* Nakł. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1945. Wydanie II-gie. Str. 2 nlb. + 118 + 8 nlb. (Nakł. 3000 egz.).

FALSKI, MARIAN, *Elementarz.* Wydawn. Stanisława Pożniak-Poznańskiego «Głos Ojczyzny» Brunświk 1945. Str. 158. (Nakł. 5500 egz.). (Ze zmianami w tekście dokonany przez wydawcę).

FALSKI, MARIAN. *Elementarz.* Wydawnictwo Związku Pola-

ków w Hamburgu. Przedruk wydania krajowego «Książnicy-Atlas». Hamburg/Horn 1945. Str. 154.

FALSKI, MARIAN. *Pierwsza czytanka dla dzieci*. Wydawn. Związku Polaków w Hamburgu 1945. Str. 158.

FALKOWSKI, LUDWIK. *Vade mecum ogrodnika*. Str. 16.

FRIEDBERG, JAN. *Zarys Historii Polski*. Kontynuacja podręcznika A. Lewickiego Tom II 1795-1914. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 60 + 4 nlb.

FRIEDMAN, FILIP, Dr. *Zagłada Żydów Polskich w okresie Okupacji Niemieckiej 1939-1945*. Monachium 1947.

FRIEDMAN, FILIP, Dr. *Zagłada Żydów Polskich w okresie Okupacji Niemieckiej 1939-1945*. Monachium 1947. Wydanie drugie rozszerzone. Str. 40.

GAJEWICZ, W., Ppor. *Sadownictwo*. Skrypt według wykładow. ... Nakładem Zrzeszenia Polskich Organizacji Zawodowych w Lubce 1946 (?). Str. 13. (Powielacz).

GAŁCZYŃSKI, I.K. *Wiersze wybrane*. Biblioteka «Kameny» Nro 2. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 15

GARBACKI, HENRYK. *Elementarz polski*. Podręcznik do nauki języka ojczystego. Napisał i rysunkami ozdobił. ... Nakładem Komitetu Polskiego w Monachium 1945. Str. 48. (Nakł. 3000 egz.).

GAWLINA, JÓZEF. Bkp. Pol. *Wojsk Polskich i Uchodźców Polskich. List pasterski*. Wydawn. «Słowo Polskie» Dillingen 1946. Str. 8. (Nakł. 1000 egz.).

GAWLINA, JÓZEF, Ks. Bkp. *Odezwa pasterska do żołnierzy i wygnańców polskich, wzywająca do poświęcenia się Niepokalanemu Sercu Marii*. Wydawn. Ks. Ign. Rabsztyn Schwäbisch Gmünd 1946. Str. 2 (Nakł. 500 egz.).

GAYÓWNA, D. *Podręcznik do nauki o przyrodzie żywej, dla klasy V szkoły powszechnej*. Zatwierdzony przez M.R. i O.P. Przedruk Wydziału Szkolnego Delegatury Polskiej Okręgu Brunświk. Str. 109 + 1 nlb.

GAZIŃSKI, WACŁAW. *Bez atu*. Wydawnictwo «Słowo Polskie» Dachau-Freimann-Monach.-Dillingen 1947. Str. 39 + 1 nlb. (Nakł. 3000 egz.).

GEBERTOWA, G. *Historia dla klasy V szkół powszechnych III stopnia*. Księgarnia «Atlas» Lwów-Warszawa 1937 (Przedruk Krajowego wydania). Nakładem Zw. Polaków w Hamburgu 1945. Str. 240.

GERCKE, WOLFGANG, Dr. *Eine statistische Skizze über die Gesundheitslage eines Polenlagers*. Wydawnictwo Biblioteki «Polak w Waldeck». Zeszyt I. Arolsen-Landau 1946. Str. 8 + 2 tabl. (Powielacz). (Nakł. 300 egz.).

GESEMANN, GERHARD, (u.and.). *Kultur der slavischen Völker*. (Handbuch der Kulturgeschichte. Abt. 2) Potsdam Verlag Athenaeon (1940-1942). Str. 166.

GIERTYCH, JEDRZEJ. *Nacjonalizm chrześcijański*. Wyd. Dom Książki Polskiej, Stuttgart 1948. Str. 79 + 1 nlb. (Nakł. 1500 egz.).

GIERTYCH, JEDRZEJ. *Pół wieku polskiej polityki*. Uwagi o polityce Dmowskiego i polityce polskiej lat 1919-1939 i 1939-1947. (Wyd. Inform. Pras. Quakenbrück). Zachodnie Niemcy 1947. Str. 270 + 2 nlb. (Nakł. 3000 egz.).

GIERTYCH, JEDRZEJ. *Sprawa Ziem Odzyskanych w świetle etyki*. Wydawn. Dom Książki Polskiej, Stuttgart 1948. Str. 120 (?) (Nakł. 1500 egz.).

GODOWSKI, JAN. *Konstytucja Trzeciego Maja*. Wyd. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 59.

GOETEL, FERDYNAND. *Ludzkość*. Wydawn. Polskiego Ośrodka Kult.-Artyst. POKA Hanower 1946. Str. 15 + 1 nlb.

GOLDRING, HENRYK. *Krwawe płomienie*. Wydawnictwo «DP-Express» (M. Lustig) Monachium 1946.

GOLDRING, HENRYK. *Śmiech przez łzy*. Z cyklu «Wspomnienia i refleksje». Monachium 1947. Str. 78 + 2 nlb.

GOLDRING, HENRYK. *W szponach wywiadu*. Nowele. (Wydawca Ludwik Storr). Monachium 1947. Str. 166 + 2 nlb.

GORDONOWIE, WANDA i MAREK. *Wielka gra*. Komedia harcerska w trzech aktach Nakładem Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech. Bad Münders 1948. Str. 54 + 2 nlb. (Nakł. 1000 egz.).

GOTOWSKA, GUTRY i KLINGEROWA. *Czytanka dla II klasy szkół powszechnych*. Wydawn. «Strażnica» Celle 1945. Str. 125.

GÓRSKA, PIA. *36 pogadanek religijnych dla ochron i szkół początkowych*. Wyd. III. Nakładem Centrali Szkolnictwa Polskiego w Niemczech Lemförde 1946. Str. 162.

GRABIŃSKI, M. *Dyplomacja w Dachau*. Wydawn. «Słowa Polskiego» Dachau-Freimann-Monachium-Dillingen 1946. Str. 227 + 1 nlb. (Nakł. 10.000 egz.).

GRABOWSKI, STANISŁAW, Ks. *Pieśni kościelne*. Nakładem autora. Marsberg 1945. Str. 8. Drukarnia Johann Schulze, Marsberg.

GREBLER, ARTUR. *Jej wielka przygoda*. Nowela. Belsen 1945. Str. 30 + 2 nlb.

GRIMM, BRACIA. *Śnieżka*. Bajkę dla grzecznych dzieci przetłumaczył STANISŁAW KRAMARZEWSKI. Nro 4. Wydawn. «Jutra Pracy», Köln-Mülheim. Str. 20 nlb.

GRODECKI, KRZYSZTOF. *Geografia Polski. Cz. I.* Wydawn. Polskie R. Wegnera w Norymberdze, Frankfurt 1946. Str. 144. (Z mapą Polski). (Przedruk wydania szwajcarskiego).

GRODECKI, KRZYSZTOF. *Geografia świata. Cz. II.* Wydawn. Polskie R. Wegnera w Norymberdze, Frankfurt 1946. Str. 216. (Przedruk wydania szwajcarskiego).

Gromada. Magazyn Nro 1. Redaktor W.M. TEREŃSKI. Dom Książki Polskiej Stuttgart 1948. Str. 23 + 1 nlb.

GROT-KWAŚNIEWSKI, JERZY. *Prasa Polskiego Wychodźstwa Przymusowego na terenie b. Rzeszy.* Referat wygłoszony na Zjeździe Dziennikarzy ze Strefy Brytyjskiej w Quakenbrück 17.VIII.1946. Nakład Delegatury na Niemcy Zw. Dzienn. R.P. w Londynie Str. 12.

GROT-KWAŚNIEWSKI, JERZY. *Sytuacja społeczna Polaków w Niemczech.* Zachodnie Niemcy, listopad 1947. Str. 23 + 1 nlb.

GRUDA, STANISŁAW. Inż. *Materiały budowlane.* (Z 9 rycinami w tekście). Komit. Wydawn. w oparciu o Wszechświat. Zw. Kom. Zw. Młodź. Chrześc. Wetzlar 1948. Str. 54 + 2 nlb. (Nakł. 5000 egz)

GRUDA, STANISŁAW, Inż. *Zarys kresleń budowlanych.* Komit. Wydawn. w oparciu o Wszechświat. Kom. Zw. Młodź. Chrześc. Wetzlar 1947. Str. 38 + 1 tabl. (Nakł. 5000 egz.).

Gry, opowiadania i obrazki dla naszych dzieci. Wydawnictwo «DP-Express» (Jerzy Szwede). Monachium 1947. Str. 22.

GYSBERT-STUDNICKI, de, WACŁAW. Staatsarchivdirektor in Wilna, wohnhaft zur Zeit in Meppen. *Gibt es eine slawische Einheit?* Gedruckt als Manuskript. Alle Rechte Vorbehalten. Meppen 1948. Str. 8.

GYSBERT-STUDNICKI, WACŁAW. *The power development of which may prevent the world from war.* Translated from polish by Jan Wolkowski. Nakładem autora. Meppen/Ems 1948. Str. 10.

GRZESIAK, JÓZEF. *Elementarz Kierowcy.* Wydała Polska Szkoła Kierowców Samochodowych im. Washingtona w Schwäbisch Gmünd. Nakładem Komisji Wyd. Biura Rejestr. Specj. przy Polskiej Misji Wojsk. dla szkolenia zawod. był. jeńców wojennych. Na prawach rękopisu. Do użytku wewnętrznego szkoły. Schwäb. Gmünd-Lorch/Württ. 1946. Str. 44 + 2. (Nakł. 12.000 egz.). (Nakład zniszczony z powodu błędów zasadniczych w tekście. Około 500 egz., zdążyło się wszakże rozejść.).

(D. c. n.)

Jan KOWALIK.

Wyjaśnienia

W związku z listem p T. Nowakowskiego («Kultura» Nr. 2/28 - 3/29) p. Jantę przysłał nam list, w którym stwierdza:

1) Konkretnie dolary, o których mówił uprzednio p. Nowakowski jakoby "były mi miłsze od prawdy", przedewaluowały się tym razem na frazes o braku godności ludzkiej. W oczach p. Nowakowskiego dokument podróży jest najwyraźniej także legitymacją poglądu człowieka. Mam na ten temat inne zdanie. Nauczyły mnie go zwłaszcza czasy wojny. Wbrew insynuacjom p. Nowakowskiego nie spędzałem jej bowiem wyłącznie na "urządzaniu się".

2) Obyczaj utrzymywania korespondencji prywatnej w tajemnicy jest niewątpliwie cenny. W korespondencji prywatnej na Zachodzie obowiązuje jednak poza tym jeszcze zwyczaj odpowiadania na listy, zwłaszcza na listy o charakterze tak zasadniczym jak mój prywatny list, wystosowany do p. Nowakowskiego dn. 5. X. 1949, na wiadomość o tym, że stawia mi poważne i uwłaczające zarzuty. Dopiero całkowite zignorowanie tego listu przez p. Nowakowskiego zmusiło mnie do wyciągnięcia sprawy na szersze forum.

3) Stwierdzam, że publiczne wyjaśnienie p. Nowakowskiego, który prywatnie twierdzi, że istnieją dowody na fakt, że miłsze mi są dolary od prawdy — dowodów tych nie dostarcza, wobec czego żadnych dalszych oświadczeń p. Nowakowskiego w tej sprawie nie mogę brać poważnie".

Na marginesie tej sprawy Redakcja „Kultury” pragnie stwierdzić co następuje:

„Kultura” jest pismem prowadzonym w duchu największego liberalizmu, poszanowania praw autora, zaufania do człowieka no i oczywiście poszanowania godności ludzkiej. W szczególności „Kultura” nie ma zamiaru brać udziału w tej kampanii nienawiści, porachunków personalnych, rozbijania prób poznania prawdy, demagogii i egocentryzmu, która, niestety, stała się dominantą życia politycznego na uchodźstwie. W pracy naszej stawiamy na człowieka. I nie będziemy klasyfikować ludzi inaczej, jak z bezwzględnej wiary, że to co piszą i mówią jest prawdą, ich własną prawdą subiektywną. Zamieszczając pracę p. Janty pt. „Wracam z Polski” Redakcja była przekonana i w dalszym ciągu to przekonanie posiada, że p. Jantę kierowała jedynie szczerą chęć przedstawienia rzeczywistości w kraju, tak jak on — p. Janta — ją widział i rozumiał. Jest rzeczą jasną, że drukując jego reportaż „Kultura” nie miała zamiaru przedstawienia go czytelnikowi jako „bezpornego świadectwa”, tylko właśnie jako subiektywne spojrzenie na sprawę ze strony poety, pisarza i artysty. I taka subiektywna dokumentacja ma z naszego punktu widzenia ogromne znaczenie. Czytelnik naszego pisma jest czytelnikiem tego rodzaju, że nie możemy go karmić propagandą czy inspiracją. Dajemy mu materiał po to, by sam go ocenił i w drodze zestawienia z innymi sam dokonał syntezy. Taki charakter m. in. posiada dział NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI,

a przede wszystkim artykuły poświęcone sprawom krajowym. Redakcja nie przyjmuje na siebie roli cenzora politycznego i stoi na stanowisku zaufania personalnego do uczciwości autora, bez względu na to czy podziela jego poglądy czy nie. Tylko tą drogą — naszym zdaniem — możemy, wraz z naszymi czytelnikami, dojść do prawdy bezwzględnej i znaleźć poszukiwane przez nas wszystkich rozwiązanie. Niestety musimy również stwierdzić, że reakcje niektórych dziennikarzy i publicystów w stosunku do pewnych rzeczy drukowanych w „Kulturze” nie są właściwe, a często załatują donosem, paszkwilem, oszczerstwem i metodami godnymi Bezpieki czy Gestapo. Tak było m. in. i w sprawie p. Janły. Redaktor „Kultury” dał wyraz swemu stanowisku w tej sprawie drukując na własną odpowiedzialność finansową całość książki p. Janty, poza kalkulacją handlową pisma. W tym wypadku była to jedyna forma obrony autora, którego pracę „Kultura” przyjęła do druku. Żalujemy bardzo, że p. Tadeusz Nowakowski, świetny prozaik, również parokrotnie drukowany w „Kulturze” dał się unieść temperamentowi i postawił takie zarzuty p. Jancie, których „Kultura” w żadnym wypadku przyjąć nie może. Pragnęlibyśmy by dyskusje, nawet najostrzejsze, odbywały się w innej atmosferze i przy użyciu innych, a w każdym razie bezspornych, argumentów i dowodów.

Redaktor

Szanowny Panie Redaktorze,

W publikowanych w poprzednim numerze KULTURY wspomnieniach moich starałem się — na pewno niedostatecznie, ale z dążeniem do bezstronności — naświetlić pewne aspekty ostatniego przedwojennego okresu naszych dziejów. Okres ten, choć tak niedawny, należy już do historii, która jest, a w każdym razie powinna być magistra vitae.

Pragnąc, o ile tylko zezwala na to nieuchronny subiektywizm człowieka wmieszanego osobiście w tok wydarzeń, nie sprzeniewierzyć się prawdzie, kładłem obok siebie barwy jasne i ciemne, podkreślałem strony dodatnie i ujemne ówczesnego życia polskiego. Ta właśnie zastosowana przeze mnie metoda pozwoliła niektórym pismom i publicystom, szukającym w przeszłości nie tyle nauki co argumentów dla polemik doraźnych, na posługiwanie się wyrwanymi z kontekstu cytatami z moich wspomnień, aby wysnuwać z nich wnioski nie znajdujące uzasadnienia w widzianej i opisywanej przeze mnie rzeczywistości.

Ludzie, dla których sprawa politycznego czy osobistego odwetu pozostaje sprawą najważniejszą, byli i będą w każdym pokoleniu. Fakty historyczne, a zwłaszcza fakty z najświeższej przeszłości odbijają się w ich oczach jak w krzywym zwierciadle. Nie sądzę, aby świadomość, iż narażone zostać mogą na deformację, zwalniała nas od obowiązku ścisłego i jawnego ich przedstawienia.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Kajetan MORAWSKI.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1950.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: „LIBELLA”, 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV ^e	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
W. BRYTANIA: „GRYF”, Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, LONDON E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	3' sh.
WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert ŻABA, Kal-lskärsgatan 3/IV, STOCKHOLM.	2,50 kr.	12 kor.	2½ kor.
NIEMCY: „Universum”, (14 a), HEIL-BRONN, Polish Camp Schwabenhof ..	2,50 DM	15 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Dr Mieczysław SANGO-WICZ, FRIBOURG 1, case 155	1,80 sfr.	10 sfr.	13 sfr.
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Ta-deusz Dąbrowski, „SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ”, Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES	4 peso	24 peso	48 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO Ont	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Przedstawiciel na Stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Pros-pect Ave., BROOKLYN 15, N. Y. Przedstawiciel na Stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos Campan, DETROIT 11, Mich. Przedstawiciel na Stan Illinois — Józef BIAŁASIEWICZ, 4917 West 24th Pla-ce, CHICAGO, 50 Ill. Przedstawiciel na pozostałe Stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 9, Oxford Street, CAMBRIDGE 38, Mass.	75 cent.	4 doi.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRU-SZYŃSKI, 71, Raglan Street, Syden-ham, JOHANNESBURG	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY	£ 1.00.3	£ 1.18,—	
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmuje: Ju-lia, BARCINSKA, RIO DE JANEIRO r. Erasmo Braga 227 s. 214	15 cruz	90 cruz	150 cruz
HISZPANIA: Jan STASZEWSKI, Goya 6, MADRID	15 pts	90 pts	160 pts

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

**"KULTURA" OGŁASZA SUBSKRYPCJĘ
NA KSIĄŻKĘ JAMES BURNHAMA pt.:**

Walka o świat

w tłumaczeniu Józefa URSYNA

(Tytuł oryginału **The Struggle for the World**)

Cena książki w subskrypcji wynosi:

we Francji — 250 frs.

w W. Brytanii i na terenie bloku sterl. — 5 sh 6 d.
w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie — 1 dol.

Zgłoszenia na książkę oraz należność można przysyłać bezpośrednio do Redakcji KULTURY (1, Av. Corneille, Maisons Laffitte, S. et O.) lub do jednego z przedstawicielstw, których wykaz podany jest na przedostatniej stronie okładki każdego numeru "Kultury".

Subskrypcja jest otwarta do dn. 5 maja rb. Po zakończeniu subskrypcji cena książki będzie wyższa o 30%.

TEKI HISTORYCZNE

ORGAN

**POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
W WIELKIEJ BRYTANII.**

Ostatni, podwójny zeszyt za lipiec-grudzień 1949 r. przynosi następujące rozprawy:

Władysław Folkierski: O polskości Chopina.

Paweł Skwarczyński: Zagadnienie wpływów węgierskich na przywileje ziemskie drugiej połowy XIV w.

Halina Heitzmanowa: Żywot człowieka poczciwego. Piotr Gorajski;

oraz bogaty dział recenzji i kronikę.

Cena: 3 sh.

Administracja: c/o 20, PRINCES GATE, LONDON S.W.7.

Cena 120 frs.